

II /547/

WYBÓR WSPOMNIEN I INFORMACJI

DLA MOICH PRZYJACIÓŁ

D E D Y K A C J A

Pismo skierowane do wszystkich moich Przyjaciół świeckich i duchownych wspólnie, nie jest i nie może być w obecnych warunkach przeznaczone do druku, - dla szerszego kręgu czytelników. Jest ono przeznaczone tylko dla szczupłego grona najbliższych Przyjaciół.

Nie jest rzeczą możliwą w nazbyt krótkim urlopowym czasie pokusić się o napisanie choćby o tyle o ile wyczerpującej kroniki mego życia, poczynając od tragicznego dla wszystkich nas 1939-go roku. Zdaję sobie sprawę z tego, że Opatrzność Boża prowadziła mnie drogami nie całkiem zwyczajnymi zdolnymi zainteresować wielu czytelników, a tymbardziej moich Przyjaciół.

Wyrażając się może nieco pretensjonalnie, z tej książki żywota mojego postanowiłem wybrać tylko kilka kart najbardziej godnych przeczytania. Ten wybór jest z konieczności subiektywny. Nie chodzi mi jednak o jakieś względy subiektywne, a raczej o świadectwo prawdzie.

Układ mojego dzieła jest całkiem prosty. Część pierwsza: wstępna. - Część druga: do moich Przyjaciół świeckich. - Część trzecia: do moich Przyjaciół Księży.

Nie piszę osobno do świeckich, a osobno do duchownych. Przeważnie, mam nadzieję, że świeccy przeczytają to co piszę do Księży i odwrotnie.

Niech przyspieszone tempo mojej pracy pisarskiej usprawiedliwi nieuniknione usterki stylistyczne, a może i gramatyczne.

C z ę ś ć I

W s t ę p

W tej pierwszej części wstępnej mego pisma będzie najpierw mowa o mnie samym i o moich Przyjaciołach Księżach: Bronisławie Drzepeckim i Józefie Kuczyńskim a następnie o Związku Radzieckim, w którym upływa całe moje życie od dnia 18 -go września 1939 roku, z wyjątkiem niespełna 3 lat okupacji niemieckiej w Łucku i kilku miesięcy spędzonych na urlopie w Polsce.

Dla lepszej orientacji podaję szereg dat z mojego życia. Urodziłem się dnia 22 grudnia 1904 roku /starego stylu/ w Berdyczowie na Ukrainie.

W lipcu 1920 roku nasza rodzina wyjechała z Ukrainy do Polski.

W latach 1921-1931 odbyłem studia prawnicze i teologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Dnia 28 czerwca 1931 roku otrzymałem święcenia kapłańskie w Katedrze na Wawelu z rąk Księdza Metropolity Adama Stefana Sapiehy.

W latach 1931 - 36 pracowałem w Archidiecezji Krakowskiej w Rabce i w Sucheju.

Od sierpnia 1936 roku pracowałem w Łucku.

Po wybuchu wojny - w listopadzie 1939-go roku Ksiądz Biskup Adolf Piotr Szelażek mianował mnie proboszczem katedry łuckiej.

Od 22-go sierpnia 1940-go roku do 26-go czerwca 1941-go roku trwało moje pierwsze uwięzienie, cały czas w Łucku.

Po wyjściu na wolność pracowałem dalej na stanowisku proboszcza Katedry Łuckiej.

Od 4-go stycznia 1945-go roku aż do 10-go sierpnia 1954-go roku przedłużało się moje drugie uwięzienie. Z tego pewnie tylko pierwszych 18 dni w Łucku, dalej 1 1/2 roku w więzieniach w Kijowie, a następnie 8 lat w obozach pracy, a mianowicie: w latach

1946-50 w Czelabińskich obozach, a w latach 1950-54 w Dżezkazganie położonym o 500 kilometrów na południowy zachód od Karagandy.

Od września 1954-go roku do 3-go grudnia 1958-go prowadziłem pracę duszpasterską w Karagandzie, dokąd zostałem administracyjnie zesłany. To zesłanie trwało jednak tylko 2 lata do połowy 1956 roku.

Od 3-go grudnia 1958-go roku do 3-go grudnia 1961-go roku, a więc równo 3 lata, trwało moje trzecie uwięzienie.

Od grudnia 1961-go roku aż do obecnego mojego wyjazdu na urlop do Polski prowadziłem dalej pracę duszpasterską w Karagandzie.

Zarówno przed moim ostatnim aresztowaniem w latach 1956-58, jak i po uwolnieniu w ostatnich latach miałem możliwość odbyć szereg podróży misyjnych. Daj Boże, bym mógł kontynuować tę pracę po powrocie z Polski do Związku Radzieckiego.

Opatrzność Boża poprowadziła wspólnymi drogami nas-trzech kapłanów diecezji Łuckiej: Księdza Břonisława Drzepeckiego, Księdza Jřzefa Kuczyńskiego i mnie. Ponieważ piszę do Przyjaciřł, będe Ich nieraz nazywał po imieniu.

Smiem twierdzić, że zaprzyjaźniliśmy się ze sobą z wyraźnej woli Bożej.

Z Bonisławem i Jřzefem siedzieliśmy w jednej celi w więzieniu w Kijowie przeszło rok: od czerwca 1945 roku do lipca 1946. Przez pierwsze pół roku do grudnia był z nami w jednej celi nasz Czcigodny i Sędziwy Arcypasterz Ksiądz Adolf Piotr Biskup Szelażek, o czym piszę obszerniej gdzieindziej. Właśnie w tej kijowskiej celi więziennej dnia 1-go sierpnia 1945 roku Ksiądz Biskup skończył 80-ty rok życia.

Po uwolnieniu z dziesięcioletniego uwięzienia pracowaliśmy wszyscy trzej w Kazachstanie: ja od 1954-go roku w Karagandzie, Bronisław od 1955 roku we wsi Zielony Gaj koło /Celingradu/, a Jřzef od 1956 roku w miasteczku Taińcza obwodu Kołczetawskiego. W grudniu 1958 roku aresztowano mnie i Jřzefa, a w styczniu 1959 roku Bronisława. Sędzono każdego z nas oddzielnie. Ja "siedziałem" 3 lata, Bronisław 5 lat, a Jřzef 7 lat.

W tym czasie byłem z Bronisławem w jednym obozie przeszło 2 lata /1959-1961/. Jřzefa widziałem przelotnie 2 razy w 1959-ym roku, a potem byliśmy wszyscy razem przez 8 miesięcy - od

kwietnia do grudnia 1961 roku - w obozie dla "religiozników" o którym napiszę obszerniej w trzeciej części mego elaboratu - do Księży.

Po tym wyjaśnieniu uważam za swój obowiązek nieco bliżej poznać wszystkich czytelników z moimi Przyjaciółmi.

Bronisław^W Drzepecki urodził się w 1906 roku w miasteczku Felsztyn /obecnie Krasnogwardziejsk/ koło Płoskirowa na Podolu.

W 1922 roku Bronisław przekroczył nielegalnie rzekę Zbrucz i w ten sposób przybył do Polski, gdzie zaopiekował się Nim Biskup Kamieniecki Piotr Mańkowski. W radzieckim języku urzędowym nazywa się to, że Drzepecki po raz pierwszy zdradził swą radziecką ojczyznę.

Pod suspicjum Biskupa Mańkowskiego Bronisław uzupełnił naukę gimnazjalną w Buczaczu,, a następnie studiował w Seminarium Duchownym w Łucku. Odrazu się wybił swoimi nieprzeciętnymi zdolnościami, szczególnie w kierunku filozoficznym. W 1930 roku Bronisław Drzepecki otrzymał święcenia kapłańskie we Włodzimierzu Wołyńskim z rąk Księdza Biskupa Piotra Mańkowskiego.

Pierwsze trzy lata swego kapłaństwa ksiądz Bronisław pracował u boku swego Biskupa i Opiekuna Piotra Mańkowskiego i Jego Wikariusza generalnego Infułata Kazimierza Nosalewskiego we Włodzimierzu Wołyńskim.

W latach 1933-37 Ksiądz Bronisław odbył gruntowne studia teologiczne na Dominikańskim Uniwersytecie Angelicum w Rzymie, uwieńczone doktoratem teologii na podstawie rozprawy o widzeniu uszczęśliwiającym /de visione beatifica/ w niebie.

W latach 1937-39 ks.dr Drzepecki pracował na stanowisku wice-rektora i profesora teologii dogmatycznej w Seminarium Duchownym w Łucku.

Po wybuchu wojny Ksiądz Bronisław objął probostwo we wsi Huta Stepańska na Polesiu Wołyńskim, z której wyjechał wraz z parafianami podczas pogromów banderowskich latem 1943 roku.

Następnie Ksiądz Bronisław był przez niecały rok proboszczem w Kowlu, skąd w czasie działań wojennych został przez Niemców ewakuowany wraz z całą ludnością do Lublina.

Po wyzwoleniu Lubelszczyzny latem 1944 roku Ksiądz Bronisław wraca do Wołynia i zgłasza się do dyspozycji Księdza Biskupa Szelażka w Łucku. Ze wszystkich kapłanów diecezji łuckiej,którzy

wyjechali na zachód, powrócił na Wołyń jeden tylko Ksiądz Bronisław.

Ksiądz Biskup Szelażek posłał księdza Kanonika Doktora Bronisława Drzepeckiego do Żytomierza na stanowisko administratora diecezji Żytomierskiej. Krótką lecz owocną była Jego praca w Żytomierzu, przerwana aresztowaniem Go w styczniu 1945 roku. Dalsze dzieje Księdza Bronisława są już nam mniejwięcej znane. Jego uwięzienie trwało równo 10 lat, potem 3 lata /1955-styczeń-1959/ pracy duszpasterskiej w Kazachstanie. I znowu 5 lat więzienia. Po uwolnieniu Ksiądz Bronisław próbował bezskutecznie - wskutek oporu władz miejscowych - pracować w Kazachstanie, aż wreszcie zdecydował się objąć probostwo w Starogrodzie na Podolu. Na tej bardzo ważnej i pracowitej placówce duszpasterskiej Ks. Bronisław pracuje mimo bardzo słabego zdrowia od początku 1966 roku po dziś dzień.

Józef Kuczyński urodził się w 1904 roku we wsi Buczki, położonej między Żytomierzem a Korodzeniem /?/ na Polesiu Wołyńskim. W roku 1924 roku, po ukończeniu Seminarium nauczycielskiego w Żytomierzu Józef przekroczył nielegalnie granicę polsko-radziecką, czyli " po raz pierwszy zdradził swoją radziecką ojczyznę". Odrazu po przekroczeniu granicy Józef zgłosił się do Seminarium Duchownego w Łucku. Tam wśród kleryków było więcej takich uciekinierów ze Związku Radzieckiego. Zwano ich wszystkich bolszewikami.

Znany ze swej dobroci i łagodności wice-rektor Seminarium Ksiądz Prałat Adam Żółkiewski nie mówił inaczej do Józefa, jak tylko: "mój kochany Bolszewiczku"!

Podobnie jak Bronisław tak i Józef odznaczył się w seminarium zdolnościami w nauce, a także zamiłowaniem do pracy społecznej.

W 1930 roku Józef otrzymał święcenia kapłańskie w Łucku z rąk Księdza Biskupa Sufragana Stefana Walczykiewicza.

W latach 1930-35 Ksiądz Józef pracował jako prefekt szkół powszechnych w Łucku, zyskując sobie wielką popularność wśród dlatwy szkolnej i jej rodziców. Równocześnie Ksiądz Józef brał czynny udział w ruchu harcerskim i osiągnął w nim wysoki stopień harcmistrza.

W latach 1935-37 Ksiądz Józef studiował nauki społeczne w Instytucie Katolickim w Paryżu i zdobył doktorat nauk społecznych na podstawie rozprawy o ruchu organizacyjnym młodzieży wiejskiej w ówczesnej międzywojennej Polsce.

W latach 1937-39 Ks. dr Józef Kuczyński kierował Akcją Katolicką Młodzieży Męskiej i Żeńskiej w diecezji Łuckiej i równocześnie był kapelanem wołyńskiej chorągwi harcerskiej.

W latach wojennych Ksiądz Józef był proboszczem w Szumbarze, a potem także i w Dederkałach w powiecie krzemienieckim. W Dederkałach podczas pogromów banderowskich Ksiądz Józef wraz ze swoimi parafianami schronił się w kościele i w przyległym byłym klasztorze, gdzie przetrzymali formalne oblężenie, szczęśliwie zakończone wskutek nadejścia wojsk radzieckich.

W 1944 roku Ksiądz Józef rozpoczyna pracę misjonarską na Ukrainie Radzieckiej. Via Krasaków na Podolu, Kijów, Charków i Dniepropietrowsk dociera do Dnieprodzierżyńska, gdzie go aresztowano w styczniu 1945 roku.

Po dziesięcioletnim więzieniu Ksiądz Józef pracował w Kazachstanie przez 2 i pół lata, za co otrzymał 7 lat więzienia. W styczniu 1966 roku, na drugi miesiąc po uwolnieniu, Ksiądz Józef został proboszczem w historycznym Barze na Podolu. Mimo Nękającej go bezsenności pracuje tam bardzo intensywnie i owocnie.

Ksiądz, obecnie już Prałat dr Józef Kuczyński godnie dzierży rekord światowy wśród wszystkich księży katolickich na całym świecie. Jest to rekord uwięzienia. Wynosi on 17 lat!

Ksiądz, obecnie także już prałat dr Brosniak, Drzepecki jest wicemistrzem światowym. Ma On za sobą 15 lat uwięzienia.

Ja znajduję się na dalszym miejscu. Mimo trzykrotnego uwięzienia zdołałem nazbierać "zaledwie" tylko 13 lat 5 miesięcy i dziesięć dni.

- - - - -

"Związek Radziecki kroczy na czele światowego postępu" - takie i podobne hasła można bardzo często usłyszeć lub przeczytać w Związku Radzieckim. Czy tak jest rzeczywiście? W pewnym znaczeniu tak! Czy to się komu podoba czy też nie, Związek Radziecki jest pierwszym na świecie państwem nowego typu socjalistycznego. Rosja pierwsza zlikwidowała u siebie i w krajach sobie podległych władzę, a raczej wszechwładzę, kapitalistów i obszarników.

Czy Państwo socjalistyczne jest bardziej postępowe niż państwo kapitalistyczne? Nie będziemy tu o tym dyskutować. W każdym razie państwo socjalistyczne wyłania się z państwa kapitalistycznego, a nie na odwrót.

Jeśli mogę potwierdzić, że /w pewnym znaczeniu/ Związek Radziecki kroczy na czele światowego postępu, to nie znaczy bym się zgadzać ze zdaniem, że Związek Radziecki jest na całym świecie najkulturalniejszy o najwyższej technice, nauce literaturze itd., jak powiada Melchior Wańkowicz. Tak nie jest choć przyznać trzeba że technika, sport i niektóre, lecz bynajmniej nie wszystkie nauki, stoją w Związku Radzieckim na wysokim poziomie. Jestem daleki od tego: "naj,naj" bo ono fałszuje rzeczywistość. Ale również daleki jestem od "bij-zabij" przeciwko Związkowi Radzieckiemu i wszystkiemu co radzieckie, bo takie stanowisko nie mniej fałszuje rzeczywistość, a pod pewnym względem jest jeszcze szkodliwsze w swych skutkach.

Kto czyta te słowa o Związku Radzieckim napisane przez człowieka, który tak jak ja 13 lat przesiedział w uwięzieniu, ten nawet podświadomie oczekuje jakiegoś wylewu rozgoryczenia. A jeśli go nie znajduje, to rodzi się podejrzenie, że ten człowiek pisze nie to co myśli, lecz co mu kazano mówić lub pisać.

Ja piszę do moich Przyjaciół. Wiem, że mi ufacie. Więc czytacie dalej o tym co ja sam w tej sprawie myślę.

Ogromna większość byłych więźniów, zwłaszcza długoletnich zachowuje pewien resentyment czy nawet uraz psychiczny. Ludzie ci, jeśli wypowiadają się szczerze, nie są zdolni do sądu bezstronnego. Kto jednak przewyciężył w sobie ów resentyment, ten jest zdolny do sądu bezstronnego, i to w stopniu najwyższym,

właśnie dlatego, że poznał rzeczywistość wszechstronnie - także i od podszewki. Zdaje mi się, że ja jestem w tym szczęśliwym położeniu, i spróbuję je wykorzystać w dalszych wywodach.

Zilustruję moją myśl na jednym przykładzie z moich przeżyć obozowych. Właśnie dlatego, że jest to przykład szczęśliwie drastyczny.

Było to zimą z 1947-go na 48-my rok. Byłem wtedy w wielkim obozie w Uralskich górach, znajdującym się w miasteczku Bakuł obwołu Czebabińskiego. W tym obozie było kilka tysięcy więźniów, w czym znaczną część, bodaj że blisko połowa, żulików, czyli mówiąc po polsku: rzezimieszków.

Mieszkaliśmy w dużych barakach w warunkach bardzo prymitywnych. Na noc drzwi /jedyne istniejące/ do każdego baraku były otwarte, a przed barakiem stały słynne "Parasze" czyli kubły. Surowo się zabraniało przechodzić z baraku do baraku. Przez całą noc kursowały po obozie patrole. Każdy złożony z 2 podoficerów wojsk NKWD, czyli tzw. popularnie "czekistów". Jeśli taki patrol złapał w nocy niefortunego spacerowicza, to natychmiast odprowadzał go do karceru, gdzie trzeba było spędzić conajmniej 3 doby. Była to szczególnie zimą średnia przyjemność. Karcer był chłodny, nieopalony, nie pozwalali brać palta do karceru a jeść dawali tylko chleb, pić zaś tylko zimną wodę, przy tym codziennie wyprowadzali z karceru na robotę. Nic dziwnego, że niejednen powędrował prosto z karceru do szpitala obozowego.

Żulicy to element niespokojny i takie represje wobec nich były niejednokrotnie aż nadto uzasadnione. Ale do owych nocnych spacerowiczów coprawda tylko zimą, nigdy latem, należał oprócz żulików także i jedyny duszpasterz obozowy w mojej osobie. W tym obozie było oprócz mnie dwóch księży prawosławnych, ale ani jednego więcej katolickiego.

Chodziło o spowiedź. Latem nie było z tym żadnego kłopotu, ale zimą można to było zrobić tylko w nocy gdy wszyscy spali.

Wiele razy te nocne spacery udawały się wyśmienicie, Aż wreszcie pewnego razu.....

Przez kilka nocy przygotowywałem do pierwszej spowiedzi jednego naszego rodaka pochodzącego z okolic Kamieńca Podolskiego, którego imię było Bolesław.

Był to bardzo miły i niegłupi człowiek w wieku około 25-ciu lat. Mieszkał on w znacznie lepszym baraku niż ja, bo nie był zwyczajnym robotnikiem, tylko tzw. dziesiętnikiem przy robotach budowlanych. Umówiliśmy się, że wykorzystamy ten lepszy barak dla naszego pobożnego celu.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Po kilku nocach przygotowawczych Bolesław bardzo ładnie się wypowiadał z całego życia. Po spowiedzi jeszcze pogawędziliśmy przyjaźnie przez dłuższą chwilę. Było już dobrze po północy kiedy wracałem do swojego baraku, który znajdował się na drugim krańcu obozu.

Wtęm błysk ręcznej lampki elektrycznej i głos: "Stoj, kto idiot"? Natknąłem się na patrol. Ja znałem tych podoficerów, a oni znali mnie jako "popa".

Dalej potoczyło się wszystko bardzo szybko.

Pierwszy podoficer: "Am oto pop"! - "Czegoż ty popie włóczysz się po nocy po obozie?"

Pierwszy oficer podchodzi do mnie, uderza mnie w prawy policzek aż zapiekło i mówi: "Nu prowaliwaj"! - "wynoś się!"

Nie nadstawiłem zgodnie z Ewangelią lewego policzka, tylko wróciłem do swojego baraku bardzo zły i wzburzony.

Gdyby nie troska o Bolesława - myślałem sobie - zaraz poskarżyłbym się na tego sierżanta naczelnikowi obozu. Niech mnie sadzają do karceru, ale jakie on ma prawo tak mnie znieważać?"

Po kilku minutach przyszła refleksja. Właściwie to patrol miał obowiązek natychmiast wpakować mnie do karceru. Tymczasem obaj podoficerowie poprzestali na wymierzeniu mi doraźnej kary. Z ich strony był to swego rodzaju humanitaryzm, złośliwie mówiąc: "radziecki humanitaryzm" - lecz niewątpliwy.

Oczywiście, ten incydent można by wykorzystać dla antyradzieckiej propagandy. Można by mówić o tym, jak to bohaterski kapłan katolicki z nadludzkim poświęceniem spełniał swe obowiązki - jak został pojmany, rozpoznany i spoliczkowany przez brutalnego żołdaka, jak nawet nie miał możliwości poskarżyć się, dochodzić sprawiedliwości.

Tak, ale czy taka propaganda byłaby z mej strony uczciwą? Czyż nie doznałem wówczas pewnego rodzaju miłosierdzia i sympatii? Czyż ten policzek nie tylko, że nie był zniewagą zamierzoną, a raczej w owych warunkach czymś w rodzaju "protekcjonalnego poklepania po ramieniu"? Czy byłoby uczciwym przedstawiać jako katów ludzi, którzy - mimo wszystko - okazali mi dobre serce?

Tak - powie nam na to sympatyk "Wolnej Europy" - mniejsza z tymi dwoma sierżantami, nic nie znaczącymi pionkami, ale ten incydent jest jednak oskarżeniem całego systemu.

Po części chyba tak, ale tylko po części. Nie mam teraz czasu na to, by kusić się o wyczerpującą charakterystykę radzieckiego więziennictwa, choć mam osobiste długoletnie doświadczenie i obserwację nad nim. Przede wszystkim nie zawsze było jednakowo. Podczas mojego trzeciego uwięzienia było bez porównania lepiej niż podczas pierwszego i drugiego, zwłaszcza w pierwszych jego latach. Bardzo uciążliwym był system trzymania w jednej celi więziennej lub w jednym obozie spokojnych ludzi razem z żulikami, którzy ich okradali, nieraz znęcali się nad nimi, a w dodatku aż do 1948-go roku, często byli uprzywilejowanymi przez administrację obozową lub więzienną. Wiele krwi psuło więźniom rozpowszechnianie po obozach systemu donosicielskiego.

W pierwszych latach po wojnie było bardzo słabo z wyżywieniem i z umundurowaniem, ale należy uwzględnić i to, że wtedy była ogólna bieda i zniszczenie. W latach wojennych było z wyżywieniem po obozach jeszcze gorzej, ale ja o tym wiem tylko ze słyszenia, bo sam wtedy jeszcze nie byłem w obozie. Słyszałem również, że przy końcu wojny i zaraz po wojnie bito podczas śledztwa, szczególnie naszych Akowców i uczestników różnych antyradzieckich partyzantek: ukraińskiej, litewskiej, łotewskiej i białoruskiej. Natomiast Księżę przy śledztwie nie bito. Słyszałem tylko o pobiciu jednego księdza przy śledztwie. Był on przedtem kapelanem wojskowym i traktowano go jako oficera A.K., a nie jako księdza. Za moich czasów nikogo nie bito w obozach ze strony władz obozowych. Jedyny wypadek kiedy przedstawiciel władzy obozowej mnie uderzył, to był ów "miłosierny" policzek, który już szczegółowo rozważyliśmy.

Parę razy byłem jeszcze nie tyle bity, co raczej mocno popchnięty przez współwięźniów żulików i ja sam z własnej inicjatywy z całą energią przyłożyłem rękę do jednego z żulików, który się znęcał nad pewnym staruszkiem.

Podczas trzeciego uwięzienia nie słyszałem już ani jednego wypadku, by kogokolwiek bito przy śledztwie.

No, ale jakże traktowano księży? Na ogół biorąc, jednak nieco lepiej niż przeciętnie innych więźniów. Nie bito ich wcale, a wymyślano im mniej niż innym; tylko pod jednym względem było księżom gorzej niż niektórym innym współwięźniom. Nie używano księży do złej robót, np. biurowych. Musieli oni pracować tak jak wszyscy ludzie, z wyjątkiem nielicznych uprzywilejowanych, do których nie dopuszczano księży przez dłuższy czas. Dopiero po śmierci Stalina i pod tym względem nastąpiła dla księży zmiana na lepsze, w niewielkim stopniu.

Zresztą, czy można żądać by państwo komunistyczne okazywało księżom jakieś szczęśliwe względy tak podczas uwięzienia jak i na wolności? Nie należy żądać zbyt wiele! W Związku Radzieckim głosi się ideał państwa ateistycznego, którego obywatele wszyscy bez wyjątku będą przekonani ateistami, całkowicie oswobodzonymi od tzw. "religijnych zabobonów".

Ja sam jestem obywatelem radzieckim. Całkiem dobrowolnie przyjąłem obywatelstwo radzieckie, a jak to się stało, o tym opowiem w drugiej części niniejszego pisma. Dobrze sobie zdawałem sprawę i zdaję z tego, że moja praca duszpasterska może być w najlepszym razie tolerowaną, lecz w żadnym razie nie popierana przez władze państwowe.

Oczywiście, wszyscy ludzie wierzący, a jest ich w Związku Radzieckim bardzo wielu, są zainteresowani w tym, by polityka władz państwowych była tolerancyjną. Otóż właśnie pod tym względem wywiera szkodliwy wpływ jednostronna propaganda antyradziecka, zwłaszcza na temat prześladowania religii, wiary, Kościoła i duchowieństwa.

Trzeba sobie zdawać sprawę z dwóch rzeczy:

1/ Po śmierci Stalina w Związku Radzieckim dokonano bardzo wielkiej, choć oczywiście względnej liberalizacji całego systemu,

2/ W społeczeństwie rosyjskim zawsze były i są silne tradycje i tendencje absolutystyczne.

Rosja to nie Polska. U nas gdy Mieszko Stary próbował rządów silnej ręki, to go wypędzono z Krakowa. Gdy później Jan Kazimierz z Marią Ludwiką próbowali zaszczepić w Polsce "absolutum dominium" na wzór francuski, to zakończyło się abdykacją samego Jana Kazimierza. W Rosji wręcz jaskrawymi i absolutystami czystej krwi byli najznakomitsi monarchowie! Iwan Groźny, Piotr Wielki, Mikołaj I., a ostatnio Józef Dżuńgeszwili-Stalin. Natomiast Lenin nie był zwolennikiem absolutyzmu ani w teorii ani w praktyce. Zorganizowana przez niego dyktatura proletariatu nie jest równocześnie z absolutną władzą jednego człowieka. Nie trzeba zresztą zapominać o równoczesnym występowaniu w historii Rosji tradycji tzw. "sobornosti", poczynając od historii Wielkiego Nowogrodu.

Tak czy inaczej, w Rosji wszelka liberalizacja może się bardzo łatwo zakończyć odwrotem nawet od bardzo względnego liberalizmu do absolutyzmu władzy Państwowej lub - jak teraz - partyjnej.

I jeszcze jedno trzeba uwzględnić. W Związku Radzieckim istnieje bardzo wielka - zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że przesadna-wrażliwość na opinię zagranicy. Pod tym względem w Rosji zdaje się że niewiele się zmieniło od czasów Mikołaja I-go. Czytałem, że ten car, przed którym drżała cała Europa, omal, że nie płakał, kiedy się dowiedział, że pewien francuski literat - nie pamiętam już jego nazwiska - napisał o nim po odwiedzeniu Rosji, że on ma wielki brzuch, który usiłuje bezskutecznie ukryć pod przesadnie obcisłym mundurem.

Obecny rząd ma w Związku Radzieckim opinię względnie liberalnego. Przesadna krytyka osłabia taką opinię, i wzmacnia tendencje absolutystyczne. Nie chodzi o to by chwalić. To mogłoby nieraz zakrawać na ironię. Umiarkowana krytyka nie pozbawiona pewnej nuty życzliwości, bodaj najlepiej służy utrwaleniu tendencji liberalnych, a w związku z tym i wzmocnieniu tolerancyjności w sprawach religijnych.

A co do tendencji absolutystycznych, też nie należy przesadzać w obawie przed nimi. Czy wiecie, kiedy ja najlepiej poczułem swoją siłę wobec absolutystycznych zapędów pewnego kacyka? Było to jeszcze w 1940 roku podczas mojego pierwszego więzienia. Jeden z moich sędziów śledczych był niewątpliwie mało inteligentny, a przy tym chamowaty. Był to zresztą jedyny sędzia śledczy, któremu mógłbym wystawić tak mało pochlebną cenzurę. Wszyscy inni byli znacznie mądrzejsi i kulturalniejsi od niego.

Otóż ów sędzia śledczy nawet nie umiał prowadzić śledztwa i raz po raz zapędzał je w ślepy zaułek. Choć ja mu powiedziałem wszystko co można było odpowiedzieć na to lub inne jego pytanie, onż żądał bym powiedział jeszcze więcej, a rzeczywiście nie było nic więcej do powiedzenia czy do ukrycia przed nim. Raz po raz on mi mówi: "nadumajcieś" - "namyślcie się", sam czytał gazetę, a ja siedziałem w kącie pokoju na taborecie i zamiast "nadumywać się" cichutko na palcach odmawiałem różaniec. Tak było przez dobrych parę dni, aż wreszcie mój pan sędzia śledczy coś zauważył. Wysunął głowę spod gazety i zapytał się: "A co wy tam robicie"? Ja: "Modlę się do Boga". On /zrywa się z miejsca i wrzeszczy na całe gardło/: "Tutaj zabrania się modlić do Boga". Ja: "Niech się pan uspokoi. W przyszłości będę się tak modlić, żeby pan tego nie zauważył".

Przemoc ma także swoje granice. Któż może mi zabronić się modlić? Co najwyżej może się tylko sam ośmieszyć. Modlić się można naprawdę zawsze i wszędzie byle tylko była dobra wola ku temu. Ciało można zamknąć i nawet całymi latami trzymać w pojedynczej celi więziennej, lecz nie uwięzi się ducha, który i stamtąd znajduje drogę wprost do Boga!

Prześladowanie wiary nie jest największym niebezpieczeństwem. Jest nim także odseparowanie dzieci i młodzieży, by one nigdy nie miały możliwości poznać Boga. Wprawdzie łaska Boża niepojętymi dla nas ludzi drogami dociera i do takich jednostek, tym niemniej jednak sam Syn Boży Jezus Chrystus woła do nas: "Żniwo wielkie - robotników mało. Proście tedy Pana żniwa, aby posłał robotników na żniwo swoje".

C z ę ś ć II

Do moich Przyjaciół świeckich

Łączą mnie z wami więzy krwi, - przyjaźni, - idei.

Więzy krwi: Jest moim gorącym pragnieniem, by te słowa zechcieli przeczytać wszyscy moi krewni. Może nie wszyscy są zainteresowani problematyką wschodnią, ale wszyscy interesujecie się moją osobą, a może przez tę lekturę choć troszkę się u Was pogłębi i jedno i drugie.

Więzy przyjaźni: Przyjaźni nie byle jakiej, bo długoletniej, wypróbowanej całym życiem. Tą drogą opracowuję część pisma z myślą przede wszystkim o Przyjaciółach z naszego Koła.

Znam tylko jedną organizację, który w tym stopniu stworzyła warunki dla przyjaźni na całe życie. Jest nią założona przez Wincentego Lutosławskiego organizacja Elsów. Nasza przyjaźń Kołowa nie ustępuje chyba przyjaźni Elsów. Wiem dobrze co interesuje naszych Kołowiczów i będę się starał to właśnie choć pokrótce omówić. Ale i moi Przyjaciele spoza KOŁA znajdują w tym piśmie coś więcej niż same tylko momenty osobiste. I to tak świeccy jak i duchowni, do których bezpośrednio będzie jeszcze skierowana trzecia i ostatnia część tego pisma.

Więzy idei: Oczywiście, że najgłębsze są więzy wiary religijnej. Jednak są i inne elementy ideowe, najczęściej zresztą u nas natchnione chrystianizmem. Prawdopodobnie ogromna większość Czytelników będzie bliska obliczu ideowemu autora tych słów. Gdyby jednak to czytał mój przeciwnik ideowy, pragnąłbym tylko jednego, uznania, że jestem przeciwnikiem uczciwym. Tym, którzy te sprawy głębiej rozumieją, dodam, że dla mnie Chrystusowe przykazanie miłości nieprzyjaciół nie jest jakąś piękną utopią, lecz czymś w najwyższym stopniu realnym i życiowym.

Bywają w życiu momenty przełomowe. Przeszłość kończy się bezpowrotnie, wkracza przyszłość całkiem nowa. Często uświadamiamy sobie tę przeszłość nie odrazu, lecz znacznie później,

W moim życiu były 2 momenty przełomowe odrazu najzupełniej uświadomione. Jeden zdarzył się w styczniu 1945 roku, a drugi o 10 lat później w czerwcu 1955 roku. Pierwszy się zdarzył niezależnie od mojej woli, drugi z całkowitym jej udziałem, ale oba przełomowe i oba odrazu w pełni przeze mnie uświadomione.

Dnia 22 stycznia 1945 roku wyjeżdżaliśmy z Łucka we trójkę: ksiądz Biskup Adolf Piotr Szelażek, Ksiądz Kanonik Karol Gałęzowski i ja. Było to po naszym aresztowaniu, które nastąpiło w nocy z 3-go na 4 stycznia tegoż roku. 18 dni trwało wstępne śledztwo i właśnie 22-go stycznia wywożono nas na dalsze właściwe śledztwo z Łucka do Kijowa via Kowal. Z Łucka do Kowla mieliśmy jechać samochodem ciężarowym, a dalej z Kowla do Kijowa pociągiem. Jasną jest rzeczą, że jechaliśmy cały czas pod konwojem. Ksiądz Biskup otrzymał w samochodzie najlepsze miejsce koło szofera, a myśmy z Księdzem Gałęzowskim siedzieli na tobołkach wprost na platformie ciężarowego samochodu. Był przepiękny słoneczny z lekka mroźny dzień zimowy. Posadzono nas na platformie w ten sposób, że siedzieliśmy tyłem do szofera.

Wyjeżdżamy z Łucka. Przejechaliśmy most na Styrze. Jedziemy przez przedmieście zwane Krasnem, gdzie jeszcze przed kilkoma miesiącami było nasze łuckie seminarium duchowne. Siedząc na samochodzie oglądamy panoramę miasta Łucka. Stąd, z Krasnego- miał ją oglądać i zachwycać się nią goszczący w Łucku u Witolda cesarz ^{Zygmunt} Habsburski w 1429-tym roku, skąd ma się wywodzić sama nazwa Krasne. Nad miastem góruje kopuła naszej katedry. W promieniach słońca lśni pięknie złotawym blaskiem. Stopniowo znikają z oczu zabudowania miasta, lecz wciąż jest widoczna kopuła katedry. Wreszcie znika i ona....

Patrząc z samochodu więziennego na stopniowo znikający z oczu Łuck wraz z kopułą naszej katedry, jasno pojąłem, że Łuck to jest przeszłość niepowrotnie miniona w moim życiu, a i w dziejach Polski współczesnej. Co przyniesie przyszłość? Coś całkiem nowego.

Teraz jedziemy do Kijowa, a potem zapewne jeszcze o wiele dalej na wschód. Tam na wschodzie jest moja przyszłość życiowa

z woli Opatrzności Bożej. Obym godnie wypełnił tę wolę opatrznościową!

W czerwcu 1955-go roku moje warunki życiowe były już całkiem inne niż w styczniu 1945 roku. Od dziesięciu miesięcy mieszkałem na wolności w Karagandzie. Zostałem tam administratorem cyjnie zesłany po ukończeniu 10-letniego uwięzienia, które trwało dokładnie 9 lat, 7 miesięcy i 6 dni, bo policzono mi prawie 5 miesięcy za dobrą robotę, choć - prawdę mówiąc - prawie nigdy nie poczuwałem się do tego, bym był dobrym robotnikiem. Opatrzność Boża działa nieraz i przez ateistów, którzy zesłali mnie tam, gdzie ksiądz był szczęśliwie potrzebny. Już w kilka dni po zesłaniu do Karagandy w sierpniu 1954 roku wiedziałem, że czeka mnie tam niezmiernie wielka praca duszpasterska. Zesłaniec podobnie jak i obozowiec ma ścisły obowiązek pracować dla rządu. Wziąłem taką pracę, która dawała mi stosunkowo dużo wolnego czasu na pracę duszpasterską. Pracowałem co drugą noc jako stróż nocny na obiektach budowlanych. Pracy kapłańskiej, oczywiście po domach prywatnych, było zrazu tak wiele, jak nigdy przedtem i potem w życiu. Ogromna większość spowiedzi była generalnych z całego życia.

Jako zesłaniec miałem obowiązek co miesiąc meldować się w komendaturze, bez pozwolenia której nie miałem prawa wyjeżdżać z Karagandy. Komendantem bym starszy lejtenant Kazach. Przy comiesięcznym meldunku wypytywał się on dokładnie każdego zesłańca o warunki jego życia i pracy. Była to obowiązkowa spowiedź miesięczna, jak dowcipnie mawiał wśród licznych jeszcze wtedy zesłańców - Polaków.

Przy owym meldunku po trzech czy czterech miesiącach gdy - jak zwykle - "wyspowiadałem się" z tego gdzie mieszkam i pracuję, pan komendant nagle rzekł: "Wszystko to dobrze, ale powiedzcie jeszcze jak wam idzie wasza praca duszpasterska"? - Już skądś się o niej dowiedział. - "Dziękuję Panu, - odparkłem z miejsca - także i praca pasterska idzie mi nieźle". Odtąd przy meldunku głównym przedmiotem "miesięcznej spowiedzi" była owa - tak stale przez Komendanta nazywana - praca pasterska.

Muszę jednak przyznać, że ów Kazach był raczej dobroduszny i nie stawiał zbyt niedyskretnych pytań.

Zesłańcy polscy oczekiwali wtedy na repatriację do Polski, jednak długie miesiące bezskutecznie. Aż wreszcie w czerwcu 1955-go roku /którego to było czerwca już nie pamiętam/ gruchnęła upragniona wieść: "Dzisiaj zapisują na repatriację"! Kto żyw szedł co prędzej do komendantury.

Ja nie miałem powodu się spieszyć i poszedłem dopiero wieczorem tego dnia. Komendant nawet mnie nie "spowiadał", tylko zapisał meldunek i natychmiast odesłał do kapitana - prawdopodobnie Rosjanina - który przyjmował zapisy na repatriację.

Między mną a owym kapitanem odbyła się następująca rozmowa: Kapitan po sprawdzeniu moich personaliów danych - "Obywatelu Bukowiński, proponujemy wam repatriację do Polskiej Republiki Ludowej".

Ja: "Witam z radością decyzję Rządu Radzieckiego o repatriacji Polaków, na którą oczekiwało tysiące moich rodaków, lecz ja sam osobiście pragnę pozostać w Związku Radzieckim"!

Kapitan: "A! Wam także przysługuje prawo pozostania w Związku Radzieckim"!

W tym momencie zobaczyłem u kapitana na biurku 2 spisy: jeden bardzo długi zgłaszających się do repatriacji, a drugi całkiem krótki zgłaszających się do pozostania w Związku Radzieckim. Ten drugi był rzeczywiście całkiem krótki, bo - jak to dokładnie spostrzegłem - moje nazwisko było trzecie w tym spisie.... Wtedy już definitywnie stałem się obywatelem Związku Radzieckiego.

Tak prosto i zwyczajnie dokonał się ów drugi moment przełomowy w moim życiu. Tym razem ja sam dobrowolnie pokierowałem swym życiem. doskonale zdając sobie sprawę z konsekwencji mojej własnej decyzji.

Jedną z konsekwencji tej decyzji poniosłem 3 lata później, kiedy to dnia 3-go grudnia 1958-go roku zostałem aresztowany

po raz trzeci w mym życiu, a 25-go lutego 1959-go roku sądzony po raz pierwszy w życiu, gdyż przy pierwszych dwóch aresztowaniach wyroki były administracyjne, a nie sądowe.

Do owego jedyne go w mym życiu sądu wrócimy jeszcze w trzeciej części tego pisma. Teraz omówimy tylko jeden epizod sądu, który mi się wydaje bardzo charakterystyczny.

Sądziło mnie kolegium sądowe obwodowego sądu w Karagandzie. Główny sędzia zrobił na mnie wrażenie bardzo pozytywne. Najprawdopodobniej był to prawnik, człowiek rzeczowy i taktowny. Obok niego dwoje asesorów. Asesorka wyglądająca na nauczycielkę jawnie mi sprzyjała. Natomiast asesor pozostawił wrażenie człowieka mało inteligentnego i bardzo mnie lubiącego "popów". O ile główny sędzia i asesorka rozmawiali ze mną grzecznie i dość swobodnie, o tyle asesor milczał naburmuszony i odezwał się tylko jeden raz, a było to tak:

Główny sędzia zapytał się dlaczego ja nie skorzystałem z repatriacji i pozostałem w Związku Radzieckim? Odpowiedziałem, że uczyniłem to ze względów ideowych - dla pracy duszpasterskiej wśród tak bardzo jej potrzebujących, a nie mających swoich kapłanów, wierzących katolików Związku Radzieckiego.

Tu moja odpowiedź najwidoczniej wyprowadziła z równowagi pana asesora. Otworzył on usta swoje i rzekł:

"Co wy nam gadacie o jakichś względach ideowych? Jasną jest rzeczą, że wy zostaliście w Związku Radzieckim tylko ze względów materialnych. Wyście sobie obliczyli, że za wasze "treby" /chrzty, śluby, pogrzeby, czyli jura stolae/ wy uzyskacie większy dochód w Związku Radzieckim, niż moglibyście uzyskać w Polskiej Republice Ludowej i dlatego zostaliście w Związku Radzieckim. A nam "ne puszkajte pył w głaza" /nie sypcie w oczy piasku/.

Nax tę filipikę odparłem stante pede: "Gdybym ja kierował się względami materialnymi, to byłbym - proszę mi darować ostre słowa - idiotą pozostając w Związku Radzieckim. W Polsce otrzymałbym kościół parafialny ze stałym dochodem, w nim legalnie i spokojnie pracować, a w Związku Radzieckim muszę siedzieć na ławie oskarżonych"!

Pan asesor zamilkł i więcej już do końca sądu nie otworzył ust swoich.

Są ludzie, którzy nie chcą uznać, że nawet pogardzony "pop" może się kierować w życiu względami ideowymi. Daleko jestem od wyniosłego poniżenia względów materialnych zwłaszcza w życiu ludzi familijnych. Ale - mówiąc stylem biblijnym - biada człowiekowi zapominającemu o słowach Zbawiciela: ~~idź~~ iż nie samym tylko chlebem żyje człowiek, ale wszelkim dobrem, które pochodzi z ust Bożych.

- - - - -

Tak więc spełniła się moja intencja z dnia 22-go stycznia 1945-go roku. Już długie lata mieszkam i pracuję na wschodzie, i to nie tylko w skali polskiej, ale nawet i w skali radzieckiej. Wszak we wschodniej azjatyckiej części Związku Radzieckiego leżą zarówno sama Karaganda, jak i wszystkie inne miejscowości, które odwiedziłem podczas moich podróży misyjnych. Praca duszpasterska tak w Karagandzie z bliższą okolicą jak i "na misjach" będzie głównym tematem trzeciej części tego pisma. Już teraz przypomnę, że moje zesłanie administracyjne do Karagandy trwało tylko pierwsze niecałe dwa lata. Wtedy cała praca duszpasterska odbywała się tylko w Karagandzie i nie mogło być mowy o żadnych podróżach misyjnych.

W maju 1956 roku zostałem zwolniony z zesłania i otrzymałem paszport jako odtąd już pełnoprawny obywatel Związku Radzieckiego, który może się swobodnie poruszać bez niczyjego zezwolenia po całym ogromnym terytorium tego państwa, byleby tylko miał paszport przy sobie.

Wkrótce potem zwolniłem się z pracy nocnego stróża w przedsiębiorstwie budowlanym i jeszcze w tym samym 1956 roku odbyłem 3 pierwsze, na razie niedalekie podróże misyjne, by w następnych latach 1957 i 58 osiągnąć szczyt częstotliwości i zasięgu całego mojego dotychczasowego misjonarstwa.

Tak się złożyło, że żyję i pracuję na wschodzie, ale nie na historycznych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej. Terytorium Kresów Wschodnich wchodzi obecnie w skład 4 radzieckich republik związkowych: litewskiej, łotewskiej i ukraińskiej, nie licząc Białostoczyzny i smoleńszczyzny, należących do Polski, względnie do Federacji Rosyjskiej.

Pamiętamy wszysc^y bardzo dobrze jak wiele rozprawialiśmy w naszym Kole o unii Jagiellońskiej i o idei Jagiellońskiej. Powierzchnie rzecz biorąc, mogłoby się zdawać- że idea Jagiellońska jest dziś całkowicie zdeaktualizowaną na rzecz triumfującej idei piastowskiej. Nic błędniejszego od takiego postawienia sprawy. Idea Jagiellońska jest to pewien sposób, czy raczej pewien styl regulowania stosunku Polski i Polaków do najbliższych sąsiadów zwłaszcza od wschodu. Chodzi tu właśnie o Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Łotyszów, lecz nade wszystko i Rosjan. A któż zaprzeczy, że stosunki polsko-rosyjskie są dziś boleśnie obłudne?

Moje obserwacje odnoszą się głównie od Rosjan, Litwinów i Ukraińców, więc ograniczę się tylko do nich, co mi już zechcą wybaczyć pominięci przeze mnie Białorusini i Łotysze. Zacznę od Rosjan.

Byłoby błędem stuprocentowym utożsamiać Związek Radziecki z Rosją, ale byłoby jeszcze o wiele większym błędem dopuszczać do pochłonięcia Rosji przez Związek Radziecki, nie dostrzegając specyfiki rosyjskiej poprzez pryzmat Związku Radzieckiego.

II. Pierwsza zasadnicza uwaga! Nic nie ma bardziej zabójczego dla stosunków polsko-rosyjskich, jak niewola, a nawet daleko idąca zależność Polski od Rosji. No tak, ale jakże się odnosi współczesny Rosjanin, radziecki Rosjanin, do Polski i Polaków?

Nie może tu być jednoznacznej odpowiedzi. Trzeba najpierw odróżnić wśród Rosjan pokolenie stare, już odchodzące, od pokoleń młodszych. Wśród starych Rosjan są jeszcze widoczne reminiscencje długoletniego antagonizmu polsko-rosyjskiego, nieuleczalnego, z czasów carskich. Odnoszą się oni do Polaków nieufnie, widząc w nas conajmniej potencjalnych wrogów Rosji.

W młodszym pokoleniu współczesnych Rosjan, a im ono jest młodsze, to tym więcej, dominującą postawą jest obojętność. Sprzyja jej bardzo słaba znajomość historii wobec jednostronnie techniczno-matematycznego kierunku w radzieckim szkolnictwie. Jeżeli w dodatku taki młody Rosjanin nie ma bliższych znajomych wśród Polaków i Polek, to Polska i Polacy obchodzą go mniej więcej tyle co Australia i Australijczycy.

Nie znaczy to jednak, że ta dominująca postawa obojętności jest w młodym pokoleniu Rosjan postawą wyłączną i jedyną. Także i wśród młodych Rosjan spotykają się ludzie niechętnie od Polski i Polaków usposobieni. Tylko że źródło ich niechęci jest całkiem inne niż u starych Rosjan. Ci nam niechętni młodzi Rosjanie mówią o nas: "Polski wsie pany, Polskije komunisty kšieże samyje pany".

Ale jednak wśród młodych Rosjan są i tacy, a wcale nie nieliczni, którzy są do Polski i Polaków usposobieni przyjaźnie, a nawet bardzo przyjaźnie. Pociąga ich do nas przede wszystkim kultura towarzyska. Uważają, że Polacy to ludzie kulturalni i dobrze wychowani, z którymi warto się znajomić, a nawet przyjaźnić. Konsekwentnie ci nasi współcześni "przyjaciele Moskale", bardzo się interesują Polską, a zwłaszcza polską kulturą, i nieraz długie lata marzą o tym, by pojechać do Polski.

Byłoby z naszej strony niwybaczalną głupotą gdybyśmy tych prawdziwych przyjaciół Moskali nie dostrzegali, lekceważyli lub i co gorsze - zrażali do siebie.

Powinniśmy w stosunkach z Rosjanami jak ognia się wystrzeżać dwóch skrajności: 1/ uniżoność i służalczość, która może wywołać tylko całkiem zasłużoną pogardę, 2/ Wywyższanie się, zwłaszcza pod względem kulturalnym. Takie zdania jak np.: "My Polacy reprezentujemy najwyższą zachodnio-europejską kulturę, do poziomu której Rosji i Rosjanom daleko" doprowadzają każdego Rosjanina zwłaszcza inteligenta, zależnie od jego temperamentu do rozgoryczenia lub do wściekłości. Powie on lub pomyśli: "To my Rosjanie według was jesteście barbaczyńcami? A więc Puszkina, Tołstoj, Mendelejew czy Pawłow to barbaczyńcy?"

Przepiękny wzór taktu okazał w tej sprawie prezydent Italii Jan Gronchi podczas wizyty w Moskwie. Mimochodem nadmienię, że prezydent Gronchi poprzednio długoletni działacz katolickich związków zawodowych, reprezentował w pewnym znaczeniu także i katolicyzm, a wraz ze swą małżonką był na Mszy św. w kościele katolickim w Moskwie. Otóż prezydent Gronchi w mądrym i głęboko przemyślanym przemówieniu podkreślił, że przybywa z Rzymu - tego powszechnie uznanego ośrodka kultury europejskiej. Przybywa do Moskwy, którą można uważać za spadkobierczynię drugiego wielkiego ośrodka europejskiej kultury jakim w swoim czasie było Bizancjum. Ta bliskość kulturalna /lecz dodam od siebie - nie tożsamość/ niech - mówił dalej- opromieni wizytę prezydenta Italii w stolicy Rosji, a obecnie i dalekiego Związku Radzieckiego. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, żebyśmy i my Polacy umieli tak mądrze i taktownie rozmawiać z Rosjanami - a zwłaszcza z tymi, którzy naprawdę szczerze uważają się za naszych przyjaciół.

Od Rosjan przechodzę odrazu do Litwinów! Tu przede wszystkim nie należy zapominać, że wszyscy oni zwłaszcza w starszym pokoleniu mają wobec Polski i Polaków pewien uraz psychiczny na tle Wilna. Musimy sobie jasno postawić alternatywę i albo cała Litwa albo jedno Wilno. Co jest ważniejsze? Czy dobre stosunki z całym narodem litewskim, czy posiadanie jednego miasta - Wilna? Sądzę - niech mi to wybaczą wszyscy rodowici Wilnianie - że dobre stosunki polsko-litewskie są dla nas ważniejsze od samego tylko Wilna.

Lecz na czym mają polegać te dobre stosunki polsko-litewskie, dla których mamy się wyrzec Wilna? Z jego jakże wielką i bogatą nie tylko litewską, ale i polską tradycją historyczną? Czy tu chodzi o wznowienie unii Jagiellońskiej? Nie, bo to jest zupełnie nierealne. Współcześni Litwini nie marzą o wznowieniu unii Litwy z Polską, ani o pozostawaniu Litwy w Związku Radzieckim aż do końca świata. Ich politycznym ideałem jest koncepcja federacji bałtyckiej: litewsko-łotewsko-estońskiej, a może nawet i fińskiej.

W 1961-ym roku w obozie dla "religiozników" my Polacy Księża, to znaczy konkretnie Bronisław, Józef i ja, prowadziliśmy bardzo szczere i interesujące rozmowy z litewskimi księżmi. Oni wyraźnie mówili- że nie chcą wznowienia unii Litwy z Polską nawet gdyby to było realnie możliwym, bo się jej obawiają. Ich zdaniem Rosjanie mogą fizycznie zniszczyć mały przecież i nie liczny naród litewski, ale zrusyfikują go. Natomiast Polacy nie niszczą fizycznie Litwinów, lecz spolonizują ich. Dość już, że Litwini w swoim czasie stracili całą swoją szlachetę, która uległa zupełnej polonizacji. Żaden Litwin nie może dopuścić niebezpieczeństwa polonizacji całego narodu litewskiego, które zaistniałoby w wypadku wznowienia unii Litwy z Polską. Właśnie dlatego, że Polacy są bardzo mili i towarzyscy, stąd wynikałoby największe niebezpieczeństwo dla samego istnienia narodu litewskiego w warunkach wznowionej unii obu narodów.

Choć ich ideałem jest federacja bałtycka, nie grożąca Litwinom wynarodowieniem, a w żadnym wypadku nie unia Litwy z Polską, to jednak księża litewscy są zdania, że w przyszłości, gay tylko ku temu zaistnieje możliwość, powinny się rozwinąć i pogłębić wzajemne stosunki na polu kościelnym, które właściwie mówiąc w skali międzynarodowej były dotąd prawie że żadne. Tylko jak długo te stosunki kościelne, łączność katolicka obu narodów, nie będą mieć warunków do ich urzeczywistnienia?

Współczesny naród ukraiński nie jest narodem jednolitym, jakim jest naród litewski, lecz jest narodem: wewnątrznie podzielonym i zróżnicowanym. Tu nie chodzi o takie różnice jakie są w każdym narodzie - takie jak u nas między krakowiakami i góralami lub między ślązakami i kaszubami czy mazurami. Odnosi się wrażenie, że naród ukraiński wciąż się jeszcze rodzi wśród niemałych mąk porodowych.

Z grubsza mówiąc, odróżnia się obecnie wśród Ukraińców:

- 1/ starych obywateli radzieckich, mieszkańców "Wielkiej Ukrainy";
- 2/ tzw. "zapaśników" pochodzących z zachodnich /"Zapadnych"/ obwodów obecnej Ukraińskiej Republiki Radzieckiej.

Wśród tych "zapadników" trzeba jeszcze odróżnić:

- a/ Galicjan, a raczej Haliczan;
- b/ Wołyniaków,
- c/ mieszkańców Zakarpacia.

Oprócz tego są jeszcze Ukraińcy na Bukowinie i Besarabii, ale o nich coś nic nie widać. Podział na Haliczan i Wołyniaków ma swoje uzasadnienie jeszcze z czasów Księstw Halickiego i Włodzimirskiego, z których pierwsze obejmowało późniejszą Galicję, a drugie Wołyń.

Szczególnie jednak charakterystycznym i znamienym jest podział Ukraińców starych obywateli radzieckich na świadomych Ukraińców i na tak zwanych chochołów. "Chochoł" to jest przezwisko Ukraińca, jak "Kacap" przezwisko Rosjanina. Rosjanin obraża się jeśli go nazwać kacapem, a Ukrainiec, ale ten świadomy Ukrainiec, obraża się jeśli go nazwać chochołem. Tymczasem chochoł sam o sobie powie: że on jest chochoł, a wcale nie mówi, że on jest Ukraińcem. Któż to jest ten zagadkowy chochoł? Jest to Ukrainiec, ale całkowicie zruszczony. Mówi on bardzo dobrze po ukraińsku. często niemiłosiernie kaleczy język rosyjski, ale woli się nie przyznawać do tego, że jest Ukraińcem. Woli się sam nazywać i być nazywanym chochołem, a nie Ukraińcem. Takich Chochołów są miliony. Nie ma ich wcale wśród "Zapadników". Rzecz znamienna, granica między Chochołami a świadomymi Ukraińcami przebiega mniejwięcej po wschodniej granicy dawnej przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Chochoł stanowi typ bodaj że dominujący na wschód od owej granicy na Charkowszczyźnie, na Tumszczyźnie i w Donbasie. To nie znaczy, że tam nie ma naprawdę świadomych Ukraińców, ale raczej są oni tam zmajoryzowani przez Chochołów.

Cała przyszłość narodu ukraińskiego zależy od pytania co w nim przeważy? Czy ukrainizacja Chochołów, czy też raczej chocholizacja Ukraińców?

Wobec tak wielkiego rozbicia wewnętrznego w narodzie ukraińskim, trudno mówić o jakimś jednolitym stosunku Ukraińców do Polski i Polaków.

Najbardziej pozytywnie odnoszą się do nas Ukraińcy z Zakarpacia. Nie byli oni przedtem ani pod Polską ani pod Rosją. Całe wieki byli pod Węgrami, a w okresie międzywojennym należeli do

Czechosłowacji. Nie ulegają oni wpływowi wojującego nacjonalizmu ukraińskiego i są głębiej od innych swych rodaków przesiąknięci kulturą zachodnią.

Na ogół dobrze odnoszą się do nas Wołyniacy i to pomimo tragicznych ekscesów przeciwko Polakom podczas drugiej wojny światowej. Przeciętny Wołyniak obecnie już starszego pokolenia dobrze wspomina rządy polskie na Wołyniu, które tam trwały za ledwie tylko 19 lat /1920-39/. W rozmowach ze mną już po wojnie wielu Wołyniaków podkreślało jak im się dobrze żyło za Polski, jak ich grzecznie traktował sam pan starosta powiatowy, chwaliłi przeprowadzoną wówczas komasację gruntów. Zastrzeżenia mieli głównie wobec szkolnictwa, a zwłaszcza ubolewali nad tym, że w szkołach uczono dzieci czytać najpierw po polsku, a potem dopiero po ukraińsku. Takie rozmowy utwierdzały mnie w przekonaniu, że rządy polskie na Kresach nie były takie już głupie i okrutne, jak się to teraz mówi "pour le roi de Prusse".

O stosunku Haliczan do Polski i Polaków nie mogę niestety nic dobrego powiedzieć. Raczej stosunek ten wydaje się być jeszcze bardziej niechętnym od stosunku Litwinów do nas. Jeżeli chodzi o inteligentów Haliczan, to niemało wśród nich jest chorych na swoistą megalomanię narodową. I u nas przed wojną były rojenia o mocarstwowości. Ale Polska niepodległa już wtedy była, i w dość rozległych granicach, i z ponad 30-milionową ludnością. Zapominaliśmy tylko o tym, że Polska była zbyt słabą pod względem ekonomicznym, by mogła poważnie kusić wię o mocarstwowość. Tymczasem niepodległej Ukrainy jeszcze nie ma. Oni sami nie chcą uznać i nie uznają Ukrainy Radzieckiej za niepodległą. Mają na swoich plecach wielomilionowy garb całkowicie zruszczonych Chochółów. A jednak upajają się wizją mocarstwowej Ukrainy już nie od Bugu i Sanu, lecz od Lublina i Krakowa aż po góry Kaukazu. Na podstawie tej swojej - trzeba to przyznać - fantastycznej wizji ci haliccy wizjonerzy patrzą się na nas Polaków lekceważąco z wysokości swego urojonego majestatu. Oczywiście, że przy takiej postawie nie da się zbudować jakichś lepszych stosunków polsko-ukraińskich w przyszłości.

O wiele poważniej traktują Polskę i Polaków Ukraińcy z Kijowszczyzny lub Półtawszczyzny, w ogóle z tak zwanej Wielkiej Ukrainy. Widzą oni w Polakach cennych i pożądaných sprzymierzeńców w walce o lepsze jutro swego narodu. To filopolskie stanowisko wielu Ukraińców nie zawsze bywa zarazem antyrosyjskim, ale zawsze łączy się z postawą antychochołską.

Bo o Chochołach nie mam wiele do powiedzenia. Chochoł jest zapatrzony w Moskwę. Im więcej go fascynuje Moskwa, tym mniejsze, a w końcu i żadne znaczenie ma dla niego Warszawa czy Kraków.

Jeżeli mówimy o wewnętrznym rozbiciu narodu ukraińskiego, to rząd stalinowski dolał jeszcze oliwy do ognia kasując unię kościelną w 1946 roku na wzór kasaty unii za cara Mikołaja I. w roku 1839. Wówczas rząd carski znalazł biskupa unickiego Józefa Siemaszkę, który to przeprowadził. Teraz rząd stal^onowski nie znalazł wprawdzie ani jednego biskupa grecko-katolickiego, ale znalazł we Lwowie prałata Gabriela Kostelnika, który stanął na czele tzw. inicjatywnej grupy dla powrotu na łono cerkwi prawosławnej. Odtąd na Ukrainie działa cerkiew prawosławna, która oficjalnie wchłone^{ła} w siebie Kościół grecko-katolicki i wszystkich grekokatolików. Działają też poszczególne kościoły katolickie, ale wyłącznie tylko obrządku łacińskiego. Choć bardzo wielu grekokatolików wcale się nie uważa za prawosławnych, to nie ma teraz ani jednego czynnego kościoła grecko-katolickiego. Większość tych kościołów jest oddanych do użytku prawosławnym, niektóre stoją w ogóle zamknięte i nieczynne. Jeden z halickich inteligentów mówił mi kiedyś z rozgoryczeniem: "My Ukraińcy greko-katolicy jesteśmy na Ukrainie w gorszym położeniu, niż wy Polacy. Wy macie choć trochę własnych kościołów, a my nie mamy ani jednej czynnej cerkwi grecko-katolickiej".

Co do księży grecko-katolickich to jedni z nich, nieliczni na Zakarpaciu, liczniejsi niestety w Galicji, "powrócili", z prawosławia, i stali się apostołami katolicyzmu; drudzy - na czele ze wszystkimi swoimi biskupami, na odwrót stali się wyznawcami wiary katolickiej i odcierpieli długoletnie więzienie, dochodzące u niektórych do 10 lat; a byli i tacy, którzy pozo-

apostatami

stali przy katolicyźmie lecz szczęśliwie uniknęli uwięzienia.

Do Polski i Polaków księża greckokatoliccy z Galicji odnoszą się lepiej i pozytywniej niż świeccy inteligenci. Jednak i wśród nich są tacy, którym uderza do głowy wizja mołarstwowej Ukrainy. Ukraińcy gregokatoliccy księża zakarpaccy odnoszą się do nas nie tylko dobrze, ale wręcz serdecznie.

W tych warunkach nic dziwnego, że na Ukrainie panuje zamęt i wcale nie można określić jak wielkie straty co do wiernych poniósł kościół katolicki i jak wielu przekonanych wyznawców zyskała cerkiew prawosławna.

Wreszcie nie trzeba zapominać o istnieniu licznej, ruchliwej i dobrze zorganizowanej emigracji ukraińskiej na Zachodzie, Szczególnie Kanada jest tym istnym bastionem ukraińskiego narodu na emigracji.

Nie silę się wcale podawać jakichś gotowych recept na przyszłość stosunków polsko-ukraińskich. W każdym razie powinniśmy baczenie obserwować ów wrzący kocioł ukraiński, i to co się z niego stopniowo będzie wyłaniało. A tych Ukraińców, którzy się do nas odnoszą dobrze i pozytywnie, nie zrażajmy niewczesnym wzmiankami im właśnie błędów czy okrucieństw popełnionych przez ich rodaków.

Tyż jest moich uwag i obserwacji co do narodów objętych ideą Jagiellońską. Ale ja sam mieszkam w Kazachstanie i niejednokrotnie spotykałem się z zainteresowaniem odnośnie Kazachów i innych ludów azjatyckich. Chętnie się i o nich coś powie.

Kazachska Republika Radziecka obejmuje ogromne terytorium, które dawniej przed rewolucją było określane poprostu jako południowo-zachodnią część Syberii. Sami K a z a c h o w i e nie byli dawniej znani pod obecną nazwą Kazachów, lecz nazywano ich Kirgizami. Teraz Kirgizami nazywają się tylko mieszkańcy Kirgizkiej Republiki Radzieckiej, leżącej na południe od Kazachstanu, dokładnie nieco na południowy wschód.

Na południe od Kazachstanu rozciąga się obszerne, choć mniejsze od samego Kazachstanu, terytorium nazywane przed rewolucją

Turkiestanem, a obecnie Radziecką Azją Środkową. Na tym terytorium, idąc od wschodu do zachodu, mieszczą się 4 radzieckie republiki związkowe: Kirgizka, Tadżycka, Uzbecka i Turkmeńska.

Wszystkie te narody, a więc Kazachowie, Kirgizi, Tadżycy, Uzbeki i Turkmeni, są to narody muzułmańskie. Kazachowie, Kirgizi, Uzbeki i Turkmeni mówią dialektami języka tureckiego i są zaliczani do turańskiej grupy etnicznej. Sądząc z typu ~~kształtu~~ fizycznego, Kazachowie i Kirgizi mają silną domieszkę krwi mongolskiej. Jedni tylko Tadżycy należą do całkiem innej grupy etnicznej i mówią całkiem innym językiem. Są oni Aryjczykami grupy Irańskiej. Ich najbliższymi krewniakami są Irańczycy i Afgańczycy.

Właśnie z Tadżykami no i z Kazachami, miałem najwięcej styczności. Jednak to była styczność całkiem przelotna, na pracę misjonarską wśród nich nie było ani czasu ani możliwości. W żadnym razie nie mogę uchodzić za znawcę tych ludów, więc i moje informacje o nich będą tylko najogólniejsze.

Kazachowie - to lud do niedawna koczowniczy, pasterski. Tadżycy i Uzbeki to ludy rolnicze, z dawną osiadłą. Wydaje mi się, że pod względem kulturalnym Tadżycy i Uzbeki stali ~~si~~ stoją wyżej od Kazachów i Kirgizów. Bynajmniej nie są to jakieś ludy prymitywne. Mają swoje bogate tradycje historyczne. Warto przeczytać znakomicie napisaną powieść historyczną niedawno zmarłego pisarza Kazachskiego Michtara Auezowa o Kazachskim poecie Abaju. Powieść ta jest zatytułowana "Abaj". W tej powieści Auezow byrdzo wymownie i barwnie opisuje życie i kulturę Kazachów w drugiej połowie XIX-go wieku.

Pomimo tego jednak wszystkie te ludy ustępują pod względem kulturalnym nie tylko Rosjanom; ale także Gruzinom i Ormianom oraz mieszkańcom zachodniej części Związku Radzieckiego.

Rząd Radziecki popiera kształcenie i pomnażanie rodzimej inteligencji spośród tych ludów. Dokłada się wszelkich starań by związać jak najściślej tę inteligencję z partią i ideologią komunistyczną. Jest jednak rozpowszechniana opinia, że taka polityka jest obosieczna, bo ta młoda inteligencja, jest o wiele bardziej podatną na hasła nacjonalistyczne niż komunistyczną.

Jak mi w tym roku się zwierzył pewien rodowity Rosjanin: "Do niedawna Ruscy krzyczeli na Kazachów, a teraz już Kazachy zaczynają pokrzykiwać na Ruskich".

Czy Muzułmanie trzymają się swojej wiary? Tadźcy i Uzbegy są z pewnością pobożniejsi od Kazachów. Młodzież zna słabo swoją wiarę, a zapewne znaczna jej część wcale się nie modli. Jednak wszyscy oni wierzą w jedynego Boga Allaha, którego największym ostatnim i nieprześcignionym prorokiem jest Mahommed. Jest rzeczą nader znamioną: Rosyjscy żulicy, a nieraz niestety i nie żulicy, rugają się w Boga. Muzułmański żulik może się rugać najgorszymi słowami, ale nigdy i w żadnym wypadku nie ruga się w Boga.

Był czas, że wszystkie meczety w Związku Radzieckim były pozamykane. Radzieckim Muzułmanom pomogła wizyta prezydenta Nassera, który sam jest pobożnym muzulmaninem. Potwierzano na nowo meczety w większych miastach. Funkcjonują 2 zarządy organizacyjne muzulmańskie: dla Kazachstanu i Azji Środkowej oraz dla europejskiej części Związku Radzieckiego. Po długich latach przerwy wyruszają ze Związku Radzieckiego pielgrzymki do Mekki. Jak mi powiedział łamanym językiem rosyjskim pewien mułła kazachski: "Dawniej było źle, bardzo źle /płochy, oczeń płochy/, a teraz jest dobrze, bardzo dobrze /choraszo, oczeń choroszo/. Czy tak naprawdę bardzo dobrze, to miałbym co do tego poważne wątpliwości. Na pewno jednak jest teraz radzieckim muzulmanom lepiej, niż było przed wizytą Nassera.

Obiektem mojej długoletniej już pracy duszpasterskiej i misjonarskiej nie są Rosjanie ani tym mniej Kazachowie lub Tadźcy. Pracuję przede wszystkim wśród i dla Niemców i Polaków. Cóż to są za Niemcy i coż to za Polacy? Niemcy nie są z Niemiec, a ci Polacy nie są z przedwojennej Polski. Owszem, w latach wojennych i powojennych przebywało w tych stronach azjatyckich sporo tak tu nazywanych Polaków z Polski, obywateli polskich. Ale dawno już wszyscy oni repatriowali się do obecnej Polski Ludowej, jedni w 1945 r., a drudzy w 1955 i 56 roku. Wielu też wyjechało ze Związku Radzieckiego wraz z armią Andersa.

Polacy zamieszkali obecnie w Kazachstanie są przesiedleńcami obwodów Kamienieckiego, Żytomierskiego i Winnickiego na Ukrainie. W tamtych obwodach po dziś dzień istnieje wielotysięczna Polonia i są czynne niektóre kościoły, jak np. w Carogrodzie i w Bako, gdzie już czwarty rok są proboszczami Bronisław Drzepecki i Józef Kuczyński. Nasi kazachstańscy Polacy zostali przesiedleni z Ukrainy do Kazachstanu w roku 1936-ym. Zaważył na tej decyzji rządu radzieckiego ówczesny "flirt" rządu sanacyjnego z Hitlerem. Całe młode pokolenie jest już urodzone i wychowane w Kazachstanie. Długie lata polscy przesiedleńcy byli pod komendanturą i nie mogli nigdzie wyjeżdżać. Później otrzymali oni całkowitą wolność ruchów. Niektórzy wrócili do swych stron rodzinnych, na Ukrainie, lecz większość pozostała w Kazachstanie.

Według ostatniego spisu ludności było w Kazachstanie 53 tysiące Polaków. Faktycznie jest ich znacznie więcej, bo sporo Polaków jest zapisanych w paszporcie jako Ukraińcy, choć wcale się za Ukraińców nie uważają.

Są 3 główne ośrodki rozmieszczenia polskiej ludności w Kazachstanie:

- 1/ Obwody kokczetawski i celinogradzki /dawniej ukmoliński/.
W tych dwóch obwodach mieszka ogromna większość kazachstańskich Polaków. Jest ich sporo po miastach i są całe wioski z liczną a nieraz nawet i przeważającą ludnością polską. Właśnie w obwodzie kiczetawskim pracował Józef Kuczyński, a w obwodzie celingradzkim Bronisław Drzepecki.
- 2/ Okolice Alma - Aty. Tam jest już znacznie mniejsze skupisko Polaków. W mieście Alma-Ata, które jest stolicą Kazachstanu, Polaków jest niewiele, ale w okolicy są wioski z liczną, rzadziej już z przeważającą ludnością polską.
- 3/ Miasto Karaganda wraz z bliższą okolicą stanowi trzeci najmniejszy ośrodek, raczej małą wysepkę Polaków.

Starsi Polacy około 70-ki, na ogół wcale nieźle mówią po polsku, choć nie ^{bardzo} bez licznych rusycyzmów i ^kuainizmów. Są oni bardzo pobożni. Są wśród nich tacy, którzy znają na

pamięć mnóstwo polskich pieśni religijnych, nieraz bardzo starodawnych i w Polsce już zapomnianych. Średnie pokolenie już mówi gorzej po polsku, lecz na ogół jeszcze mówi. Młodzież mówi po polsku tylko w najlepszych i najbardziej starannych rodzinach. Na ogół jednak cała ta młodzież rozumie polską mowę, lecz już nie rozmawia po polsku. Spotykają się niestety i tacy co nawet nie rozumieją swej mowy ojczystej. Wśród młodzieży większość nie umie czytać po polsku, choć chętnie się uczy tej umiejętności, byleby tylko znalazł się elementarz. Natomiast starsi prawie że wszyscy czytają po polsku bardzo dobrze z własnej książeczki do nabożeństwa, lecz słabiej z innych książek zwłaszcza świeckiej treści. Starsi Polacy niemal że stuprocentowo są wierzącymi, przeważnie bardzo przywiązanymi do swej wiary. O stanie religijnym młodzieży powrócimy trochę później.

W każdym razie tak starzy jak i młodzi dopóki się trzymają wiary katolickiej, są Polakami. Jeśli zaś zaczynają odchodzić od wiary katolickiej, to rusyfikują się bardzo szybko. Pomalutku zaczyna się tworzyć młoda inteligencja z dzieci naszych Polaków, którzy są wieśniakami lub rzemieślnikami i robotnikami. Ale ta młoda inteligencja zupełnie jest pozbawiona znajomości Polski, jej kultury i historii. To samo zresztą jest i na Ukrainie w obwodach, z których pochodzą nasi przesiedleńcy.

N i e m c ó w jest w samej Karagandie i w ogóle w tamtych stronach o wiele więcej niż Polaków. Ci Niemcy są potomkami niemieckich kolonistów osadzonych w cesarstwie rosyjskim za panowania Katarzyny II-ej i jej następców, a więc w drugiej połowie XVIII wieku i w pierwszej połowie XIX-go wieku. Pod względem wyznaniowym Niemcy w Związku Radzieckim, jak i w samych Niemczech, nie są jednolici. Jest wielu luteranów, sporo baptystów, ale też i wielu katolików.

Niektórzy Niemcy przybyli w te strony azjatyckie jeszcze przed rewolucją, lecz ogromna ich większość została tu przesiedlona z europejskiej części Związku Radzieckiego częściowo jeszcze przed wojną, ale szczególnie podczas wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu. Niemało też Niemców przyjechało w te strony dobrowolnie w latach powojennych.

Kolonizacja niemiecka w cesarstwie rosyjskim była dokonana na głównie na dwóch terenach:

- 1/ na południowej Ukrainie /Odessa, Mikołajów, Cherson, Zaporozże/
- 2/ na Powołżu koło Saratowa. Przeważnie z tych dwóch terenów pochodzą nasi Azjatyccy Niemcy. Po dziś dzień mówi się u nas o odesskich i o wołżańskich Niemcach. /Odessa-Deutsche und Wolga-Deutsche/.

Ja pracowałem wśród Niemców nie tylko w samej Karagandzie z najbliższą okolicą. Prowadziłem wśród nich pracę duszpasterską podczas moich wypraw rosyjskich w różnych okolicach a zwłaszcza w Tadżykistanie, o czym opowiem w 3-ej części tego pisma.

Mogę zaświadczyć z całym przekonaniem, że dobrze jest być duszpasterzem Niemców, czyli jak mówią tutejsi ateiści "niemieckim popem". Niemcy mają we krwi karność i zdyscyplinowanie. Albo wcale nie zapraszają księdza, ale jeśli już zaproszą, to prawie że wszyscy korzystają z jego usług. Natomiast nasze "Polaczki" jak wszędzie tak i w Kazachstanie są indywidualistami.

Jeżeli w Karagandzie Niemiec katolik żeni się z Niemką katoliczką, to zazwyczaj cały miesiąc przed weselem przychodzą do księdza razem obie mamy i mówią tak: "Wesele będzie tego dnia. Przychodzimy zawczasu, żeby Pater miał czas dobrze przygotować młodych do ślubu /"Pater, proszę im dobrze nagadać"/ i żeby wspólnie ustalić datę ślubu oczywiście przed weselem". A tymczasem nasze kochane "Polaczki" myślą tylko o hucznym weselu, gęsto zakrapianym wódeczką, a o ślubie kościelnym zaczynają myśleć, i to nie wszyscy, dopiero po weselu. Jednym słowem: Niemcy są katolikami bardziej konsekwentnymi niż Polacy i dlatego dobrze jest być ich duszpasterzem.

Polacy przewyższają Niemców pod niektórymi względami. Są bardziej serdeczni i ofiarni. Wszyscy, nie wyłączając młodych inteligentów, całują księdza w rękę, a czynią to bardzo chętnie i bez przymusu. Niemcy, za wyjątkiem niektórych staruszek, nie mają zwyczaju całowania jegomościa w rękę. Są bardziej sztywni, choć nie pozbawieni serdeczności. Owszem są ofiarni, niekiedy nawet bardzo ofiarni, ale Polacy są na ogół jeszcze ofiarniejsi. Wyłącznie tylko z ofiar wiernych już długie lata żyję, utrzymuję

się, a jak trzeba to i podróżuję, a w dodatku płacę podatek dochodowy, który w tym /1969-ym roku/ wyniósł 1088 rubli czyli 16.320 złotych. Pewnie, że nie mógłbym sobie pozwolić na kupno samochodu osobowego, ale na tanto wszystko wystarcza.

Starzy Niemcy ^{to}kalicy czują się przede wszystkim katolikami, a potem dopiero Niemcami. Taki stary Niemiec katolik powie o sobie: "Ich bin Deutsch-Katholisch", a rzadziej: "Ich bin ein Deutscher". U młodzieży nie ma już aż takiej przewagi katolicyzmu nad niemieckością. Starzy Niemcy katolicy nawet nie bardzo uważają Niemców luteranów lub baptystów za swych rodaków. Wolą np. by ich dzieci i wnuki wstępowały w związek małżeński z Polakami i Litwinami, czy też z Polkami i Litwinkami, byleby tylko naprawdę wierzącymi po katolicku, niż Niemcami czy Niemkami należącymi do innych wyznań religijnych. Jeszcze więcej ci starzy Niemcy katolicy są przeciwni związkom małżeńskim z Rosjanami lub Rosjankami. Ponieważ przy tym rodziny niemieckie są o wiele więcej karne i zdyscyplinowane niż rodziny polskie i dzieci przeważnie bardzo się liczą ze zdaniem rodziców, przeto mieszane małżeństwa niemiecko-rosyjskie są stosunkowo niezbyt częste, a nawet związki małżeńskie z Niemcami lub Niemkami z innych wyznań są rzadsze niż jednolite małżeństwa niemieckie i katolickie.

Polacy są więcej od Niemców narażeni na wynarodowienie i utratę wiary. Niemcy tak jak Żydzi wolą być w kupie. W pierwszych latach po wojnie byli oni bardzo rozproszeni wszędzie pod komendanturą, i musieli żyć tam gdzie im kazano, nieraz bez swych rodaków, wśród innych narodowości. Ale kiedy po śmierci Stalina oswobodzono ich spod komendatury i kiedy oni uzyskali swobodę ruchów, to nie wracali w swoje strony rodzinne, gdzie teraz jest bardzo mało Niemców, lecz jechali tam gdzie już po wojnie wytworzyły się większe skupiska ludności niemieckiej.

Tak było i w Karagandzie. Kiedy przed 15-tu laty zostałem zesłany do Karagandy, Niemców było jeszcze stosunkowo nie tak wielu. Tylko na jednym przedmieściu było bardzo wielu Niemców z Powołża zesłanych jeszcze w 1930 r. po uprzednim "rozkułaczeniu"

ich podczas kolektywizacji rolnictwa. Wśród nich mieszka i pracuje mój sąsiad i przyjaciel ksiądz prałat Aleksander Chira, były rektor grecko-katolickiego seminarium duchownego w Užhorodzie na Zakarpaciu. W ciągu ostatnich 15-tu lat Niemcy zasiedlili całą Karagandę. Zapewne przyjeżdżali oni także i ze względu na łatwość znalezienia roboty, ale przede wszystkim przyciągało ich to, że w Karagandzie jest wielu Niemców, i katolików, zwłaszcza tu, że są księża katoliccy w naszym mieście.

Niczego podobnego nie obserwowałem nigdy wśród Polaków. Żyd ciągnie do Żyda, Niemiec do Niemca, ale Polak rzadko kiedy ciągnie tam, gdzie jest choć trochę więcej Polaków. A jeżeli się jeszcze zważy, że w młodym pokoleniu mieszane małżeństwa z Rosjanami i Ukraińcami czy też z Rosjankami i Ukrainkami są niestety o wiele częstsze niż jednolite małżeństwa polskie, to łatwo sobie dośpiewać resztę....

Stosunki między Polakami i Niemcami katolickimi, są dobre, a często nawet serdeczne, czego już nie da się obserwować w stosunkach Polaków z Niemcami innych wyznań. Niemcy na ogół tak w głębi duszy uważają się za coś lepszego nie tylko od Rosjan, ale i od Polaków, jednak Niemcy katolicy patrzą się na Polaków i Litwinów jako na niemalże równych sobie. Natomiast starzy Polacy uważają się za coś lepszego od.. Ukraińców, a nie tyle już od Rosjan. Przeciętny stary Polak nie mówi o języku ukraińskim, tylko o języku chłopskim. Gorzej, że wśród młodych Polaków, i to inteligentniejszych da się zauważyć przeświadczenie o wyższości kultury rosyjskiej, dochodzące nieraz aż do wstydzania się własnej polskości.

Jak wśród Polaków, tak i wśród Niemców, wytwarza się młoda inteligencja. I jej także brakuje głębszych znajomości Niemiec, ich kultury i historii. Jednak ci młodzi i inteligentni Niemcy choć trochę lepiej znają swoje sprawy ojczyste, niż młodzi inteligenci Polacy.

Ponieważ w Polsce jest niewątpliwie zainteresowanie Żydami, więc piszę i o Żydach radzieckich, choć sam niewiele miałem z nimi styczności.

"Żydzi po mistrzowsku umieją się przystosowywać i urządzać" mawiają o nich Rosjanie. A jeden z szefów kijowskich Zolików, a

przy tym wcale niezły śpiewak i pan..... tak o tym śpiewał w celi więziennej: "Ach! Biednyj Szloma - U niego zabrali czo-tyre doma - no tiepier on tichij smirnyj Zawo-juwelirnyj"! Wedle tej pieśni: choć u biednego Szlomy zabrali - rozumie się po rewolucji , 4 domy, to on teraz cichy i pokorny jest kierownikiem magazynu jubilerskiego!

Żydzi w Związku Radzieckim tak się dobrze przystosowali i urządzili, że teraz całkowicie zanika typ żydka dobrego handlarza lub rzemieślnika. Radziecki "Jewrej" to inteligent najczęściej z wyższym wykształceniem, inżynier, lekarz, profesor lub handlowiec wyższego stopnia służbowego. Obecnie w związku z wojną izraelsko-arabską sytuacja radzieckich Żydów jest dość niewyraźna, za granicę ich nie puszczają, lecz Żydzi umieją czekać, przeczekać i wytrwać na swoich dalszych posiadach państwowych.

Po scharakteryzowaniu poszczególnych narodowości pragnąłbym coś więcej powiedzieć o ich obecnym stanie pod względem religijnym. Szczególnie często słyszę pytanie, czy młodzież trzyma się jeszcze wiary, czy nie odchodzi od niej masowo? Oczywiście, że nas obchodzą przede wszystkim katolicy, młodzież katolicka. Jednak ze względów kompozycyjnych pomówimy najpierw o Rosjanach, o młodzieży rosyjskiej. Jednak Rosjanie nadają ton całemu związkowi Radzieckiemu, więc omawianie interesującej nas sprawy bez ich uwzględnienia dałoby obraz za mało wyrazisty. Zastrzega się, że na razie będę mówił tylko o rodowitych Rosjanach, a nie o Ukraińcach i Białorusinach, których tak często pląta się z Rosjanami.

Jest moim zdaniem, że Rosjanie więcej od wszystkich innych narodowości poddali się wpływowi ateizmu lub agnostycyzmu. Wśród rodowitych Rosjan procent przekonanych ateistów, a jeszcze więcej agnostyków, jest z pewnością wyższy, niż w innych narodowościach.

Ale tu trzeba uwzględnić dwie nader znamienne okoliczności występujące zresztą nie wśród samych tylko Rosjan, lecz w ogóle całym Związku Radzieckim:

1/ O wiele więcej jest w Związku Radzieckim agnostyków niż ateistów w ścisłym słowa tego znaczeniu. Przeciętny młody człowiek niewierzący jeśli go zapytać, odpowiada: "Ja nie wierzę w Boga".

i zwyczajnie jeszcze doda "filozoficzne" uzasadnienie: "Ja Go nie widział". Ale nie będzie on przysięgał- że na pewno wie, iż nie ma Boga, lecz powie: "A może on gdzieś jest, ale ja sam go nie widział i nikt go nie widział". Kto zaś nie wyklucza możliwości istnienia Boga, ten już przez to samo nie jest ateistą.

2/ W Związku Radzieckim jest dużo ludzi, którzy uchodzą za ateistów, a wcale nimi nie są. Przede wszystkim wszyscy partyjni uchodzą za ateistów, tymczasem i wśród nich więcej jest agnostyków, a nawet i niemało takich, którzy po cichu wierzą w Boga. Gorzej, że wśród Rosjan i wśród ludów wschodnich istnieje pewna ^{łatwość} ~~chęć~~ zapierania się wiary dla doraźnego użytku. Są tacy co się nawet z tego chwalą, a w zaufanym gronie mówią, że oni myślą stać się bezbożnikami.

Propaganda ateistyczna prowadzi się w Związku Radzieckim dość intensywnie, choć prawdę mówiąc - mogła by jeszcze intensywniej być uprawiana, Szczególną uwagę zwraca się przy tym na dzieci i młodzież. Poziom propagandy ateistycznej jest na ogół niski. Wystarczy porównać artykuł na temat ten w komunistycznej prasie radzieckiej i polskiej. Porównanie wypada na korzyść prasy polskiej. W propagandzie radzieckiej jest bardzo mało argumentacji filozoficznej. Więcej się zwraca uwagi na rzekomą sprzeczność między wiarą a nauką. Jeszcze więcej udziela się uwagi ośmieszaniu i zohydzeniu "popów" i "bogomołków". "Pop" to nie tylko duchowny prawosławny, to także nasz ksiądz, luterański pastor, muzulmański mułła, sekciarski predykant, a nieraz podciąga się pod to pojęcie monachów i monaszki. "Bogomół" lub "Bogomolka" to w ogóle pobożna osoba jakiegokolwiek religii lub wyznania. Właśnie ośmieszanie, nie argumentacja, jest ulubioną metodą radzieckiej propagandy ateistycznej. Wiele zamieszania sieje stawianie na równi nawet najwyższych form i przejawów religii z najgrubszymi zabobonami, nieraz nie mającymi nic wspólnego z religią.

Rezultaty tej propagandy ateistycznej, antyreligijnej są zarazem i wielkie i małe. Wielkie, bo dzieci, a zwłaszcza młodzież boją się ośmieszania, które się okazuje bronią skuteczną przede wszystkim przeciw modlitwie, a nieraz nawet przeciw samej wierze.

Małe są rezultaty, a nieraz i żadne, tam gdzie rodzice i wychowawcy są naprawdę wierzący, i działający własnym dobrym przykładem.

Jeżeli ateizm, a jeszcze więcej agnostycyzm, odnosi największe sukcesy wśród Rosjan, to jedną z głównych przyczyn tego smutnego zjawiska jest u nich niedbalstwo rodziców i wychowawców. Często w rosyjskich rodzinach bywa tak, że starzy modlą się sami, ale nie dbają zupełnie o to, by się modliły ich dzieci i wnuki. Za mało jest w rosyjskich rodzinach troski o zaszczepienie i przekazanie wiary młodemu pokoleniu. Wpływa też na to także i specyficzna mentalność narodu rosyjskiego. Dla Rosjan argumenty rozumowe odgrywają w religii minimalną rolę. Na czoło wysuwa się przeżycie religijne, swoisty mistycyzm. Psychice rosyjskiej nie odpowiada tomizm, a o wiele bliższy jej jest egzystencjalizm.

Dość często jest w Związku Radzieckim wśród Rosjan a nieraz i wśród innych narodowości takie zjawisko: młodzież dorastająca przechodzi przez ateizm tylko chwilowy. Chłopcy i dziewczęta w wieku od 16-tu do 20-tu lat wierzą w to, że nie ma Boga. Później jednak przychodzi jakaś refleksja i już w wieku około 25 lat ci sami chłopcy i dziewczęta albo stoją na pozycji agnostycyzmu, lecz już nie ateizmu, albo powracają do wiary w Boga, choć zwykle nie do modlitwy, o ile ta wiara w dzieciństwie choć trochę była u nich zaszczepiona.

Ponieważ wśród młodzieży, i to nie tylko rosyjskiej, rozpowszechniony jest agnostycyzm, to jeszcze o nim słów parę. Ci młodzi agnostycy, choć nie wykluczają możliwości istnienia Boga to przeważnie zupełnie się tym nie interesują. Są całkowicie pogrążeni w materializmie praktycznym, życiowym. Jednych, i to bardzo wielu, interesuje wódka, innych technika, sport, nauka, sztuka, literatura, sprawy seksualne, pieniądze, dobrobyt. Wśród tych młodych agnostyków istnieje jednak pewna, nie tak już nieliczna mniejszość głębiej myśląca. Oni nawet bardzo się interesują religią. Ale nie tak to łatwo takiemu myślącemu młodemu człowiekowi spotkać bliźniego, który mógłby mu podać pomocną dłoń.

Małe są rezultaty, a nieraz i żadne, tam gdzie rodzice i wychowawcy są naprawdę wierzący, i działający własnym dobrym przykładem.

Jeżeli ateizm, a jeszcze więcej agnostycyzm, odnosi największe sukcesy wśród Rosjan, to jedną z głównych przyczyn tego smutnego zjawiska jest u nich niedbalstwo rodziców i wychowawców. Często w rosyjskich rodzinach bywa tak, że starzy modlą się sami, ale nie dbają zupełnie o to, by się modliły ich dzieci i wnuki. Za mało jest w rosyjskich rodzinach troski o zaszczepienie i przekazanie wiary młodemu pokoleniu. Wpływa tu na to także i specyficzna mentalność narodu rosyjskiego. Dla Rosjan argumenty rozumowe odgrywają w religii minimalną rolę. Na czoło wysuwa się przeżycie religijne, swoisty mistycyzm. Psychice rosyjskiej nie odpowiada tomizm, a o wiele bliższy jej jest egzystencjalizm.

Dość często jest w Związku Radzieckim wśród Rosjan a nieraz i wśród innych narodowości takie zjawisko: młodzież dorastająca przechodzi przez ateizm tylko chwilowy. Chłopcy i dziewczęta w wieku od 16-tu do 20-tu lat wierzą w to, że nie ma Boga. Później jednak przychodzi jakaś refleksja i już w wieku około 25 lat ci sami chłopcy i dziewczęta albo stoją na pozycji agnostycyzmu, lecz już nie ateizmu, albo powracają do wiary w Boga, choć zwykle nie do modlitwy, o ile ta wiara w dzieciństwie choć trochę była u nich zaszczepiona.

Ponieważ wśród młodzieży, i to nie tylko rosyjskiej, rozpowszechniony jest agnostycyzm, to jeszcze o nim słów parę. Ci młodzi agnostycy, choć nie wykluczają możliwości istnienia Boga to przeważnie zupełnie się tym nie interesują. Są całkowicie pogrążeni w materializmie praktycznym, życiowym. Jednych, i to bardzo wielu, interesuje wódka, innych technika, sport, nauka, sztuka, literatura, sprawy seksualne, pieniądze, dobrobyt. Wśród tych młodych agnostyków istnieje jednak pewna, nie tak już nieliczna mniejszość głębiej myśląca. Oni nawet bardzo się interesują religią. Ale nie tak to łatwo takiemu myślącemu młodemu człowiekowi spotkać bliźniego, który mógłby mu podać pomocną dłoń.

W Związku Radzieckim wszystko stoi na usługach ateizmu: prasa, szkoła- kino, radio, telewizja. Ateiści w ten czy inny sposób, wciąż przemawiają, a ludzie wierzący choć jest ich więcej niż ateistów, na ogół milczą. A przy tym nawet mądra i pobożna staruszka nie potrafi przekonać studenta lub studentkę wyższej uczelni, bo na to potrzeba choć trochę znajomości filozofii i umiejętności zbijania - przeważnie zresztą bardzo prymitywnych argumentów radzieckiej propagandy ateistycznej.

Z pewnością jest jakieś ziarno prawdy w zdaniu, że^w psychice rosyjskiej jest skłonność do skrajności. We współczesnym społeczeństwie rosyjskim występują skrajności także i w dziedzinie religijnej. Występuje niewątpliwie skrajny ateizm, choć jest on o wiele mniej od agnostycyzmu rozpowszechniony. Ale równocześnie występuje i religijność, i to bardzo aktywna i często przesiąknięta swoistym mistycyzmem.

Rosyjskie prawosławie poniosło wielkie straty na rzecz ateizmu i agnostycyzmu, a częściowo także i na korzyść sekciarstwa. Mimo to sądzę, że jednak większość współczesnych Rosjan trzyma się nadal prawosławia. Szczególnie silną jest pozycja cerkwi prawosławnej we właściwej Wielkorosji, a więc w samej Moskwie i we wszystkich okolicznych stronach wielkorosyjskich. We wszystkich tych Tułach~~ch~~ Kaługach, Riazaniach, Orłach, Tworach^{Tworach} czy Jurorsławskach. Na peryferiach, a szczególnie w azjatyckiej części Związku Radzieckiego wpływy cerkwi prawosławnej w społeczeństwie rosyjskim są już o wiele mniejsze.

Ponadto trzeba jeszcze uwzględnić, że w rosyjskiej cerkwi prawosławnej jest rozłam. Część, może nieznaczna, lecz bardzo gorliwa rosyjskich prawosławnych nie uznaje nad sobą władzy moskiewskiego patriarchy zarzucając mu, iż on się zaprzedał bezbożnej władzy państwowej.

Bardzo znamienym zjawiskiem dla wierzącej części społeczeństwa rosyjskiego jest rozwój sekciarstwa. Ale opozycjonistów prawosławnych nie należy mieszać z sekciarzami. Ci opozycjoniści uważają się za najlepszych prawosławnych, stoją na gruncie prawosławnej tradycji, i podkreślają, że z tamtymi sektami nie mają i nie chcą mieć nic wspólnego.

Właśnie w tych prawosławnych kierunkach opozycyjnych przejawia się rosyjska skrajność i mistycyzm. Tacy np. "Istynno-Pravosławnyje Christianie" nie chcą mieć nic wspólnego z władzą państwową jako bezbożną, a nawet - jak oni mówią - szatańską. Dlatego nie biorą żadnej pracy rządowej i klepią biedę. Co więcej: nawet nie biorą paszportów i innych dokumentów, a na pyżanie funkcjonariuszy milicji: "Ktoś ty"? odpowiadają: "Ja rab Bożij Iwan" albo "ja rabyni Bożja Agafieja". A znowu Michajłowcy uwierzyli w to, że ich przywódca - prawosławny monach Michał Jerszow - jest ni mniej ni więcej tylko świętym Michałem Archaniołem. Na podstawie jednego zdania prorocstwa Daniela, iż się objawi Archanioł Michał, objawił się Jerszow, że on sam jest Archaniołem Michałem, posłanym przez Boga dla ratowania świętej Rusi.

We właściwym ruchu sekciarskim najwięcej mają sukcesów i zwolenników Baptyści, Menonici, Adwentyści, Zielono Świątkowcy i Świadkowie Boga Jehowy czyli Badacze Pisma świętego. Są to wszystko sekty pochodzenia zachodniego. Są i sekty pochodzenia rosyjskiego jak np. Mołokanie czy Chłysty, lecz one mają o wiele mniej zwolenników. Sekciarze są na ogół bardzo gorliwi, nieraz wręcz natrętni w swej gorliwości. Bardzo im pomaga to, że u nich wszystko się odbywa po rosyjsku: modlitwy, śpiewy religijne, czytanie Pisma świętego i kazania. Natomiast w cerkwi prawosławnej wciąż króluje język cerkiewno-słowiański, niezrozumiały dla młodego pokolenia.

W rosyjskim duchowieństwie prawosławnym nader znamienym jest podział na "starych popów" i "młodych popów". Przed wojną przez długie lata wszystkie seminaria duchowne były pozamykane. Nie pracowało ani jedno z nich. Dlatego obecnie rosyjskiemu duchowieństwu prawosławnemu brakuje średniego pokolenia. Starzy popi mają przeciętnie około siedemdziesiątki, a młodzi popi dociągają do 40-45 lat. Obecnie są czynne 4 seminaria duchowne: w Moskwie, w Leningradzie, w Odessie i 4 zdaje się - w Odessie Kazaniu oraz 2 akademie duchowne w Moskwie i w Leningradzie. Chociaż starzy popi są mniej wykształceni, to jednak są oni lubiani w społeczeństwie rosyjskim. Natomiast młodzi popi nie cieszą się

zaufaniem, gdyż zarzuca się im zbyt ścisłe związki z władzą państwową, choć tego w żadnym wypadku nie należy generalizować. Pewną rolę w prawosławnym duchowieństwie odgrywają także księża wykształceni w przedwojennej Polsce, a zwłaszcza magistrzy prawosławnej teologii uniwersytetu warszawskiego, oraz apostaci spośród były księży grecko-katolickich. Do tych ostatnich jednak Rosjanie nie mają szczególnego zaufania. Zresztą księża prawosławni kształceni w Polsce jak również i księża apostaci nie są Rosjanami lub Białorusinami.

Są też obecnie czynne prawosławne klasztory męskie i żeńskie, jest ich jednak bardzo mało. Największą rolę odgrywają klasztory: Troice - Sargiejewski w Zagorsku koło Moskwy, a na Ukrainie Peczerski w Kijowie i Poczajewski na Wołyniu.

Jeżeli jednak porównamy pod względem religijnym Rosjan z Ukraińcami i Białorusinami, to procent ludzi wierzących wśród Ukraińców i Białorusinów jest większy, a procent ateistów i agnostyków mniejszy niż wśród rodowitych Rosjan. Są jednak pewne zjawiska wspólne. Działa jedna i ta sama cerkiew prawosławna, na czele z moskiewskim patriarchą, tak samo ^{się} też rozwija ruch sekciarski zarówno wśród Rosjan jak i wśród Ukraińców i Białorusinów. Natomiast wśród innych chrześcijańskich narodowości Związku Radzieckiego ruch sekciarski ma o wiele mniej powodzenia i słabo się rozwija.

Rząd Radziecki traktuje poszczególne religie i wyznania bynajmniej nie jednakowo. Najlepiej są widziani prawosławni uznający moskiewskiego patriarchę. Po nich idą baptyści i niektórzy inni sekciarze, luteranie, a także i muzułmanie. Gorzej są widziani katolicy, a zwłaszcza księża katolicy jako "agenci Watykanu". Najgorzej jednak są traktowane prawosławne opozycje i te sekty, które mają swój światowy ośrodek w Stanach Zjednoczonych Ameryki, jak np. świadkowie Boga Jehowy.

Kościół katolicki inaczej jest traktowany na Litwie i Łotwie gdzie są uznani przez rząd biskupi i seminaria duchowne w Kownie i w Rydze. Inaczej w innych wschodnich częściach państwa radzieckiego, gdzie są rejestrowane kościoły i rejestrowani księża, choć

nie ma biskupów i organizacji kościelnej, a księża są całkowicie zależni od rządowych pełnomocników do spraw kultu religijnego. Inaczej na całej olbrzymiej reszcie Związku Radzieckiego, gdzie nie ma ani jednego rejestrowanego kościoła, i ani jednego rejestrowanego księdza. Cała praca duszpasterska prowadzi się tam po domach prywatnych, co dokładnie omówimy w trzeciej części naszego pisma.

Teraz dopiero odpowiem na pytanie jak się pod względem religijnym prezentują katolicy Związku Radzieckiego i co się dzieje z naszymi katolickimi dziećmi i młodzieżą. Otóż niewątpliwie w Związku Radzieckim wśród katolików dzieje się lepiej, niż wśród prawosławnych.

W europejskiej części Związku Radzieckiego pod względem liczebności na pierwszym miejscu wśród katolików stoją Litwini, na drugim Polacy, na trzecim Łotysze, ale są też w niniejszej licznie katolicy Białorusini, Gruzini, Ormianie, Niemcy. Osobną grupę stanowią Ukraińcy grekokatolicy, o czym już wyżej była mowa.

W azjatyckiej części Związku Radzieckiego wśród katolików na pierwszym miejscu stoją i to w przeważającej liczbie Niemcy, na drugim Polacy, na trzecim Litwini, a inne narodowości są reprezentowane bardzo nielicznie.

Katolicy górują nad prawosławnymi, starają się przekazywać wiarę i pobożność swym dzieciom i wnukom. W boju o duszę dziecka najwięcej zależy od rodziny, a zwłaszcza od matki. Za chwilę zilustruję to pięknymi i wymownymi przykładami wziętymi z życia.

W wielonarodowościowym społeczeństwie katolickim Związku Radzieckiego, przekonanych ateistów jest bardzo mało, agnostyków więcej, lecz mniej niż wśród prawosławnych. Sporo jest w młodszym pokoleniu wierzących, lecz nie modlących się wcale lub bardzo mało. Tacy jednak zazwyczaj żegnają się wieczorem udając się na spoczynek, i zawsze chrzczą swoje dzieci.

Taki więc jest przekrój społeczeństwa katolickiego w Związku Radzieckim.

Niemal, że wszyscy starzy i znaczna część młodszych - to katolicy wierzący i praktykujący.

Znaczna część młodszych - to ludzie wierzący, lecz nie modlący się, jak o tym przed chwilą mówiliśmy.

Wśród młodzieży jest pewien procent agnostyków.

Najmniej jest ateistów.

Dzieje się tak:

Jeżeli rodzina jest wierząca i w mądry sposób gorliwa, to wychowuje młodzież wierzącą i praktykującą.

Jeżeli rodzina jest wierząca, ale na przeciętnym poziomie, to bardzo często młodzież wprawdzie wierzy w Boga i nie odrzeka się od wiary, lecz nie modli się.

Jeżeli rodzina jest wierząca ale niedbała albo mieszana pod względem wyznaniowym albo częściowo niewierząca, to z takich rodzin wyrasta wśród młodzieży agnostycyzm, a znacznie rzadziej ateizm.

Nie jest więc jeszcze źle w naszym radzieckim społeczeństwie katolickim, lecz nie jest też i całkiem dobrze. Musimy mieć poważne obawy na przyszłość.

Znam podobne wypadki: póki żyje w rodzinie babcia mądra i pobożna, cała rodzina jest wierzącą i praktykującą. Gdy umrze babcia, to mama nie może już tego dać swym dzieciom co dawała babcia, wychowana jeszcze w o wiele lepszych warunkach, a jeżeli umrze mama, to jej córka może wpływać na swoje dzieci jeszcze w mniejszym stopniu od mamy. I tak pomalutku zmniejsza się wśród katolickiej młodzieży procent wierzących i praktykujących, rośnie natomiast obecnie procent wierzących lecz nie modlących się, których dzieci prawdopodobnie będą agnostykami. Mogę więc tu tylko jeszcze raz przypomnieć słowa Zbawiciela: "Proście Pana żniwa, by posłał robotników na żniwo swoje", tym więcej, że żniwo wielkie, a robotników mało.

- - - - -

Nie lubię przykładów smutnych, odstrasżających, choć czasem pobudzają one do głębszej refleksji. Kocham się w przykładach dobrych, budujących. Podam 12 przykładów. Wszystkie wzięte z życia w Związku Radzieckim. Z nich tylko 2 /trzeci i siódmy/ są smutne, a 10 ma treść i wartość pozytywną przeważnie, nawet budującą. Tylko 2 pierwsze przykłady odnoszą się do Rosjan, pozostałych 10 mają za bohaterów czy bohaterki katolików czy katoliczki różnych narodowości. W 5-ciu przykładach polskiej, w 9-ciu niemieckiej i w jednym litewskiej. Jeden przykład /pierwszy/ jest wzięty z gazety, jeden przykład /piąty/ z opowiadania całkowicie wiarogodnego człowieka, pozostałych 10 przykładów stanowią moje osobiste wspomnienia. Wszystkie użyte imiona z wyjątkiem ostatniego są zmienione z łatwo zrozumiałych względów.

Przykład pierwszy. W jednym z większych miast wielkomijskich niedaleko od Moskwy, mieszkała pewne bezdzietna para małżeńska. Nazwijmy ją imionami często wśród Rosjan spotykanymi: Mikołaj Pietrowicz i Anna Pawłowna. Oboje już ludzie starsi, partyjni, znani i szanowani w owym mieście. Mikołaj Pietrowicz był inżynierem i dyrektorem fabryki. Anna Pawłowna była znanym pedagogiem i działaczką społeczną. Z powodu słabego stanu zdrowia Anna Pawłowna musiała zrezygnować z pracy w szkole, lecz tym więcej była czynną w różnych organizacjach społecznych. Po pewnym czasie zauważono, że Anna Pawłowna przestaje także pracować społecznie. Kiedy się ją o to zapytano, zawsze powoływała się na swoje słabe zdrowie. Tymczasem było wiadomo, że jej zdrowie się bardzo poprawiło po przymusowej rezygnacji z pracy szkolnej. Wkrótce się okazało, że przyczyny zaprzestania pracy społecznej były całkiem inne. Okazało się że Anna Pawłowna przyjmuje u siebie w domu wizyty jakichś gości z Moskwy, z którymi przez długie godziny dyskutuje o... filozofii indyjskiej.

Zwrócono się do Mikołaja Pietrowicza, żeby wpłynął na swoją żonę, lecz biedny Mikołaj Pietrowicz nic nie mógł na to poradzić. Wreszcie doszło do rozmowy pomiędzy partyjnymi czynnikami miarodajnymi z Anną Pawłowną. Zwrócono jej uwagę, że ona na próżno "uwlekajetsia" obcą nam filozofią indyjską. Zaproponowano

jej, by ona głębiej zajęła się naszą własną filozofią marksistowską- dialektycznym materializmem. Na to Anna Pawłowna odpowiedziała z całą szczerością:

"Ach! Gdybyście wiedzieli, jak mi to wszystko obrzydło!"

Komentarze są zbyteczne.

Wśród rosyjskiej inteligencji, karmionej jedną tylko filozofią materialistyczną, niemało jest łaknących innej lepszej strawy duchowej. Po wizycie indyjskiego premiera Nehru w Moskwie, w myśl zawartej umowy o wzajemnej wymianie dóbr materialnych i duchowych, przetłumaczono na język rosyjski kilka współczesnych poważnych dzieł o Indiach i ich kulturze. Między innymi przetłumaczono dwutomowe dzieło o filozofii indyjskiej późniejszego prezydenta Indii Radha Kriszmana. Inteligencja rosyjska mogła się zapoznać z inną filozofią, nie materialistyczną, spiritualistyczną. Dzieło a Radhakriszmana w mig rozchwymano, stało się ono betsellerem. Po rychłym wyczerpaniu całego nakładu pożyczano sobie nawzajem to tak bardzo mimo trudnej treści pożądane i poczytne dzieło. Jak widać także i Anna Pawłowna uległa czarowi indyjskiej mądrości filozoficznej. Jest to objaw bardzo pocieszający, że rosyjska inteligencja szuka czegoś głębszego od tego co jej aż do przesytu dają... Pragnę jeszcze wyjaśnić, skąd ja znam tak dobrze historię Anny Pawłownej? Tylko z gazety. Trzeba jednak znać niektóre obyczaje prasy radzieckiej. Jest w niej uprawiany pewien rodzaj publicystyczny, który się nazywa "....." a po polsku artykuł czy raczej ~~reportaż~~ demaskujący. W takim artykule opisuje się z drobnymi nieraz szczegółami życie i postępowanie demaskowanych osób, jak w danym wypadku owej tak przeze mnie nazwanej - Anny Pawłownej.

Przykład drugi. Jechałem pociągiem z Karagandy do Ałma-Aty. Zbliżaliśmy się już do celu naszej podróży. W przedziale zostało nas tylko dwóch. Mój jedyny towarzysz podróży był młodym sympatycznym i inteligentnym człowiekiem. Zaczęliśmy rozmowę. Co bardzo ważne, rozmowa toczyła się w cztery oczy bez świadków i mogła być szczerą. Mogłem mu nawet powiedzieć kim jestem. Mój rozmówca, którego będziemy nazywać Iwanem, był Rosjaninem,

studentem piątego kursu^{na} uniwersytecie w Ałma-Ata. Był to typowy radziecki agnostyk - nie z jakiegoś filozoficznego przekonania, tylko z powodu niemożliwości głębszego poznania problemów filozoficzno-religijnych. Widząc jego zainteresowanie tą problematyką i wykorzystując nasze sam na sam, pokrótce wyłożyłem mu nasze filozoficzne pojęcia Boga i zaznajomiłem go ze postacią i głównymi faktami z życia Jezusa Chrystusa. Mówiłem językiem naukowym o elementarnych prawdach wiary. Gdybym to zaczął wyklądać polskiemu studentowi, to ten na pewno zapytałby: "czy ksiądz myśli, że ja tego nie wiem"? Tymczasem mój Iwan nie wiedział tego. Słuchał on wykładu bynajmniej nie w bierny sposób. Zadawał różne pytania. Widać było, że treść wykładu ogromnie go zainteresowała. Żegnając się ze mną podziękował mi bardzo serdecznie i powiedział jakże bardzo znamienne słowa: "To właśnie jest to, czego nam brakuje".

Sądzę, że i w tym wypadku zbyteczne są komentarze.

Przykład trzeci. Pewna babcia, która niedawno przyjechała do Karagandy, zwróciła się do mnie z prośbą, bym ochrzcił jej wnuczkę. Rodzina ta jest polską. Skądinąd wiedziałem, że prowadzi się bez zarzutu, była jednak nie ochrzczona, nawet nie ochrzczona - jak to się mówi - z wody. Panienkę tę nazwę Zofia. Jak wiadomo Sofija oznacza mądrość, w danym jednak razie będzie to niestety mądrość w cudzysłowie. Otóż panna Zofia, której po dziś dzień nigdy w życiu na oczy nie widziałem, nie zgodziła się na chrzest motywując to obawą, że mogą się o tym dowiedzieć na wyższej uczelni, gdzie ona uczęszczała i wyrzucić ją z niej. Wobec tego, że Zofia nawet bała się ze mną spotkać i porozmawiać, na naleganie babci napisałem w końcu list do Zofii, który babcia jej doręczyła. Korespondencja nasza była z konieczności prowadzona po rosyjsku.

Zaproponowałem Zofii spotkanie w takim miejscu i czasie, gdzie nie będzie żadnych postronnych świadków. Podkreśliłem, że chcę tylko wyjaśnić sprawę chrztu, do którego nawet nie mam prawa bez jej woli przymuszać. Poza tym zaproponowałem jej pogawędkę na tematy filozoficzne. Nie wątpiąc w to, że ona zna

filozofię materialistyczną, wyraziłem przypuszczenie, że zainteresuje ją możliwość zapoznania się także i z naszą filozofią chrześcijańską.

Zofia przez babcię odpisała mi już na drugi dzień. Co do chrztu - pisała - ona się nie może zgodzić przede wszystkim dlatego, że ona nie wierzy w Boga. Przyjmować zaś chrzest tylko po to, by zrobić przyjemność babci, byłoby jej zdaniem nieuczciwie /nie czestno/. Co do filozofii chrześcijańskiej, to Zofia napisała, że ona jej wcale nie zna. Jednak - bębniła dalej biedna Zofia wpajaną jej przez lata drętą mowę - ona dobrze poznała filozofię materialistyczną i przekonała się o jej wyższości. Bo dialektyczny materializm jest filozofią jedynie prawdziwą i zgodną z nauką.

Nie zostawiłem jeszcze biednej Zofii w spokoju. Napisałem do niej po raz drugi i ostatni.

Co do chrztu - pisałem - masz zupełną słuszość. Nie wolno przyjmować chrztu bez wiary w Boga. Ale co do filozofii, sama przyznajesz, że zupełnie nie znasz filozofii chrześcijańskiej. Jakże ty możesz mówić o wyższości filozofii materialistycznej, kiedy ty nie znasz żadnego innego systemu filozoficznego? Rad byłbym, gdybyś się nad tym pytaniem zastanowiła.

Czy Zofia się zastanawia, - tego nie wiem. Niestety, po dziś dzień nie jest ona ochrzczoneą. Oby tak nie było aż do śmierci!

Jeszcze jedna uwaga na marginesie tego smutnego przykładu. Czy się opłaci tracić czas, pisywać listy, osobom pokroju panny Zofii, które nie chcą choćby jednego księdza w swoim życiu zobaczyć? Tak jest, trzeba rzucać siew ewangeliczny także i na taką glebę. Może dobre ziarno wszędzie i po długich latach. Może Zofia ochrzci się już po śmierci tego księdza, którego nie chciała widzieć, ale który mimo to zechciał listownie powiedzieć jej parę słów prawdy.

Przykład czwarty. Podczas jednej z moich podróży misyjnych przyjeżdżam do pewnego miasteczka i ogłaszam, że będę uczył pary małżeńskie do ślubu. Zgłosiło się do nauki mniej więcej 10 par małżeńskich. Byli to Polacy, ludzie młodzi, żyjący już ze

sobą dobrych parę lat, ale bez ślubu, bo nie było tam żadnego księdza. Prawie wszyscy nie byli jeszcze ani razu do spowiedzi i Komunii świętej.

Odrązu swoim inteligentnym wyglądem zwróciła moją uwagę jedna para małżeńska. Okazało się, że młody małżonek, nazwijmy go Stanisław, jest inżynierem. Miał on wtedy 27 lat. Jego żonka była jeszcze młodszą od męża, miłą i przystojną osobą. Miała pełne średnie wykształcenie, mieszkali oni razem z matką Stanisława, która była kobietą jeszcze nie starą, prostą, ale mądrą i szczerze religijną.

Wszystko się odbyło jak najlepiej. Miałem nawet czas zaprzyjaźnić się z tą rodziną, która - nawiasem mówiąc - zupełnie dobrze rozmawiała po polsku. Bardzo się ucieszyłem, że Stanisław i jego żona są oboje wierzącymi i praktykującymi katolikami. Raz zapytałem się Stanisława, gdy byliśmy we troje z nim i z jego żoną: "Czy twoje studia naukowe w radzieckich ucielniach nie sprawiały tobie żadnych trudności co do wiary w Boga"? - Stanisław odpowiedział: "Może się ksiądz zdziwi, ja skończyłem i średnią i wyższą szkołę w Związku Radzieckim, uczyłem się filozofii materialistycznej i zdawałem z niej egzamin, ale nigdy w życiu nie miałem nawet najmniejszej wątpliwości co do wiary w Boga. Ksiądz poznał moją matkę. Ona jest kobietą prostą, ale niegłupią. Ona tak mi to wszystko wytłumaczyła, że to mi wystarczyło. W szkołach dużo gadali przeciwko wierze w Boga, ale to nie robiło na mnie żadnego wrażenia. Ja zawsze rozumiałem, że to nic nie ma wspólnego z nauką, bo to jest zwyczajna agitacja".

Warto jeszcze porównać Stanisława z Zofią. Mniej więcej rówieśnicy, oboje Polacy. Oboje z wyższym radzieckim wykształceniem. Dlaczegoż zachodzi między nimi tak wielka różnica? Bo Stanisław był krytycznym, miał swój własny rozum, a Zofia była niestety całkiem bezkrytyczna. Ale to nie wszystko jeszcze. Znam matkę Stanisława, ale znam także i matkę Zofii, która ją wychowywała. Gdyby Zofię wychowywała jej babcia, byłoby zupełnie inaczej. Niestety matki Zofii, choć jest ona sama wierząca, nie można porównać z mądrą i pobożną matką Stanisława. Po owocach ich poznać je.....

Przykład piąty. Bohaterem tego przykładu jest pewien młody student Litwin. Nazwijmy go litewskim imieniem Witold. Historię Witolda opowiadał mi jeden z moich znajomych księży litewskich - człowiek całkowicie wiarygodny.

Witold był studentem trzeciego roku uniwersytetu w jednym z wielkich miast syberyjskich. W tym czasie na zesłaniu w Syberii było wiele rodzin litewskich. Teraz ogromna ich większość powróciła na Litwę.

W owym mieście pracował - oczywiście bez rejestracji - pewien ksiądz litewski i pracował przez kilka lat bardzo umiejętnie, naprawdę znakomicie. Witold często chodził na Mszę św., a nieraz i służył księdzu do niej. Wreszcie coś o tym zaczęto mówić na uniwersytecie.

Studenci wyższych uczelni radzieckich są podzieleni na grupy w celach naukowych i wychowawczych. Każda grupa ma swego opiekuna, przeważnie z pośród docentów lub asystentów, który ma czuwać nad nauką i ideologią swoich studentów. Raz ów opiekun zgromadził swoją grupę. Zaczął się rozwodzić nad tym, że jest rzeczą nie do wiary lecz niestety prawdziwą, iż są jeszcze studenci, którzy wierzą w Boga i modlą się. Ale to już jest prawdziwy skandal, że znajdują się nawet tacy studenci, którzy służą popowi podczas nabożeństwa. Wszyscy studenci zrozumieli, że ich opiekun śpiewa do Witolda, choć go nie wymieniał po nazwisku.

Cóż na to Witold? Nie milczał bynajmniej. Wstał i całkiem spokojnie powiedział: "Oświadczam, że ja wierzę w Boga i do końca życia nie przestanę wierzyć w Niego"! Powiedział i usiadł, a jego koledzy, wśród których nie było ani jednego katolika, nagrodzili go oklaskami za odwagę i stanowczość, co im zaimponowało. No, a biedny opiekun - jak mówią po rosyjsku - "ostał się durakom" - został się w durnia

Jak mi jeszcze opowiadał ów litewski ksiądz, Witold^a wcale nie wyrzucili za to z uniwersytetu i mógł on dalej kontynuować swoje studia.

Przykład szósty. Z jednego z większych miast syberyjskich przyjeżdża na parę dni do Karagandy młody, niespełna trzydziestoletni inżynier, Niemiec i katolik, a z poślubioną już przedtem małżonką, również Niemką i katoliczką. Przywieźli do chrztu swoją pierwrodą już dwuletnią córeczkę. Oboje się wyświadczyli i pobożnie przyjęli Komunię św. Inżynierowi nadamy niemieckie imię Fryderyk, a jego żonę nazwiemy Gertrudą. Zaprzyjaźniłem się z tą bardzo miłą i wzorową parą małżeńską. O ile Fryderyk jest człowiekiem z wyższym wykształceniem, o tyle Gertruda ustępuje mężowi pod każdym względem, bo ukończyła zaledwie 5 czy 6 klas szkoły podstawowej.

Rozmawialiśmy z nimi we troje. Zapytałem Fryderyka: "Czy jesteś zadowolony z tego, że wziąłeś sobie żonę o tyle mnie wykształconą od siebie? Otrzymałem odpowiedź od Fryderyka taką: "Tak, jestem nawet bardzo zadowolony z tego, że ożeniłem się z Gertrudą. Mnie nie potrzeba jakiejś żony uczonej. Ja potrzebuję żony wierzącej i pobożnej. Moja matka i jej matka są proste, nie uczone, ale one nas dobrze po katolicku wychowały. Ja chcę mieć taką żonę, która potrafi nasze dzieci wychować nie gorzej od naszych matek, które nas tak dobrze wychowały". Zapytałem Gertrudę: "A ty czy jesteś zadowolona ze swojego uczonego męża"? Gertruda śmiejąc się powiedziała: "Tak i ja jestem z niego całkiem zadowolona i wcale się go nie boję, choć on jest taki uczoney".

Jestem pewien, że Fryderyk i Gertruda naprawdę dobrze, prawdziwie po katolicku wychowają ochrzczonej przeze mnie córeczkę.

Przykład siódmy. Przychodzi do mnie staruszka, Polka, długoletnia już wdowa i płacze. Było czego płakać. Staruszka, nazwijmy ją Doloroza /bolesna/ - wcześniej straciła męża. Pozostała sama z czworgiem dzieci małych. Doloroza była wtedy młodą i silną i energiczną kobietą, nie bała się roboty. W ciężkich wojennych i pierwszych powojennych latach pracowała dosłownie całymi dniami. Często brała roboty nadliczbowe. Dzięki swej nieprzeciętnej zdolności do pracy i pracowitości zarabiała nieźle, dała swym dzieciom utrzymanie i wykształcenie. Troje z czworga dzieci - starszy syn i 2 córki - mają pełne średnie wy-

kształcenie. Młodszy syn zdobył sobie nawet wyższe wykształcenie. Doloroza mówiła mi, że przez długie lata była dumna, iż sama jedna bez męża dała swym dzieciom lepsze wychowanie, niż wiele innych matek razem z mężami. A jednak Doloroza płakała i gorzko płakała, gdy wtedy do mnie przyszła tylko z powodu swych rzekomo dobrze wychowanych dzieci. Płacząc mówiła mi: "Teraz dopiero rozumiem swój błąd. Ja dbałam tylko o ciało swoich dzieci, a zaniedbałam ich dusze. Teraz ja to rozumiem, ale jest już za późno". Odpowiedziałem jej, że nigdy nie jest za późno się modlić, wytrwale wzywać miłosierdzia Bożego. A jednak błąd tej matki był zasadniczy i bez szczęśliwej łaski Bożej niemożliwy do naprawienia.

Sama Doloroza jest niewątpliwie wierzącą i praktykującą katoliczką. Pragnie ona, by jej dzieci i wnuki też były takimi. A jak jest w rzeczywistości? Kogo ona wychowawała? Jedną ateistkę i troje takich, których można by nazwać półateistami, jak to mówią: "Ni to, ni sio".

Obaj synowie pożenili się z Rosjankami, obie córki wyszły za mąż za Rosjan, oczywiście bez ślubu kościelnego. Starsza córka wyszła za mąż za człowieka partyjnego. Pod wpływem męża sama się stała zajadłą ateistką. Swej matce mówi takie ateistyczne mądrości: "Jaka ty jesteś zacofana, że się jeszcze modlisz. Nie rozumiesz, że to jest głupota i strata czasu". Młodsza córka i obaj synowie nie są ateistami, ale daleko im do tego, by można ich nazwać wierzącymi i praktykującymi katolikami. Znam osobiście młodszego syna z wyższym wykształceniem. Jest on sympatycznym młodym człowiekiem. Do matki mówi inaczej, niż jego bezbożna siostra. Oto jego słowa: "Ty mamó módl się ile tylko chcesz. Proszę ciebie módl się także i za mnie. Ale nie wymagaj ode mnie, żebym ja się modlił. Teraz są inne czasy, a ty tego nie rozumiesz".

Różnica w postawie brata i siostry jest tu widoczna. Tym niemniej ani jedno z czworga dzieci Dolorozy nie modli się i nawet nie myśli o modlitwie, a o wnukach "szkoda gadać". Doloroza w swoim czasie nauczyła swoje dzieci modlić się, ale ich nie pilnowała. Modlitwa dzieci była u niej na ostatnim planie. Pracą, wyżywieniem, odzieniem, szkołą, gospodarstwo domowe, a czy dzieci modlą się czy też nie, o tym nie myślała, i sama razem z nimi się nie modliła. Aż się doczekała.....

Przykład ósmy. Dwa lata temu umarła staruszka, Polka, tak jak Doloroza długoletnia już wdowa. Ta zmarła staruszka nazywać się będzie u nas Feliksa /szczęśliwa/. W dzisiejszych życiowych dziejach Feliksy i Dolorozy jest wiele wspólnego: obie Polki, obie niemalże rówieśnice, obie wcześniej owdowiały. Dłe Doloroza bez męża wychowywała czworo dzieci, a Feliksa troje: dwóch synów i córkę.

Feliksa przed śmiercią długo i ciężko chorowała. Kilka razy odwiedziłem ją podczas tej przewlekłej choroby. Zawsze mi powtarzała to samo: jak bardzo jest wdzięczną Bogu za to, że jej rodzina pozostała polską i katolicką. W swoim czasie bardzo żałowała, że jej dzieci mają tylko niepełne średnie wykształcenie. Ale teraz sama widzi, że to nie ważne, w obliczu śmierci raduje się, że wszyscy w rodzinie uważają się za Polaków i katolików, wierzą i modlą się.

Jak Doloroza miała czego płakać, tak Feliksa miała czego się radować. Jej córka jest wdową. Ze zmarłym mężem brała ślub kościelny. Ma troje dzieci, które się modlą, chodzą do spowiedzi i Komunii świętej. Starszy syn, czyli wnuk Feliksy, już się ożenił z miłą polską panią. Młoda para ma ślub kościelny. Oba synowie Feliksy poślubili dobre i pobożne Polki. Dzieci obu tych par małżeńskich otrzymują od swoich rodziców staranne wychowanie religijne. Cała ta rodzina bardzo chętnie i pilnie uczęszcza na Mszę świętą, jeśli tylko ksiądz ją odprawia w pobliżu.

W jaki sposób Feliksa osiągnęła takie rezultaty wychowawcze, które trzeba uznać za znakomite w głębi kraju ateistycznego. Wszak Feliksa wychowywała dzieci bez kościoła, bez księdza, bez Mszy świętej, bez spowiedzi i Komunii świętej. Feliksa była mądrą i pobożną. W jej rodzinie na pierwszym miejscu była modlitwa. Codziennie modliła się głośno razem z dziećmi. Bardzo dużą rolę wychowawczą odegrał w tej rodzinie śpiew religijny. Sama Feliksa w młodości śpiewała w chórze kościelnym. Miała ona wspaniałą pamięć, a przy tym dobry głos i słuch. Znała ona na pamięć bardzo wiele pieśni i współcześnie śpiewanych i starych, dziś

zapomnianych, a nieraz bardzo pięknych. Feliksa potrafiła zainteresować swoje dzieci śpiewem religijnym. Po dziś dzień obaj jej synowie i córka należą do najlepszych śpiewaków wśród naszych karagandyńskich Polaków. Stawiam ich zawsze w pobliżu ołtarza, żeby sami śpiewali i innym pomagali dobrze śpiewać.

Tak, Feliksa mogła spokojnie umierać, bo zasłużyła sobie na to trudem całego życia. Zawsze prowadziła swoje dzieci do Boga, a Bóg pobłogosławił zbożnym poczynaniom tej dobrej matki.

Przykład dziewiąty. W pewnym mieście, do którego przyjechałem podczas jednej z moich podróży misyjnych, miejscowa milicja dowiedziała się, gdzie ja odprawiałem Mszę świętą. Znalazłem się wówczas w niemałych tarapatach, o których będę jeszcze opowiadał w trzeciej części tego pisma. Naczelnik milicji wezwał do siebie gospodynię tego domu. Była to kobieta lat wówczas około 35-ciu, Niemka, pobożna katoliczka, dobra żona i matka trojga dzieci. Imię jej będzie u nas Bonifacja /dobrze czyniąca/. Najstarszy jej synek miał wówczas 14 lat i chodził do siódmej klasy. Nazwiemy go Pius /pobożny/.

Naczelnik milicji czynił Bonifacji ostre wymówki za to, że przyjęła "popa" w swym domu, a szczególnie za to, że modli się z dziećmi. Zażądał od niej, by mu obiecała, że dzieci przestaną się modlić. Bonifacja stanowczo odmówiła. Wtedy naczelnik milicji zaczął grozić, że każe odebrać jej dzieci i oddać je do "dietdoma" czyli sierocińca, gdzie one zostaną wychowane na uczciwych obywateli Związku Radzieckiego. Bonifacja dała mu taką odpowiedź: "Jeżeli nawet wy odbierzecie dzieci od ich rodzonej matki, to my mamy jeszcze drugą Matkę w niebie, Bożą Rodzicielkę /Bogurodzica/. Ja się będę do Niej za moje dzieci modliła, a tej Matce i wy nie zdołacie odebrać moich dzieci". Przyznać trzeba, że jest to & odpowiedź godna zapisania w aktach męczenników.

Warto tu wyjaśnić, że to były czcze pogróżki tego milicjanta, który na próżno usiłował zastraszyć mężną Bonifację. Prawo radzieckie bynajmniej nie pozwala odbierać dzieci matce za to, że ona się z nimi modli. Wolno to uczynić jeżeli rodzice - jak to

bywa u niektórych skrajnych sekciarzy - odmawiają posyłać dzieci do szkoły, lub jeżeli rodzice są całkiem zdemoralizowani, np. oboje są nałogowymi pijakami.

Oprócz naczelnika milicji wezwał jeszcze do siebie Bonifację dyrektor tej szkoły, do której chodzi dwoje starszych jej dzieci. Dyrektor rozmawiał z Bonifacją w całkiem grzeczny sposób. Usiłował ją przekonać, że jest rzeczą szkodliwą dla wychowania gdy dziecko słyszy co innego w szkole - a co innego w domu. Według tego "światodawcy" właśnie dla dobra swoich dzieci Bonifacja powinna zrezygnować z ich religijnego wychowania, a sama może się modlić ile tylko zechce.

Bonifacja wysłuchiwała cierpliwie dyrektorskich tyrad i oczywiście niczego nie obiecała.

Dyrektor wezwał także do siebie 14-letniego Piusa i wyjaśnił mu, że on jako przyszły budowniczy komunizmu powinien odrzucić precz wiarę i modlitwę. Pius także wysłuchał pana dyrektora i także niczego nie obiecał.

Odpowiedź Bonifacji i Piusa na te wszystkie tentacje była następująca: mniej więcej pół roku po tych wydarzeniach Bonifacja i Pius przyjechali do Karagandy, zaraz się zgłosili do mnie, oboje się wyspowiadali i przyjęli Komunię świętą.

Upłynęło 5 lat. Na wesele swojej ciotecznej siostry /oczywiście po ślubie kościelnym/ znowu przyjechał do Karagandy Pius, tym razem sam jeden bez matki. Pius był już 19-letnim młodzieńcem. Ukończył całą szkołę średnią. Już zaczął pracować zawodowo. I znowu zgłosił się do mnie, znowu się wyspowiadał i przyjął Komunię świętą. Na weselu zrobił wrażenie wprost budujące. Kategoriecznie odmówił picia wszelkich napojów alkoholowych, nawet piwa. Okazało się, że Pius nie umie tańczyć. Panienki próbowały go uczyć kunsztu tanecznego, ale on nie zdradzał zapachu także i do tańców.

Miło jest spotkać, i to jeszcze w głębi Związku Radzieckiego, takiego młodzieńca jak Pius. Ale czy on byłby takim, gdyby jego matką nie była Bonifacja?

Przykład dziesiąty. Osiedla się na stałe w Karagandzie pewna niemiecka rodzina. Przyjechali oni z daleka i nigdy nie widzieli żadnego księdza, nie mówiąc już o kościele. Była to rodzina bardzo zaniedbana. Ojciec i matka tej rodziny, ludzie w średnim wieku, żyli bez ślubu. Ojciec był luteranem, matka katoliczką. Starsza córka była zamężna także za luteranem i także bez ślubu. Oprócz nich było w tej rodzinie jeszcze troje dzieci młodszych: dwóch chłopców i dziewczynka. Te dzieci nie były nawet ochrzczone. Jest jednak zasługą matki tej rodziny, którą nazwiemy Konstancją /stała/, że wkrótce po przyjeździe do Karagandy zgłosili się do księdza.

Było z tą rodziną bardzo dużo roboty. Trzeba ich było przede wszystkim uczyć wiary i modlitwy, bo niczego nie wiedzieli. Troje dzieci przyjęło uroczystie chrzest. Do pierwszej Komunii świętej przystąpiło ich pięcioro: oprócz trojga dzieci także ich starsza zamężna siostra oraz sama matka Konstancja, która przedtem nigdy w życiu się nie spowiadała. I matka i córka zawarły ślub kościelny ze swoimi mężami, którzy wprawdzie nie przyjęli katolicyzmu, ale bardzo chętnie uczęszczają na nabożeństwa katolickie.

Konstancja rzeczywiście się nawróciła. Z biednej, zaniedbanej radzieckiej "grażdanki" stała się pobożną katoliczką i gorliwą matką chrześcijańską. Pod jej kierownictwem dzieci rosły i wcale nie zaprzestawały się modlić, jak to jest w rodzinach niedbałych. Dzieci modlą się systematycznie i często, a zawsze chętnie, przystępują do Sakramentów świętych. Starsza córka jest teraz pobożną młodą kobietą, dobrze i zgodnie żyje z mężem i wychowuje dwoje małych dzieci. Młodsza córeczka wyrosła na miłą, inteligentną i pobożną panienkę. Starszy syn odbywa obecnie służbę wojskową. Kiedy przyjechał na urlop do Karagandy, zaraz z tego skorzystał by się wyspowiadać i przyjąć Komunię św. Młodszy synek póki co najbardziej się interesuje futbolem, ale już pani Konstancja czuwa skutecznie nad tym, by on wśród futbolowych emocji nie zapomniał o Bogu i modlitwie.

Wszędzie, a tym bardziej w Związku Radzieckim, bywają w pracy duszpasterskiej zawody, bywają i pociechy. Konstancja i jej

rodzina sprawiają pociechę, i to nie małą!

Przykład jedenasty. Działo się to w Karagandzie w styczniu 1959-go roku już po moim trzecim uwięzieniu - podczas śledztwa. Sędzia śledczy w stopniu kapitana, był to człowiek z natury spokojny, a wobec mnie zawsze grzeczny. Otóż sędzia śledczy urządził konfrontację moją z bohaterką tego przykładu, którą będziemy nazywać Audacją /odważna/. Panna Audacja, osoba w owym czasie mniej więcej 30-letnia, jest Niemką, a przedtem była luteranką. Pod wpływem swojej pobożnej katolickiej przyjaciółki przyjęła katolicyzm i ja ją ochrzciłem. Od samego chrztu stała się Audacja przekonaną i pobożną katoliczką. Nie wiem dlaczego mi urządzono konfrontację właśnie z nią. Przypuszczalnie chciano od niej wydobyć zeznanie, że ja ją przymusiłem do chrztu i że ja przymusowo "nasadzam" katolicyzm w Kazachstanie.

Audacja weszła na konfrontację z podniesioną głową. Od razu widać było, że nic się nie boi. Sędzia śledczy zaczął pisać protokół konfrontacji. Nie wiem co on tam zapisał - lecz wiem, że jego dialog z Audacją brzmiał tak:

Sędzia śledczy po zapisaniu personalnych danych: "Czy ty jesteś znajoma z Bukowińskim"?

Audacja /ostro i głośno/: "Tak, ja jestem z nim nawet bardzo dobrze znajoma".

Sędzia śledczy: "W jakich stosunkach byłeś z Bukowińskim? Czy wasze stosunki były dobre, czy też między wami były nieporozumienia i jakie"?

Audacja /jeszcze głośniej i ostrzej/: "Tak, nasze stosunki zawsze były dobre, a nawet bardzo dobre, i inaczej być nie mogło, bo on jest bardzo dobrym i spokojnym człowiekiem. Ale ja sama mam do was pytanie: dlaczego wy aresztujecie takiego dobrego człowieka? Tutaj w Karagandzie kobieta nie może wieczorem spokojnie przejść przez ulicę. Kręci się pełno chuliganów, którzy zdzierają palta, a wy ich nie aresztujecie. Za to aresztujecie takiego człowieka jak Bukowiński. Tego to już ja nie mogę pojąć".

W takim duchu odpowiadała dalej nieustraszona Audacja. Oczywiście, konfrontacja skończyła się na niczym. Audacja wyszła

tak jak weszła - z podniesioną głową. Zostaliśmy w pokoju z sędzią śledczym we dwoje. Pan sędzia śledczy tak podsumował swoje wrażenie z konfrontacji.

"Widzicie co to za kobieta! To "nastojaszcz", fanatyczka, z którą nawet nie można spokojnie rozmawiać! - Da Bukowiński, ty mnogo nadaoda isportil". - "Tak, Bukowiński, wy zdemoralizowaliście wiele ludzi"!

Przykład dwunasty. Dnia 7-go października 1969-go roku, w święto Matki Boskiej Różańcowej, zmarła w Kamieńcu Podolskim w wieku 53 lat pewna samotna niewiasta. Musiała ona być wielce zasłużoną dla Kościoła, bo w jej pogrzebie wzięło udział pięciu księży katolickich, co jest w warunkach radzieckich rzeczą niebywałą.

Zmarła nazywała się Julia Bojarska.

Dzieje życiowe Julii Bojarskiej są charakterystyczne i dla wielu innych niewiast w tym kraju. Pochodzi ona z Kamieńca Podolskiego. Urodzona w 1916-tym roku, w młodym wieku wyszła za mąż za pewnego również młodego Rosjanina, - bez ślubu kościelnego. Po kilku miesiącach mąż porzucił ją. Nigdy już potem Julia nie chciała wychodzić za mąż. Tymczasem aresztowano jej ojca i braci i wywieziono z Kamieńca już na zawsze. Pozostały one dwie: Julia i jej matka już staruszka, bo Julia była jej najmłodszym dzieckiem.

Kiedy latem 1944-go roku przybyli do Kamieńca posłani przez księdza biskupa Szelażka: ksiądz Kanonik Kukuruziński i ksiądz Beń, Julia odrazu zaczęła im pomagać w pracy. Już przedtem zresztą pomagała w pracy, i nie tylko w pracy, mieszkającemu prywatnie w mieście staruszkowi - księdzu prałatowi Władysławowi Dworzeckiemu.

Po aresztowaniu księży Kukuruzińskiego i Benia w końcu grudnia 1944-go roku, Julia zorganizowała systematyczną pomoc żywnościową dla nich, dla księdza Biskupa Szelażka, oraz dla księży Gałęzowskiego, Kuczyńskiego i dla mnie, bośmy się zostali bez własnych parafian, którzy wyjechali z województwa wołyńskiego na zachód. Wprowadzie paczki żywnościowe posyłane nam przez Julię najpierw do więzienia, a potem do obozów pracy przymusowej

bywały podpisywane przez różne osoby, jednak Julia w swej gorliwości nie zważała na związane z tym niebezpieczeństwa.

W 1948-ym roku aresztowano Julię Bojarską. Oczywiście chodziło o nasze paczki żywnościowe. Julia i na śledztwie i na sądzie broniła się odważnie i umiejętnie. Była ona z zawodu buchalterką i bynajmniej nie należała do prostaczków. Na śledztwie i na sądzie wciąż się powtarzał taki mniej więcej dialog:
Oni: "Dlaczego ty posyłałaś paczki"?

Julia: "Ja nie robiłam nic nielegalnego. Posyłałam paczki jawnie przez pocztę i otrzymywałam oficjalnie pokwitowania odbioru z każdego obozu pracy, do jakiego paczka była wysłana".

Oni: "Tak, ale ty powinnaś wiedzieć komu ty te paczki posyłałaś".

Julia: Posyłałam księżom, którzy dla nas pracowali i są naszymi ojcami duchownymi".

Oni: "I to mówisz ty - obywatelka radziecka! Ty posyłałaś paczki katolickim księżom, agentom Wazykanu, najgorszym wrogom Związku Radzieckiego"?

Prokurator zażądał dla Julii 8 lat pozbawienia wolności.

Julia powiedziała sądowi, że ma na utrzymaniu matkę, samotną sżaruszkę, która bez niej przepadnie, po czym Julia głośno się rozpłakała. Sąd skazał Julię na 5 lat pozbawienia wolności. Była to wówczas kara minimalna, tzw. "dietski urok", bo zazwyczaj skazywano "politycznych" na 25 lat.

Julia pojechała do wielkiego żeńskiego obozu pracy położonego na brzegu rzeki Pieczory w północno-wschodniej części Rosji Europejskiej. Opieką Opatrzności nad nią i jej matką przejawiała się wręcz widomie. Julia chodziła do pracy poza obozem tylko kilka pierwszych tygodni, potem zaproponowano jej objęcie kierownictwa pralni obozowej. Przedtem w tej pralni były kradzieże i inne nadużycia. Julia objęła kierownictwo pralni i wszystko doprowadziła do porządku. W dowód uznania dano jej na mieszkanie osobny mały pokój. Julia przywiesiła obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej nad łóżkiem i w wolnych chwilach modliła się ile tylko chciała.

I tak w tej pralni Julia spokojnie i prawie że wygodnie dobyła do końca swojej "pięciolatki", a następnie wróciła do swojej Mamusi do Kamieńca.

Bo jak nad córką, tak i nad matką widocznie czuwała Opatrzność Boża. Kamienieccy katolicy otoczyli staruszkę troskliwą opieką, tak iż prócz córki, no i zdrowia, nic jej nie brakowało. Staruszka doczekała się powrotu córki z obozu, pożyły one razem jeszcze 2 lata, po czym staruszka zmarła pobożnie - w obecności swej córki i opiekunki.

Julia osamotniona po śmierci matki, mieszkała nadal w swym rodzinnym Kamieńcu Podolskim, gdzie miała po rodzicach własny domek z sadem i ogrodem. W kamienieckiej społeczności katolickiej /nie mającej swojego kościoła i księdza z powodu uporczywego oporu władz/, Julia była ogólnie szanowaną i lubianą. Często jeździła autobusami do okolicznych kościołów, a zwłaszcza do Czerniowiec, do Borszczowa i do Hrecanej koło Płoskirowa.

W ostatnich latach życia dużo się nacierpiała przez chorobę. Była zbyt otyłą i miała silnie opuchnięte nogi. Wysłużyła sobie śmierć chrześcijańską i piękny pogrzeb. Ja osobiście nie opłakuję Julii. Modlę się za nią i będę się modlił w przyszłości. Bóg skrócił jej cierpienia na ziemi i przyspieszył osiągnięcie dobrze zasłużonej nagrody wiekuistej! Ale i Wy, moi czytelnicy, pomódlcie się czasem za św. pamięci Julię Bojarską...

- - - - -

Skoro już rozważyliśmy życie i śmierć Julii Bojarskiej, to pragnąłbym poinformować swoich Przyjaciół, że i ja sam dwa razy w życiu przeżywałem śmierć. Myślałem, że już zaraz lada chwilę umrę. Pierwszy raz było to dnia 23-go czerwca 1941 roku, a drugi raz dnia 6-go kwietnia 1949 roku.

Dnia 23-go czerwca 1941 roku, na drugi dzień wojny niemiecko-radzieckiej, znajdowałem się w więzieniu w Łucku. Tego dnia były tam krwawe i tragiczne zajścia, a mianowicie masowe rozstrzelania więźniów. My wszyscy, którzyśmy szczęśliwie zostali przy życiu, także leżeliśmy na dziedzińcu więziennym pod gradem kul.

Uważam za zbyt liczne szczegółowo to opisywać. Wszak żyję w Polsce tacy co przeżyli tę straszliwą makabrę. Natomiast uważam za wskazane opisać Wam tylko jeden moment.

Kiedy leżałem na dziedzińcu więziennym pod kulami, byłem aż dziwnie spokojnym. Całe moje, wówczas 36-letnie życie skurczyło się do jakiejś znikomej chwilki. Udzieliłem jeszcze rozgrzeszenia moim sąsiadom, leżącym obok mnie na ziemi. Myśl moja pracowała bardzo intensywnie. Przeżywałem koniec doczesności i brzask wieczności. Było to przeżycie niewypowiedziane wzniosłe, absolutnie niemożliwe do zapomnienia. Nie wiem co by się ze mną stało, gdybym odczuł ból rany. Ale nie było żadnego bólu ciała, a duch krążył swobodnie między doczesnością a wiecznością, jak nigdy przedtem i potem w życiu.

W trzy dni później byłem już na wolności.

Dnia 6-go kwietnia 1949-go roku znajdowałem się w szpitalu obozowym w Czelabińsku, bo byłem bardzo ciężko chory na zapalenie płuc. Choroby tej można było uniknąć. Codziennie chodziłem na robotę, lecz byłem bardzo silnie przeziębiony, kaszlałem uporczywie i czułem się fatalnie. Niejednokrotnie prosiłem o zwolnienie z pracy, którego wciąż mi odmawiano, bo nie było podwyższonej temperatury. Aż pewnego dnia wróciłem z pracy do obozu rozpalony wysoką temperaturą i miotany dreszczami. Zaraz po powrocie z pracy udałem się do szpitala obozowego. Zmierzono mi temperaturę. Było 40,6 stopni.

Leżałem w szpitalu już mniej więcej tydzień. Z każdym dniem czułem się coraz gorzej, coraz słabiej. Nie było silnych bólów, ale ta słabość niewyobrażalna....

Aż wreszcie, było to 6-go kwietnia wieczorem, poczułem że umieram. Byłem tak słaby, że trudno było myśleć. Ale raczej podświadomie zjawilo się skojarzenie z przeżywaniem rzekomo zbliżającej się śmierci, tam w Łucku na dziedzińcu więziennym. Jakaś tęsknota do podobnych wzniosłych przeżyć... Tymczasem nic z tego! Sama tylko słabość, ta niewypowiedziana słabość, i raczej

apatia. Z rzadka i z trudem westchnienia "O Boże"! I to wszystko, więcej nic!

Później, kiedy już wyzdrowiałem, jeden z więźniów lekarzy powiedział mi, jak bardzo się obawiał, że ja tej nocy umrę. Nie umarłem jednak. Od owej nocy minęło już 20 lat.

Przez tych 20 lat przygotowałem wielu, nawet bardzo wielu na dobrą chrześcijańską śmierć. Niemало z nich już umarło po chrześcijańsku. Nie zapominajmy nigdy o śmierci i o wieczności, - tak jak nam to doradza Pismo święte:

"Bez przestanku rozważaj twoje rzeczy ostateczne, a nie zginiesz na wieki"!

- - - - -

Właściwie to w tym miejscu powinienbym skończyć drugą część tego pisma, zatytułowaną: do moich Przyjaciół. Ale nie mogę jeszcze kończyć.

Dotychczas mówiliśmy o Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej, o Rosji i o dalekich Kresach azjatyckich. Teraz pomówimy o Krakowie.

Mieszkałem w Krakowie równo 10 lat. Przez pierwszych 5 lat /1921-26/ byłem studentem wydziału prawnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, a następnie 5 lat /1926-31/ studentem jego wydziału teologicznego. W Krakowie otrzymałem święcenia kapłańskie i zostałem księdzem, w Krakowie zrodziła się przyjaźń z wieloma Adresatami tego pisma, a w szczególności nasza jedyna w swoim rodzaju Kołowa. Kraków zaciążył decydująco, a jakże dobroczynnie, na całym moim życiu. Kraków i Uniwersytet Jagielloński, bo łączy je u mnie związek nierozzerwalny.

Szczególnie dla mnie jest cennym, że mój związek z Uniwersytetem Jagiellońskim jest poprzez 2 wydziały: prawny i teologiczny. Bo Uniwersytet był jeden, lecz w jego ramach wiodłem zupełnie inny rodzaj życia jako świecki student wydziału prawnego, który dopiero po trzecim roku studiów uświadomiłem sobie powołanie kapłańskie, a zgoła inny tryb życia jako kleryk na wydziale teologicznym.

Co dał mi Kraków i Uniwersytet Jagielloński podczas studiów na wydziale prawnym? Niedarmo nazwano Kraków narodowym pamiętek Kościołem. W wielka tradycja dziejowa przemawia w Krakowie

na każdym kroku. Jeżeli Warszawa więcej jest związana ze schyłkowym okresem dawnej Rzeczypospolitej, to Kraków wiąże się z okresem najświetniejszych naszych dziejów. Częściowo z okresem Kazimierzowskim, lecz nade wszystko z okresem Jagiellońskim. Niedarmo nasz Uniwersytet za pierwszego założyciela Kazimierza Wielkiego, a nosi miano Uniwersytetu Jagiellońskiego!

Kraków i Uniwersytet Jagielloński dał mi część i umiłowanie tradycji dziejowej, - tego co w niej jest wielkie, wzniosłe i piękne. Lecz równocześnie Kraków i Uniwersytet Jagielloński dał mi zrozumienie i umiłowanie wolności, i to wolności wszechstronnej, - nie tylko wolności politycznej, społecznej czy ekonomicznej, lecz nade wszystko wolności sumienia i wolności przekonań. Jakże to było kształcącym i budującym, że w czcigodnych murach naszego Uniwersytetu kwitła prawdziwa wolność słowa, ścierały się diametralnie różne zdania i poglądy, a jeśli nie zawsze, to najczęściej w naprawdę kulturalnej atmosferze. Czyż tak właśnie nie było także i w naszym Kole? Czyż dobrze nam znana różnica w naszych poglądach były nam przeszkodą w naszej Kołowej przyjaźni? A i w "Odrodzeniu", w którym zresztą mój udział był za mało pogłębiony, było to samo i cześć dla tradycji i poszanowanie wolności.

Mało tego! I na Wydziale Teologicznym nie tylko cześć dla tradycji, co jest na tym wydziale samo przez się zrozumiałym, ale równocześnie zrozumienie i poszanowanie wolności. Rektor Krakowskiego Seminarium Metropolitalnego, Prąbat Zygmunt Kulig, dbał o to, by w czytelni kleryków były czasopisma reprezentujące różne kierunki. Gdy były głosowania ogólnoakademickie, nikt nie krępował kleryków wolności w wyborze tej czy innej listy kandydatów. Ja sam podczas wyborów na ogólnopolski zjazd akademicki głosowałem jako kleryk na najbardziej lewicową spośród trzech zgłoszonych list, bo wolałem umiarkowaną lewicę niż "bogoojczyźnianą" a jakże bardzo płytką w swym stosunku do katolicyzmu encję. Byli inni klerycy, którzy mieli podobne poglądy.

Oczywiście, że nie wydział prawny, tylko teologiczny, uformował mnie jako księdza i dał pogłębienie wewnętrzne, niezbędne dla dość rozbawionego studencika, jakim wówczas byłem.

Tak na wydziale prawnym jak i teologicznym, jak zresztą i na innych wydziałach miałem szczęście spotkać Profesorów wprost uosabiających najlepsze cechy Krakowa i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jedni z nich byli rodowitymi Krakowianami, inni pochodzili nieraz z dalekich Kresów, ale wszyscy oni godnie reprezentowali Uniwersytet Jagielloński i mieli dane, by dogłębnie wpływać na młodzież. Bo i na młodzież (nie) mogło to wszystko wpływać. Pewien kolega, który studiował aż na trzech uniwersytetach: w Krakowie, w Wilnie i w Warszawie - wyraził się trochę żartobliwie lecz bardzo trafnie, że krakowscy studenci są ze wszystkich największymi filozofami. Tak, ale filozofem nie stanie się ten, którego karmią tylko jedną doktryną i który nie ma swobodnej i twórczej dyskusji i wymiany zdań. Oby nasz Uniwersytet Jagielloński pozostał zawsze wiernym sam sobie!

To co ja wyniosłem z Krakowa zawsze mi pomagało i pomaga tam - na jakże dalekim od Krakowa Wschodzie. Tam, gdzie długie lata spędzałem za kratami więzień i za drutami kolczastymi obozów pracy przymusowej. Wszędzie tam to co wyniosłem z Krakowa, pomagało zachować godność osobistą i kapłańską. Pomagało szanować własne poglądy, ale też i cudze poglądy jeśli one w ogóle były. Zdaje się, że nie dałem się nigdy zatruć nienawiścią i że miłość nieprzyjaciół nie była samą tylko piękną teorią w moim życiu na Wschodzie.

Obok Krakowa niemałą rolę odegrał w moim życiu Łuck. Przybyłem do Łucka jako do najbliższego mi w granicach międzywojennych Polski ośrodka Kresowego. Stałem się kapłanem diecezji łuckiej i jestem nim po dziś dzień. Wielce sobie cenię przynależność do Łuckiej Kapituły Katedralnej, w Łucku znalazłem żywą i silną tradycję kresową oraz wielu Przyjaciół, którzy, ufam, że przeczytają te słowa.

Wielu moich Przyjaciół odeszło już od nas na wieki. My starzy jesteśmy już u schyłku naszego ziemskiego życia. Obyśmy wszyscy - czy tu, czy tam, daleko na Wschodzie - przeżyli je do końca w sposób godny naszych wielkich tradycji, a przez to i płodny dla oczekującej nas już niebawem wieczności.

KSIĄDZ WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI /1904-1974/

Poznaliśmy się na seminarium mego mistrza Stanisława Kutrzeby, na które pilnie uczęszczał. Szerokie zainteresowania historyczne skłoniły go również do pogłębiania swych wiadomości w seminarium Stanisława Estreichera. Na obu kolegował z Oskarem Lange, który zanim stał się naszym wielkim ekonomistą, poświęcał się studiom historyczno-prawnym.

Z Władkiem Bukowińskim zaprzyjaźniłem się jednakże na zgoła innym terenie. Pochodził on gdzieś z dalekich ziem ukraińskich dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej. To pierwsza wojna światowa przegnała go na zachód, aż zatrzymał się w Krakowie, który z miejsca urzekł go swym pięknem. Tutaj, jak każdy wyrzucony z swych pieleszy, szukał zbliżenia z ludźmi pochodzącymi z tym samych stron, tak jak i on wyzutych z gniazda rodzinnego. Tym ośrodkiem skupiającym rodaków ze wschodu było "Koło Kresowe", grupujące i starszych i młodych. Swój lokal miało na placu Jabłonowskich, dzisiaj nazwanym Placem Władysława Sikorskiego. W dzisiejszej przychodni na drugim piętrze może była i stołówka, a w każdym razie obszerna sala, w której dostojne matrony-babki i matki siadywały pod ścianami, a młodzież hulała do upadłego na niezbyt "wyglansowanej" posadzce.

I ja tam chodziłem, chociaż z "Kółem Kresowym" nie miałem nic wspólnego. Pochodziłem z pobliskiego Sanoka, gdy "oni" z ziem od Kamczatki aż po Dniepr i Zbrucz. Dla mnie tatrakcją były wieczornice i tańce. Chodziły na nie regularnie cztery urodziwe "ogrodniczki" z czterema podkochującymi się w nich studentami z "Kółka Rolników". Ja byłem piątą "na przyczepkę" i z przyjemnością maciłem

jak mogłem. Hulał podówczas i Władek, chociaż jakąś wewnętrzną powagą najwidoczniej odbijał od innych. Nie wiem skąd się to u mnie wzięło, ale przypominał mi Longina Podbipiętę. Może swoją dobrocią i pobłażliwością na wszystkie moje zaczepki. Zanim podrosłem, nie mając żadnych zdolności, by stać się drugim Panem Wołodyjowskim, język ostry i dokuczliwy był moją bronią zaczepno-odporną. Właśnie wypróbowałem jej również na Władku Bukowińskim. Ale starałem się nigdy nie przekroczyć miary. Zdawałem sobie sprawę, że w razie czego zdusiłby mnie jedną ręką. Zresztą naprawdę lubiliśmy się i łażąc wieczorami czy nawet nocami po plantach, prowadziliśmy "długie rozmowy rodaków", mimo - a może właśnie dlatego - że różniliśmy się temperamentem, sposobem podejścia do ludzi oraz przekonaniami politycznymi. Władek był już wtedy głęboko religijny. Szukał dla siebie przyszłej drogi, drogi aktywnego oddziaływania na ludzi.

Później zszedł mi jakoś z oczu. Wyjechałem na studia do Francji i już po powrocie do kraju dowiedziałem się, że Władek po zdobyciu dyplomu magistra praw zrezygnował z kontynuowania studiów naukowych i wstąpił do krakowskiego seminarium duchownego. Zaprosił mnie na swe prymicje, po których rychło wyjechał do Suchej, a później, chory na płuca, do Rabki. Tam dzięki starannej opiece sióstrzyczek, które go solidnie podkarmiały, zasklepiły się szczęśliwie jego dziury w płucach i mógł wyjechać na nową placówkę, do Łucka. W Krakowie rzadko go widywałem a sam, w mych wędrówkach po Polsce, nigdy doń nie zaglądnąłem.

Po moim powrocie do kraju we wrześniu 1945 r. dowiedziałem się, że Władek, bardzo w Łucku lubiany, pozostał na swej placówce przy katedrze, aby zająć się swymi owieczkami, z których garść nie chciała opuszczać swych stron rodzinnych. Późniejsze losy miały

go z miejsca na miejsce. Po wielu dobrowolnych i niedobrowolnych wędrówkach wylądował w Karagandzie. Stamtąd otrzymałem jego pierwszy list wysłany do Krakowa na adres, który podali mu znajomi "kresowiacy". Z czasem uzyskał zezwolenie na odwiedzin rodziny, która na trwałe osiedliła się na zachodnich ziemiach odzyskanych. Odwiedził mnie w Krakowie. Zamiast chudego, wysokiego, ascetycznego Longina Podbipięty - jakim był jako student krakowskiego Wydziału Prawa - ujrzałem zwalistego, tęgiego olbrzyma. Ale na twarzy nie zmienił się. Patrzyły na mnie te same dobre oczy w pogodnym uśmiechu. Z uśmiechem też, czasami trochę gorzkim, mówił o swych przejściach i o długich miesiącach, w ciągu których był odcięty od swych parafian, jeśli parafią można nazwać przestrzenie sięgające od Karagandy, gdzie był zameldowany na stały pobyt jako nocny stróż jakiegoś zakładu przemysłowego - aż po granice Afganistanu.

Władze radzieckie wiedziały naturalnie, że był katolickim kapłanem, bardzo lubianym i szanowanym przez swych podopiecznych. Byli nimi nie tylko Polacy, którzy z zapartym tchem łowili jego opowiadania o dawnej Polsce Piastów i Jagiellonów, ale także i Niemcy. Ba, miał ich pod swoją opieką nawet więcej niż Polaków. Byli to potomkowie tych, których w XVIII wieku caryca Katarzyna sprowadziła i osadziła na urodzajnych ziemiach nadwołżańskich. Później - w naszych już czasach - z całym dobytkiem zostali przeniesieni w głąb ziem Związku Radzieckiego, między innymi do Kazachskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Pozostali, mimo ta długiego pobytu wśród ludów Związku Radzieckiego, nadal katolikami i za swój język ojczysty uważają język niemiecki. Żyją według tych samych zwyczajów, w których byli wychowani pierwsi osadnicy niemieccy; tak silny bowiem jest wśród nich tradycjonalizm.

Opowiadał mi Władek, że w ostatnich czasach władze radzieckie pozwoliły im odwiedzić te rodziny, z którymi byli w korespondencyjnym kontakcie. Wszyscy powrócili do ZSRR. Stwierdzili, że poza językiem nic ich nie łączy z mieszkańcami Niemiec. Wydali się im zupełnie obcy, a drażniła ich pogoń za pieniędzmi i za luksusem. Nigdzie w ojczyźnie swych pradziadów nie spotkali się z cieplejszym uczuciem. Z swymi niemieckimi parafianami Władek rozmawiał w ich własnym języku, po niemiecku głosił im kazania, a z czasem odprawiał nabożeństwa. Wiedzieli, że był Polakiem, wiedzieli też dobrze, ile niewinnej krwi polskiej przelali ich hitlerowscy współplamieńcy w okresie bestialskiej okupacji. Swym sercem na każdym kroku okazywali mu jak jest im bliski. Pod jego wpływem polscy i niemieccy katolicy żyli z sobą jak bracia.

Bawiąc krótko w Krakowie, chciał być koniecznie w gmachu Collegium Novum, gdzie - jak mówił - spędził, poza gmachem Seminarium Duchownego na Podzamczu - swe najmiłsze i najpiękniejsze lata. Był w sali Kopernika na moim wykładzie z zakresu historii państwa i prawa polskiego. Przedstawiłem go - mego kolegę i tułacza - moim studentom. Przyjęli go długotrwałymi oklaskami. Obiecał, że powróci do Polski i jeszcze dwukrotnie powracał. Chociaż dawno przekroczył sześćdziesiątkę, wyglądał znacznie młodziej od swych krakowskich kolegów i rówieśników. Równie pogodny jak dawniej, ale chorobliwa otyłość uczyniła go jeszcze potężniejszym. Bardzo wysokie ciśnienie wskazywało, że powinien poddać się dłuższej kuracji, do czego namawialiśmy go gorąco. Nie myślał ulec naszym przedstawieniom. Chciał jaknajprędzej powrócić do tych, którzy go potrzebowali jako kapłana i którzy go ukochali jako zawsze wiernego przyjaciela. Śmierć zamknęła mu oczy na obcej ziemi, która jednak stała mu się niemal tak bliską jak polska. Z pewnością ostatnie jego myśli biegły do kraju przodków, ale równocześnie ogarniały wszystkich

wiernych, a szczególnie tych, którym służył więcej niż trzy dziesiątki trudnych lat.

Jak długo będziemy żyli tutaj my wszyscy, którzy zetknęliśmy się z nim osobiście, pamięć o nim wśród nas będzie żywa. Nie sądzę, by usłuchał moich rad i by spisał swe wspomnienia. Tłumaczył mi, że będąc w stałych rozjazdach i nie mając już dawnych sił, nie zdobędzie się nawet na utrwalenie ich na taśmie magnetofonowej. Jakaż szkoda. Nic nie potrafi przekazać potomności jego przeżyć, nikt chyba nie potrafi opisać codziennego życia kapłana, który przez tyle lat niósł dobrą nowinę swym wiernym rozrzuconym na ziemiach chyba najrozleglejszej parafii.

/-/ Adam Vetulani

prof. Karol Górski

Ksiądz Władysław Bukowiński /1904 - 1974/

W największym audytorium Collegium Minus, na pierwszym piętrze /muneru już nie pamiętam/, w wypełnionej sali wykładał z katedry historię ustroju Polski prof. Stanisław Kutrzeba. Był to wykład dla I roku prawa, ale ja nań chodziłem dobrowolnie jako historyk. Z ust profesora płynęły słowa wykładu, pojęcia precyzyjnie rozświetlające umysły, konstrukcje logiczne, które budziły zachwyt. Pamiętam je dotąd, po przeszło półwieczu. Nagle z pierwszej ławki podniósł się wysoki, barczysty student z twarzą dziecka i postawił pytanie. Sala zamarła. To była obraza majestatu Nauki, pisanej przez duże N, obraza uniwersytetu, obraza Akademii. Oczy nasze spoczęły z napięciem na ustach profesora. Ale profesor mówił dalej, jakby nic nie widział i nic nie słyszał, a słow jego przeszywały jak niewidoczne strzały studentów siedzących przed nim. Zwalisty student zapadł się w pierwszą ławkę. To było pierwsze moje spotkanie z Władkiem Bukowińskim. Po latach z uśmiechem przypominał mi tę scenę.

Poznaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy. Mówił mi, że to ja go wprowadziłem do "Odrodzenia". Planowaliśmy wspólnie założenie Koła Kresowatego, które by skupiło studentów przybywających do Krakowa, zagubionych w obcym mieście, gdzie nie mieli oparcia. Władzio został pierwszym prezesem. Koło zdobyło lokal w starym magazynie solnym na placu Jabłonowskich, gdzie na pierwszym piętrze były dwie izby z sienią. Podłoga z bardzo starych desek wydawała dziwne i nieoczekiwane dźwięki, w prostych lampach paliły się słabe żarówki. Tam schodziła się młodzież szukająca namiastki domu. Przez te izby przewijały się dziesiątki, a potem setki studentów; przyjechał kiedyś Putrament, bywał Ksawery Pruszyński /opisał Koło widząc je przez swój własny pryzmat/ i tylu, tylu innych. Wśród nich kręcił się Wła-

dzio, pomagając potrzebującym dobrą radą /cóż miał innego do rozdawania?/ i wskazówkami. Wygłaszał referaty i przemówienia na walnych zebraniach, upominał kolegów, by chodzili na posiedzenia, przestrzegali regulaminu i płacili składki. Mówił to z tym dobrym, łagodnym uśmiechem, który miał zawsze. Odpłacano mu też uśmiechem, choć nie zawsze przestrzegano jego pouczeń. Organizował zabawy i tańczył, bronił spraw Koła, uzyskiwał fundusze. Aż po skończeniu prawa wstąpił na teologię.

Ten drugi wydział kończył też w Krakowie, ale śmiem twierdzić, że pozostał zawsze prawnikiem, a historia państwa i prawa nigdy nie przestała go interesować.

Postudiach w seminarium był katechetą w Rabce w Zakładzie Wychowawczym Pań Szczuka. Tu zasłynął umiłowaniem ubóstwa: rozdawał biednym wszystko, co miał, nie chciał przyjąć drugiej sutanny, a gdy mu zabrano rozlatujące się buty i kupiono nowe - oddał je biedakowi, a sam wrócił do mieszkania w skarpetkach.

Potem pojechał na Wołyń. Tu był wykładowcą w seminarium. Gdy przyszły czasy okupacji i wywożono Żydów z getta na zatracenie, chciał głośno z ambony protestować i dopiero osobisty zakaz biskupa zdołał go powstrzymać. Nie pozwolono mu na dobrowolne męczeństwo.

Potem powędrował na wschód.

Opowieści jego - bez dat, bez miejsca, bez nazw - zawisły w bezczasowej, błękitnej aurze, jak w pogodnych legendach średniowiecza: "Pewnego dnia..." A jednak przewijały się obrazy gór niebotycznych, pokrytych wiecznym śniegiem, a u stóp ich wioska, gdzie białowłose starzec witał go jako jedyne, który sobie o nich przypomniał. I starzec rozplakał się. Gdzieś poza czasem zawisła podróż wózkami po stepie, gdzie przejeżdżano przez wyschnięte kanały, i rozmowa z mułką, który przyszedł powitać "polskiego mułkę" i dziękować za dobrych ludzi, którzy tam osiedli. Pisał o sobie:

"Dn. 30.XI./1955/ większość rodaków wyjechała stąd do kraju. Ja zostałem tutaj ze względu na celowość, nie ulegającą najmniej wątpliwości. Środowisko moje jest różnorodne i interesujące. Wystarczy Ci nadmienić, że niemal codziennie używam aż czterech języków: polskiego, rosyjskiego, ukraińskiego i niemieckiego. Pszenica i kąkol, lecz jakość pszenicy częstokroć pierwszorzędna, wypróbowana naprawdę solidnie. Nie mogę porzucić jak ongiś Jan Beyzym nie porzucił trędowatych na Madagaskarze. Nie znaczy to, bym śmiał siebie z nim równać..."

Pozostał dobrowolnie, nie narzekał, przywiązał się do kraju i ludzi. "Jeśli w nauce historycznej cenną jest zdolność przewidywania, to w mojej osobistej historii nic przewidzieć się nie da. Żyje się dniem dzisiejszym i ufnością w Opatrzność. Stosunkowo najbardziej prawdopodobne wydają się ewentualności mniej przyjemne. Ale za to terażniejszość jest miła i użyteczna".- "Jest to praca więcej obliczona na przyszłość niż na doraźne wsławienie autora. Ale właśnie dlatego sędzę, że ma ona pewne walory nadnaturalne".

Za krajem jednak tęsknił. "Długie lata rozłąki z krajem tylko pogłębiły we mnie przywiązanie do Krakowa i do Uniwersytetu Jagiellońskiego. Niestety nie danem mi będzie oglądać Krakowa, bo moje starania odwiedzinowe zakończyły się decyzją odmowną. Odczuwam boleśnie niemożność ujrzenia Rodziny i przyjaciół, a także niemożność ujrzenia Krakowa. Bo dla mnie tak praktycznie obecna nieznana mi osobiście Polska to właściwie tylko Kraków. Wszystko inne, z czym się wiąże moje życie, leży na wschód od obecnych granic Polski" - pisał 1.X.1964. Nie minął rok, a na trzy miesiące przybył do Polski i ujrzał ~~znowu~~ znowu Kraków. Wrócił na termin do swego miasta. "Moi tutejsi przyjaciele - pisał - przyjęli mnie z radością. Wielu obawiało się, że do nich już nie powrócę".

Ale wraz z upływem lat malały siły: "Pocieszam się tym, że jest

to zjawisko całkiem normalne, gdy się już rozpoczęło siódmy krzyż. Dzięki Bogu i za to, że mogę tutaj dalej pracować" /7.XII.1965/.

Myślał o minionych latach i minionym życiu. Po przeczytaniu książki o Łukaszu Watzenrode, biskupie warmińskim, pisał: "Stanowczo lepiej jest być biskupem w naszych niż w owych czasach, kiedy polityka zdecydowanie górowała nad duszpasterstwem. W zamierzonych przedwojennych czasach nieraz mi sugerowano, że ja się nadaję na takie stanowisko. Wprawdzie zawsze mi było wstrętne karierowiczostwo, zwłaszcza w moim zawodzie, lecz dziś widzę o wiele jaśniej, że ja się wcale nie nadawałem. Samo ukończenie wydziału prawnego nie może zastąpić innych kwalifikacji na stanowisko tak bardzo eksponowane. Zapewne mógłby ze mnie być niezły wykładowca historii eklezji, lecz nie wiem, czy byłby "równocennym" badaczem źródeł historycznych. Zresztą wola Opatrzności w moim życiu występuje bardzo wyraźnie. Ani uczone wykłady, ani tym mniej odpowiedzialność za całą diecezję, lecz właśnie pocieszanie opuszczonych staruszek jest moim opatrznościowym zadaniem"/.../ "Obyśmy do końca uczciwie wypełniali wolę Opatrzności w przeświadczeniu, że to jest w naszym życiu najlepsze i najbardziej pożądania godne". /14.XII.1973/

Przychodziły refleksje: "Uważam się za człowieka bardzo spokojnego, tymczasem życie moje było i wciąż jest bardzo niespokojne". "Piszesz o sztuce starzenia się. Jest to sztuka umiejętnego wkroczenia w wieczność wiarą, nadzieją, miłością, no i skrucą oczywiście". Pisał o ubytku sił: "Gromadzimy sporo wiedzy i doświadczeń, na czym schodzi większa część życia, a gdy to zgromadzimy, braknie już sił do realizacji. Starszym ludziom, pozbawionym perspektywy wieczności należy współczuć jeszcze więcej, niż młodym. Ja także przeżywam ten nieunikniony proces ubytku sił. Znosi się jednak na to, że w końcowym etapie mego życia Opatrzność będzie ode mnie wymagała nie tyle twórczości, co raczej cierpienia". /1.X.1964/.

Chorował na serce i na wątrobę oraz miał rany na nogach, które się stale odnawiały. Chodził kulejąc. A zarazem umysł jego przenikliwy i głęboki trafnie, bez błędu oceniał ludzi i rzeczy. Martwił się ubytkiem sił: "Muszę jednak liczyć się z tym, że przemęczenie uniemożliwia zachowanie dobrego, pogodnego nastroju, tak bardzo pomocnego przy mojej pracy. Jakże jest ważna miła serdeczność wobec ludzi, którzy nieraz i po 20 latach nie widzieli takiego jak ja". Ale uważał się za "sługę nieużytecznego" także ze względu na "nieunikniony ubytek sił na starość" /..../ "podałeś bardzo dla mnie cenne rozważania na temat "siła na zamiary".. czy też "zamiary według sił". Co do mnie jednak, to właśnie... uświadomiłem sobie, że ów mickiewiczowski dylemat nie znajduje bezpośredniego zastosowania w mym życiu. Po prostu się żyje z dnia na dzień, z tym, że każdej chwili może się urwać lub radykalnie zmienić. Tymczasem od mego powrotu z trzyletniego urlopu ciągnie się już niemal 10 lat. A jednak ex post ta metoda "z dnia na dzień" wydaje się celowa. Bo praca polega na stosowaniu pierwszej pomocy w nagłych wypadkach, a choćby i nie wszystkie wypadki były nagłe, to pomoc jest pierwsza". /9.X.1971/

Zbliżał się nieoczekiwany koniec. Był w kraju jeszcze w 1969 i 1973 roku. Pisał 14.XII.1973: "Wieczерzę wigilijną od szeregu lat spożywam w gronie jednej rodziny: samotnej staruszki i samotnego staruszka w mojej osobie. Są to nasi rodacy. Nasi Niemcy nie urządają wieczerzy wigilijnej, natomiast są bardzo przywiązani do choinki".

Nie opuszczała go pogodna myśl o wieczności. "W naszym wieku, przy naszych przekonaniach epilog ziemskiego życia łączy się z prologiem życia wiekuistego" /1.II.1969/. "Z chaosu spraw ziemskich dźwigajmy się wzwyż - ku Zmartwychwstaniu. Jakie to szczęście, że od młodości On nas pociągał ku sobie, choć poszliśmy za Nim różnymi

drogami. Trwajmy w Jego miłości". Misterium Zmartwychwstania było mu chyba szczególnie bliskie: "Oby serca nasze pały, jak ongiś podczas rozmowy na drodze z Jerozolimy do Emaus" /20.III.1964/.

"Słę Wam z oddali wielkanocne Alleluja! Dla nas starych mówi /ono/ o wiele potężniej niż za młodu o tym co się nie kończy i nie przemija, a co głosić jest mimo wszelkich przeciwności szczęściem i zaszczytem" /9.IV.1962/.

Rok 1974 przyniósł osłabienie sił. Wyjechał tylko na odpoczynek na Podole we wrześniu i październiku, listy pisał coraz rzadziej, czuł się niedobrze. Opatrzność skróciła mu dni cierpienia: zgasł w Karagandzie po ośmiu dniach pobytu w szpitalu dn.3.XII.1974 r.

Spoczął tam, gdzie żył i działał przez lat dwadzieścia, nie dożywszy jednego miesiąca do lat 70. Ten miesiąc został mu darowany, skoro go nie potrzebował, by dopełnić miary dni i miary dobroci. Nie chodzi już wśród nas i nie będzie chodził - wielki, potężny, kulejący na obie nogi, w czarnym kapelusiku z falującym rondem, w obszernym czarnym ubraniu, który azjatycki krawiec szył chyba na miarę fidiaszową... Ten uśmiech dziecka i oczy przenikliwe, sąd wytrwany i słowa kojące rany, słowa ciche i łagodne, które mówił z serdeczną prostotą, bo był "jako jeden z tych maluczkich", był jak dziecko. Czy tak właśnie ma wyglądać odblask rzeczy nieskończonych na twarzy i w oczach człowieka?

/-/ Karol Górski

Irena Niewodniczańska

S.p. ks. Władysław Bukowiński

Moje wspomnienia łączą zawsze postać ś.p. Władzia z Kołem Kresowym na placu Jabłonowskich w Krakowie. Jak tam trafiłam? nie pamiętam, bo właściwie realnego tytułu na to nie miałam: urodziłam się w Petersburgu, a maturę zdałam w Puławach... Lecz rodzina moja związana była organicznie z Białorusią /matka z domu Święto-rzecka.../. Dzieciństwo aż do 1917 roku spędzałam oczywiście w Mohylowszczyźnie i chyba stąd w głębokim poczuciu uważałam siebie całe życie za "kresowiankę", a więc zupełnie uczciwie pewnego dnia zakołatałam na I piętrze do lokalu Koła Kresowiaków w Krakowie.

W lokalu tym, przy dźwiękach granego przez Tolka Listowskiego /na rozklekotanym fortepianie/ mazura - królowała ponad wszystkimi głowami postać Władeczka. Był postawny, w miarę przystojny, bardzo dobrze wychowany i - zawsze uśmiechnięty. Spotkania nasze były prawie że codzienne: albo na dyżurach, gdy my - "dziewczynki" - samodzielnie gotowałyśmy i wydawałyśmy kolacje, albo na zebraniach zarządu, czy też podczas organizowania imprez, celem zaspokajania niekończących się braków i niedoborów pieniężnych. Widocznie potrzeby się rozrastały, członków przybywało i zarząd Koła, mając jeszcze poparcie tzw. "starszego społeczeństwa" wciąż organizował imprezy dochodowe i chyba dawało to jakieś pozytywne rezultaty.

Nie zapomnę nigdy niezrównanej dyskrecji Władzia, który przecież kierował sprawami finansowymi Koła. On jeden orientował się komu i kiedy Koło spieszyło z pomocą. Czynił to tak dyskretnie i taktownie, że nikt z nas nigdy nawet pytań nie zadawał. Mieliśmy bezgraniczne wręcz zaufanie do Jego rozeznań i decyzji.

Każda impreza: czy to odczyt, czy spotkanie z ciekawymi osobistościami, czy zwykła zabawa - odbywały się zawsze w obecności wszechobecnego Władzia z Jego miłym uśmiechem, spokojem i taktem.

W ostatnich latach studiów miałam mniej czasu na odwiedzanie Koła, potem wyszłam za mąż i wyjechałam do Wilna. Nie słyszałam od nikogo o tym, że Władzio, po ukończeniu prawa, wstąpił do Seminarium Duchownego. I oto nagle w Wilnie zjawia się na progu naszego domu Władzio - w sutannie! Byłam zdumiona niespodziewaną aparycją dawnego prawnika, zdumiona też rozmiarami Jego postaci, która, po kłopotach z płucami, zwiększyła się o spore ilości kilogramów. Ks. Władysław zaprosił nas na odprawianą przez siebie Mszę św. w Ostrej Bramie, na której oczywiście byliśmy całym domem.

Potem minęło wiele smutnych lat do czasów odnowienia korespondencji / w latach sześćdziesiątych?/ i wreszcie do ponownego spotkania w Krakowie w roku 1965. Pomimo tylu przeżyć i cierpień - znowu ten pogodny i spokojny uśmiech u Władzia, to miłe zainteresowanie całą rodziną, losem i postaciami moich dzieci, męża, Rodziców, to uważne słuchanie - tak rzadkie w obecnym świecie - wnużeń interlokutora.

Organizowałam u siebie przy al. Mickiewicza spotkania Władzia z Jego przyjaciółmi księżmi i świeckimi i szczęśliwa byłam, że dane mi jest choć w drobnym stopniu przyczynić się do uświetnienia Jego wizyt w kraju.

Teraz, gdy już nigdy takie spotkania nie nastąpią, wspominam Go codziennie w modlitwach i czuję nadal Jego miły, przyjazny uśmiech gdzieś w pobliżu...

Kraków, 17 lutego 1975

/-/ Irena Niewodniczańska

II/547/E

(x Władysław Bartoszewski)

WYBÓR WSPOMNIEŃ I INFORMACJI

DLA MOICH PRZYJACIÓŁ

oraz do moich przyjaciół Kasi

str 77 + 87

D E D Y K A C J A

Pismo skierowane do wszystkich moich Przyjaciół świeckich i duchownych wspólnie, nie jest i nie może być w obecnych warunkach przeznaczone do druku, - dla szerszego kręgu czytelników. Jest ono przeznaczone tylko dla szczupłego grona najbliższych Przyjaciół.

Nie jest rzeczą możliwą w nadbyt krótkim urlopowym czasie pokusić się o napisanie choćby o tyle o ile wyczerpującej kroniki mego życia, poczynając od tragicznego dla wszystkich nas 1939-go roku. Zdaję sobie sprawę z tego, że Opatrzność Boża prowadziła mnie drogami nie całkiem zwyczajnymi zdolnymi zainteresować wielu czytelników, a tym bardziej moich Przyjaciół.

Wyrażając się może nieco pretensjonalnie, z tej książki czytelnik mojego postawieniem wybrać tylko kilka kart najbardziej godnych przeczytania. Ten wybór jest z konieczności subiektywny. Nie chodzi mi jednak o jakies względy subiektywne, a raczej o świadectwo prawdziwe.

Układ mojego dzieła jest całkiem prosty. Część pierwsza: wstępna. - Część druga: do moich Przyjaciół świeckich. - Część trzecia: do moich Przyjaciół Książy.

Nie piszę osobno do świeckich, a osobno do duchownych. Przeciwnie, mam nadzieję, że świeccy przeczytają to co piszę do Książy i odwrotnie.

Niech przyspieszone tempo mojej pracy pisarskiej usprawiedliwi nieuniknione usterki stylistyczne, a może i gramatyczne.

- - - - -

C z ę ść I

W s t ę p

W tej pierwszej części wstępnej mego pisma będzie najpierw mowa o mnie samym i o moich Przyjaciółach Księżach: Bronisławie Drzepeckim i Józefie Kuczyńskim, a następnie o Związku Radzieckim, w którym upływa całe moje życie od dnia 18-go września 1939 roku, z wyjątkiem niespełna 3 lat okupacji niemieckiej w Łucku i kilku miesięcy spędzonych na urlopie w Polsce.

Dla lepszej orientacji podaję szereg dat z mojego życia. Urodziłem się dnia 22 grudnia 1904 roku (starego stylu) w Berdyczowie na Ukrainie.

W lipcu 1920 roku nasza rodzina wyjechała z Ukrainy do Polski.

W latach 1921-1931 odbyłem studia prawnicze i teologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Dnia 28 czerwca 1931 roku otrzymałem święcenia kapłańskie w Katedrze na Wawelu z rąk Księdza Metropolity Adama Stefana Sapiehy.

W latach 1931-36 pracowałem w Archidiecezji Krakowskiej w Rabce i w Suchej.

Od sierpnia 1936 roku pracowałem w Łucku.

Po wybuchu wojny - w listopadzie 1939-go roku Ksiądz Biskup Adolf Piotr Szelązek mianował mnie proboszczem katedry Łuckiej.

Od 22-go sierpnia 1940-go roku do 26-go czerwca 1941-go roku trwało moje pierwsze uwięzienie, cały czas w Łucku.

Po wyjściu na wolność pracowałem dalej na stanowisku proboszcza Katedry Łuckiej.

Od 4-go stycznia 1945 roku aż do 10 sierpnia 1954 roku

przedłużało się moje drugie uwięzienie. Z tego tylko pierwszych 18 dni w Łucku, dalej 1 1/2 roku w więzieniach w Kijowie, a następnie 8 lat w obozach pracy, a mianowicie: w latach 1946-50 w Czelabińskich obozach, a w latach 1950-54 w Dżeszkazganie położonym o 500 kilometrów na południowy zachód od Karagandy.

Od września 1954 roku do 3 grudnia 1958 prowadziłem pracę duszpasterską w Karagandzie, dokąd zostałem administracyjnie zesłany. To zesłanie trwało jednak tylko 2 lata do połowy 1956 r.

Od 3 grudnia 1958 roku do 3 grudnia 1961 roku, a więc równo 3 lata, trwało moje trzecie uwięzienie.

Od grudnia 1961 roku aż do obecnego mojego wyjazdu na urlop do Polski prowadziłem dalej pracę duszpasterską w Karagandzie.

Zarówno przed moim ostatnim aresztowaniem w latach 1956-58, jak i po uwolnieniu w ostatnich latach miałem możliwość odbyć szereg podróży misyjnych. Daj Boże, bym mógł kontynuować tę pracę po powrocie z Polski do Związku Radzieckiego.

Opatrzność Boża poprowadziła wspólnymi drogami nas - trzech kapłanów diecezji łuckiej: Księdza Bronisława Drzepskiego, Księdza Józefa Kuzyńskiego i mnie. Ponieważ piszę do Przyjaciół będą Ich nieraz nazywał po imieniu.

Śmiało twierdzić, że zaprzyjaźniliśmy się ze sobą z wyraźnej woli Bożej.

Z Bronisławem i Józefem siedzieliśmy w jednej celi w więzieniu w Kijowie przeszło rok: od czerwca 1945 roku do lipca 1946. Przez pierwsze pół roku do grudnia byłem z nimi w jednej celi nasz Oczigodny i Sędziwy Arcypasterz Ksiądz Adolf Piotr Biskup Szelażek, o czym piszę obszerniej gdzie indziej. Właśnie w tej kijowskiej celi więziennej dnia 1 sierpnia 1945 roku Ksiądz Biskup skończył 80 rok życia.

Po uwolnieniu z dziesięcioletniego uwięzienia pracowaliśmy wszyscy trzej w Kazachstanie: ja od 1954 roku w Karagandzie, Bronisław od 1953 we wsi Zielony Gaj koło Celingradu, a Józef od 1956 w miasteczku Talacza obwodu Kołczetawskiego. W grudniu 1958 roku aresztowano mnie i Józefa, a w styczniu 1959 Bronisława. Sądzone każdego z nas oddzielnie. Ja "siedziałem" 3 lata, Bronisław 5 lat, a Józef 7 lat.

W tym czasie byłem z Bronisławem w jednym obozie przeszło 2 lata (1959-1961). Józefa widziałem przelotnie 2 razy w 1959 roku, a potem byliśmy wszyscy razem przez 8 miesięcy - od kwietnia do grudnia 1961 roku - w obozie dla "religiozników" o którym naposzę obszerniej w trzeciej części mego elaboratu - do Książy.

Po tym wyjaśnieniu uważam za swój obowiązek nieco bliżej poznać wszystkim czytelników z moimi Przyjaciółmi.

Bronisław Drzepecki urodził się w 1906 roku w miasteczku Felestyn (obecnie Krasnogwardzijsk) koło Płoskirowa na Podolu.

W 1922 roku Bronisław przekroczył nielegalnie rzekę Zbrucz i w ten sposób przybył do Polski, gdzie opiekował się Nis Biskup Kamieniecki Piotr Mankowski. W radzieckim języku urzędowym nazywa się to, że Drzepecki po raz pierwszy zaradził swoją radziecką ojczyznę.

Pod suspicją Biskupa Mankowskiego Bronisław uzupełnił naukę gimnazjalną w Buczaczu, a następnie studiował w Seminarium Duchownym w Lucku. Od razu się wybił swoimi nieprzeciętnymi zdolnościami, szczególnie w kierunku filozoficznym. W 1930 roku Bronisław Drzepecki otrzymał święcenia kapłańskie we Włodzimierzu Wołyńskim z rąk Księdza Biskupa Piotra Mankowskiego.

Pierwsze trzy lata swego kapłaństwa ksiądz Bronisław pracował u boku swego Biskupa i Opiekuna Piotra Mankowskiego i Jego

Wikariusza generalnego Infużata Kazimierza Nosalewskiego we Włodzimierzu Wołyńskim.

W latach 1933-37 Ksiądz Bronisław odbył gruntowne studia teologiczne na Dominikańskim Uniwersytecie Angelicum w Rzymie, uwieńczone doktoratem teologii na podstawie rozprawy o widzeniu uszczęśliwiającym (de visione beatifica) w niebie.

W latach 1937-39 ks. dr Drzepecki pracował na stanowisku wicerektora i profesora teologii dogmatycznej w Seminarium Duchownym w Łucku.

Po wybuchu wojny Ksiądz Bronisław objął probostwo we wsi Huta Stepańska na Polesiu Wołyńskim, z której wyjechał wraz z parafianami podczas pogromów banderowskich latem 1943 roku.

Następnie Ksiądz Bronisław był przez niecały rok proboszczem w Kowlu, skąd w czasie działań wojennych został przez Niemców ewakuowany wraz z całą ludnością do Iablina.

Po wyzwoleniu lubelszczyzny latem 1944 roku Ksiądz Bronisław wrócił do Wołynia i zgłosił się do dyspozycji Księdza Biskupa Szelażka w Łucku. Ze wszystkich kapłanów diecezji łuckiej, którzy wyjechali na Zachód, powrócił na Wołyń jeden tylko Ksiądz Bronisław.

Ksiądz Biskup Szelażek posłał księdza Kanonika Doktora Bronisława Drzepeckiego do Hytomierza na stanowisko administratora diecezji Hytomierskiej. Krótką lecz owocną była Jego praca w Hytomierzu, przerwana aresztowaniem Go w styczniu 1945 roku. Dalejsze dzieje Księdza Bronisława są już nam mniej więcej znane. Jego uwięzienie trwało równo 10 lat, potem 3 lata (1955 - styczeń - 1959) pracy duszpasterskiej w Kazachetania. I znowu 5 lat więzienia. Po uwolnieniu Ksiądz Bronisław próbował bezskutecznie - wskutek oporu władz miejscowych - pracować w Kazachetania, aż

wreszcie zdecydował się objąć probostwo w Starogrodzie na Podolu. Na tej bardzo ważnej i pracowitej placówce duszpasterkiej Ks. Bronisław pracuje mimo bardzo słabego zdrowia od początku 1966 roku po dziś dzień. *Wmaw 8/12/1973*

Józef Kuczyński urodził się w 1904 roku we wsi Buczki, położonej między Hytomierzem a Korodzeniem (7) na Polesiu Wołyńskim. W roku 1924, po ukończeniu Seminarium nauczycielskiego w Hytomierzu Józef przekroczył nielegalnie granicę polsko-radziecką: czyli "po raz pierwszy zdradził swoją radziecką ojczyznę". Od razu po przekroczeniu granicy Józef zgłosił się do Seminarium Duchownego w Łucku. Tam wśród kleryków było więcej takich łobuziów ze Związku Radzieckiego. Zwano ich wszystkich bolszewikami.

Znany ze swej dobroci i łagodności wiceprektor Seminarium Ksiądz Prałat Adam Bótkiewski nie mówił inaczej do Józefa, jak tylko: "mój kochany bolszewiczku":

Podobnie jak Bronisław tak i Józef odznaczył się w seminarium zdolnościami w nauce, a także zaangażowaniem do pracy społecznej.

W 1930 roku Józef otrzymał święcenia kapłańskie w Łucku z rąk Księdza Biskupa Sufregana Stefana Walczykiewicza.

W latach 1930-35 Ksiądz Józef pracował jako prefekt szkół powszechnych w Łucku, zyskując sobie wielką popularność wśród młodzieży szkolnej i jej rodziców. Równocześnie Ksiądz Józef brał czynny udział w ruchu harcerskim i osiągnął w nim wysoki stopień harcmistrza.

W latach 1935-37 Ksiądz Józef studiował nauki społeczne w Instytucie Katolickim w Paryżu i zdobył doktorat nauk społecznych.

nych na podstawie rozprawy o ruchu organizacyjnym młodzieży wiejskiej w ówczesnej międzywojennej Polsce.

W latach 1937-39 Ks. dr Józef Kuczyński kierował Akcją Katolicką Młodzieży Męskiej i żeńskiej w diecezji Łuckiej i równocześnie był kapłanem wołyńskiej chorągwi harcerskiej.

W latach wojennych Ksiądz Józef był proboszczem w Szumbarze, a potem także i w Dederkałach w powiecie krzemienieckim. W Dederkałach podczas pogromów banderowskich Ksiądz Józef wraz ze swoimi parafianami schronił się w kościele i w przyległym byłym klasztorze, gdzie przetrzymali formalne obłężenie, szczęśliwie zakończone wskutek nadejścia wojsk radzieckich.

W 1944 roku Ksiądz Józef rozpoczyna pracę misjonarską na Ukrainie Radzieckiej. Via Krasylów na Podolu, Kijów, Charków i Dniepropietrowsk, dociera do Dnieprodzierżyńska, gdzie go aresztowano w styczniu 1945 roku.

Po dziesięcioletnim więzieniu Ksiądz Józef pracował w Kazachstanie przez 2 i pół lata, za co otrzymał 7 lat więzienia. W styczniu 1966 roku, na drugi miesiąc po uwolnieniu, Ksiądz Józef został proboszczem w historycznym Barze na Podolu. Mimo nękającej go bezsenności pracuje tam bardzo intensywnie i owocnie.

Eucymia pod Barzem

Ksiądz, obecnie już Prałat dr Józef Kuczyński godnie dzierży rekord światowy wśród wszystkich księży katolickich na całym świecie. Jest to rekord uwięzienia. Wynosi on 17 lat!

Ksiądz, obecnie także już prałat dr Bronisław Drzepecki jest wicemistrzem światowym. Ma on za sobą 15 lat uwięzienia. Ja znajduję się na dalszym miejscu. Mimo trzykrotnego uwięzienia zdołałem nazbierać "zaledwie" tylko 13 lat 5 miesięcy i dziesięć dni.

- - - - -

"Związek Radziecki kroczy na czele światowego postępu" - takie i podobne hasła można bardzo często usłyszeć lub przeczytać w Związku Radzieckim. Czy tak jest rzeczywiście? W pewnym znaczeniu tak! Czy to się komu podoba czy też nie, Związek Radziecki jest pierwszym na świecie państwem nowego typu socjalistycznego. Rosja pierwsza zlikwidowała u siebie i w krajach sobie podległych władzę, raczej wszechwładzę, kapitalistów i obszarników.

Czy Państwo socjalistyczne jest bardziej postępowe niż państwo kapitalistyczne? Nie będziemy tu o tym dyskutować. W każdym razie państwo socjalistyczne wyłania się z państwa kapitalistycznego, a nie na odwrót.

Jeśli mogę potwierdzić, że (w pewnym znaczeniu) Związek Radziecki kroczy na czele światowego postępu, to nie znaczy, bym się zgadzał ze zdaniem, że Związek Radziecki jest na całym świecie najkulturalniejszy, o najwyższej technice, nauce, literaturze itd., jak powiada Melchior Wańkowicz. Tak nie jest, choć przyznać trzeba, że technika, sport i niektóre, lecz bynajmniej nie wszystkie nauki, stoją w Związku Radzieckim na wysokim poziomie. Jestem daleki od tego: "naj, naj", bo ono fałszuje rzeczywistość. Ale również daleki jestem od "bij - zabij" przeciwko Związkowi Radzieckiemu i wszystkiemu co radzieckie, bo takie stanowisko nie mniej fałszuje rzeczywistość, a pod pewnym względem jest jeszcze szkodliwsze w swych skutkach.

Kto czyta te słowa o Związku Radzieckim napisane przez człowieka, który tak jak ja 13 lat przesiedział w więzieniu, ten nawet podświadomie oczekuje jakiegoś wylęwu rozgoryczenia. A jeśli go nie znajduje, to rodzi się podejrzenie, że ten człowiek pisze nie to co myśli, lecz co mu kazano mówić lub pisać.

Ja piszę do moich Przyjaciół. Wiem, że mi ufaicie. Więc czytacie dalej o tym, co ja sam w tej sprawie myślę.

Ogromna większość byłych więźniów, zwłaszcza długoletnich, zachowuje pewien resentyment czy nawet uraz psychiczny. Ludzie ci, jeśli wypowiadają się szczerze, nie są zdolni do sądu bezstronnego. Kto jednak przeswyciężył w sobie resentyment, ten jest zdolny do sądu bezstronnego, i to w stopniu najwyższym, właśnie dlatego, że poznał rzeczywistość wszechstronnie - także i od podszewki. Zdaje mi się, że ja jestem w tym szczęśliwym położeniu, i spróbuję je wykorzystać w dalszych wywodach.

Zilustruję moją myśl na jednym przykładzie z moich przeżyć obozowych. Właśnie dlatego, że jest to przykład szczególnie dramatyczny.

Było to zimą 1947 na 48 rok. Byłem wtedy w wielkim obozie w Uralskich górach, znajdującym się w miasteczku Bakuł obwodu Czelabińskiego. W tym obozie było kilka tysięcy więźniów, w czym znaczna część, bodaj że bliżko połowa, kulików, czyli mówiąc po polsku: rzeźmieszków.

Mieszkałiśmy w dużych barakach w warunkach bardzo prymitywnych. Na noc drzwi (jedyne istniejące) do każdego baraku były otwarte, a przed barakiem stały słynne "Parasze" czyli kubły. Surowo się zabraniało przechodzić z baraku do baraku. Przez całą noc kursowały po obozie patrole. Każdy złożony z 2 podoficerów wojsk NKWD, czyli tzw. popularnie "czakistów". Jeśli taki patrol złapał w nocy niefortunnego spacerowicza, to natychmiast odprowadzał go do karceru, gdzie trzeba było spędzić co najmniej 3 doby. Była to - szczególnie zimą - średnia przyjemność. Karcer był chłodny, nieopalony, nie pozwalali brać palta do karceru, a jeśli dawali tylko chleb, pić zaś tylko zimną wodę, przy tym codziennie

wyprowadzali z karceru na robotę. Nic dziwnego, że niejeden powędrował prosto z karceru do szpitala obozowego.

Śliczy to element niespokojny i takie represje wobec nich były niejednokrotnie aż nadto uzasadnione. Ale do owych nocnych spacerowiczów - co prawda tylko zimą, nigdy latem - należał oprócz żalików także i jedyny duszpasterz obozowy w mojej osobie. W tym obozie było oprócz mnie dwóch księży prawosławnych, ale ani jednego więcej katolickiego.

Chodziło o spowiedź. Latem nie było z tym żadnego kłopotu, ale zimą można to było zrobić tylko w nocy gdy wszyscy spali.

Wiele razy te nocne spacery udawały się wysmienicie. Aż wreszcie pewnego razu ...

Przez kilka nocy przygotowywałem do pierwszej spowiedzi jednego naszego rodaka pochodzącego z okolic Kamieńca Podolskiego, którego imię było Bolesław. Był to bardzo miły i niegłupi człowiek w wieku około 25-ciu lat. Mieszkał on w znacznie lepszym baraku niż ja, bo nie był zwyczajnym robotnikiem, tylko tzw. dziesiętnikiem przy robotach budowlanych. Umówiliśmy się, że wykorzystamy ten lepszy barak dla naszego pobożnego celu.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Po kilku nocach przygotowawczych Bolesław bardzo ładnie się wyspowiadał z całego życia. Po spowiedzi jeszcze pogawędziliśmy przyjaźnie przez dłuższą chwilę. Było już dobrze po północy, kiedy wracałem do swojego baraku, który znajdował się na drugim krańcu obozu.

Wtem błysk ręcznej lampki elektrycznej i głos: "Stój, kto idiot"? Natknąłem się na patrol. Ja znałem tych podoficerów, a oni znali mnie jako "papa".

Dalej potoczyło się wszystko bardzo szybko.

2
Pierwszy podoficer: "Am oto pop!" - "Czegoś ty popie wkończysz się po nocy po obozie"?

Pierwszy oficer podchodzi do mnie, uderza mnie w prawy policzek aż zapiekło i mówi: "Nu prowaliwaj"! - "wynoś się"!

Nie nadstawiałem zgodnie z Ewangelią lewego policzka, tylko wróciłem do swojego baraku bardzo zły i wzburzony.

Gdyby nie troska o Bolesława - wysłałem sobie - zaraz poskarżyłbym się na tego sierżanta naczelnikowi obozu. Niech mnie sądzą do karceru, ale jakie on ma prawo tak mnie znieważać?

Po kilku minutach przyszła refleksja. Właściwie to patrol miał obowiązek natychmiast wpakować mnie do karceru. Tymczasem oboj podoficerowie poprzestali na wymierzeniu mi doraźnej kary. Z ich strony był to swego rodzaju humanitaryzm, złośliwie mówiąc: "radziecki humanitaryzm" - lecz niewątpliwy.

Oczywiście, ten incydent można by wykorzystać dla antyradzieckiej propagandy. Można by mówić o tym, jak to bohaterki kapitan katolicki z nadludzkim poświęceniem spełniał swe obowiązki - jak został pojmany, rozpoznany i spoliczkowany przez brutalnego żołdaka, jak nawet nie miał możliwości poskarżyć się, dochodzić sprawiedliwości.

Tak, ale czy taka propaganda byłaby z mej strony uczciwą? Czy nie doznałem wówczas pewnego rodzaju miłosierdzia i sympatii? Czy ten policzek nie tylko, że nie był zniewagą zamierzoną, a raczej w owych warunkach czynem w rodzaju "protekcjonalnego poklepania po ramieniu"? Czy byłoby uczciwym przedstawiać jako katów ludzi, którzy - mimo wszystko - okazali mi dobre serce?

Tak - powie nam na to sympatyk "Wolnej Europy" - mniejsza z tymi dwoma sierżantami, nie nie znaczącymi pionkami, ale ten incydent jest jednak oskarżeniem całego systemu.

Po części chyba tak, ale tylko po części. Nie mam teraz czasu na to, by kusić się o wyczerpującą charakterystykę radzieckie-

go więziennictwa, choć mam osobiste długoletnie doświadczenia i obserwację nad nim. Przede wszystkim nie zawsze było jednako. Podczas mojego trzeciego uwięzienia było bez porównania lepiej niż podczas pierwszego i drugiego, zwłaszcza w pierwszych jego latach. Bardzo uciążliwym był system trzymania w jednej celi więziennej lub w jednym obozie spokojnych ludzi razem z zuli-kami, którzy ich okradali, nieraz znęcali się nad nimi, a w dodatku aż do 1948 roku, często byli uprzywilejowanymi przez administrację obozową lub więzienną. Wiele krwi poszło więźniami rozpowszechnianiem po obozach systemu donosicielskiego.

W pierwszych latach po wojnie było bardzo słabo z wyżywieniem i z umundurowaniem, ale należy uwzględnić i to, że wtedy była ogólna bieda i zniszczenie. W latach wojennych było z wyżywieniem po obozach jeszcze gorzej, ale ja o tym wiem tylko ze słyszenia, bo sam wtedy jeszcze nie byłem w obozie. Słyszałem również, że przy końcu wojny i zaraz po wojnie bito podczas śledztwa, szczególnie naszych Akowców i uczestników różnych antyradzieckich partyzantek: ukraińskiej, litewskiej, łotewskiej i białoruskiej. Natomiast księży przy śledztwie nie bito. Słyszałem tylko o pobiciu jednego księdza przy śledztwie. Był on przedtem kapłanem wojskowym i traktowano go jako oficera A.K., a nie jako księdza. Za moich czasów nikogo nie bito w obozach ze strony władz obozowych. Jedyne wypadek kiedy przedstawiciel władzy obozowej mnie uderzył - to był ów "miłosierny" policzek, który już szczegółowo rozważyliśmy.

Parę razy byłem jeszcze nie tyle bity, co raczej mocno popchnięty przez współwięźniów zulików i ja sam z własnej inicjatywy z całą energią przyłożyłem rękę do jednego z zulików, który się znęcał nad pewnym starszakiem.

Podczas trzeciego uwięzienia nie słyszałem już ani jednego wypadku, by kogokolwiek bito przy śledztwie.

No, ale jakże traktowano księży? Na ogół biorąc jednak nie-
co lepiej niż przeciętnie innych więźniów. Nie bito ich wcale, a
wymyślano im mniej niż innym; tylko pod jednym względem było księ-
zom gorzej niż niektórym innym współwięźniom. Nie używano księ-
ży do lżejszych i czystszych robót, np. biurowych. Musiali oni pra-
cować tak jak wszyscy ludzie, z wyjątkiem nielicznych uprzywile-
jowanych, do których nie dopuszczano księży przez dłuższy czas.
Dopiero po śmierci Stalina i pod tym względem nastąpiła dla księ-
ży zmiana na lepsze, w niewielkim stopniu.

Zresztą, czy można żądać by państwo komunistyczne ekezywało
księżom jakieś szczególne względy tak podczas uwięzienia jak i
na wolności? Nie należy żądać zbyt wiele! W Związku Radzieckim
głosi się ideał państwa ateistycznego, którego obywatele wszyscy
bez wyjątku będą przekonanymi ateistami, całkowicie oswobodzony-
mi od tzw. "religijnych zabobonów".

Ja sam jestem obywatelem radzieckim. Całkiem dobrowolnie
przyjąłem obywatelstwo radzieckie, a jak to się stało, o tym o-
powiem w drugiej części niniejszego pisma. Dobrze sobie zdawałem
sprawę i zdaję z tego, że moja praca duszpasteraka może być w
najlepszym razie tolerowaną, lecz w żadnym razie nie popierana
przez władze państwowe.

Oczywiście, wszyscy ludzie wierzący, a jest ich w Związku
radzieckim bardzo wielu, są zainteresowani w tym, by polityka
władz państwowych była tolerancyjna. Otóż właśnie pod tym wzglę-
dem wywiera szkodliwy wpływ jednostronna propaganda antyradzie-
cka, zwłaszcza na temat prześladowania religii, wiary, Kościoła
i duchowieństwa.

Trzeba sobie zdawać sprawę z dwóch rzeczy:

- 1) Po śmierci Stalina w Związku Radzieckim dokonano bardzo wielkiej, choć oczywiście względnej liberalizacji całego systemu,
- 2) W społeczeństwie rosyjskim zawsze były i są silne tradycje i tendencje absolutystyczne.

Rosja to nie Polska. U nas gdy Mieszko Stary próbował rządów silnej ręki, to go wypędzono z Krakowa. Gdy później Jan Kazimierz z Marią Ludwiką próbowali zaszczerpić w Polsce "absolutum dominium" na wzór francuski, to zakończyło się abdykacją samego Jana Kazimierza. W Rosji wręcz jaskrawymi i absolutystami czystej krwi byli najznakomitsi monarchowie: Iwan Groźny, Piotr Wielki, Mikołaj I., a ostatnie Józef Dżungeszwilli - Stalin. Natomiast Lenin nie był zwolennikiem absolutyzmu ani w teorii ani w praktyce. Zorganizowana przez niego dyktatura proletariatu nie jest równoczesna z absolutną władzą jednego człowieka. Nie trzeba zresztą zapominać o równoczesnym występowaniu w historii Rosji tradycji tzw. "sobornosti", poczynając od historii wielkiego Nowogrodu.

Tak czy inaczej, w Rosji wszelka liberyzacja może się bardzo łatwo zakończyć odwrotem nawet od bardzo względnej liberalizmu do absolutyzmu władzy państwowej lub - jak teraz - partyjnej.

I jeszcze jedno trzeba uwzględnić. W Związku Radzieckim istnieje bardzo wielka - ryzykowałbym nawet twierdzenie, że przesadna wrażliwość na opinię zagranicy. Pod tym względem w Rosji zdaje się, że niewiele się zmieniło od czasów Mikołaja I-go. Czytałem, że ten car, przed którym drżała cała Europa, omal, że nie płakał, kiedy się dowiedział, że pewien francuski literat - nie pamiętam już jego nazwiska - napisał o nim po odwiedzeniu

Rosji, że ma on wielki brzuch, który umożliwia bezkarnie ukryć pod przesadnie obcisłym mundurem.

Obecny rząd ma w Związku Radzieckim opinię względnie liberalnego. Przesadna krytyka osłabia taką opinię, i wzmacnia tendencje absolutystyczne. Nie chodzi o to by chwalić. To mogło by nieraz zakrawać na ironię. Umiarkowana krytyka nie pozbawiona pewnej nuty życzliwości, bodaj najlepiej służy utrwaleniu tendencji liberalnych, a w związku z tym i wzmocnieniu tolerancyjności w sprawach religijnych.

A co do tendencji absolutystycznych, też nie należy przesadzać w obawie przed nimi. Czy wiecie, kiedy ja najlepiej poczułem swoją siłę wobec absolutystycznych zapędów pewnego kacyka? Było to jeszcze w 1940 roku podczas mojego pierwszego wędzienia. Jeden z moich sędziów śledczych był niewątpliwie mało inteligentny, a przy tym chamowaty. Był to zresztą jedyny sędzia śledczy, któremu mógłbym wystawić tak mało pochlebną cenzurę. Wszyscy inni byli znacznie mądrzejsi i kulturalniejsi od niego.

Otóż ów sędzia śledczy nawet nie umiał prowadzić śledztwa i raz po raz zapędzał je w ślepy zaułek. Choć ja mu powiedziałem wszystko co można było odpowiedzieć na to lub inne jego pytanie, on żądał, bym powiedział jeszcze więcej, a rzeczywiście nie było nic więcej do powiedzenia czy do ukrycia przed nim. Raz po raz on mi mówił: "nadumajcieś" - "namyślcie się", sam czytał gazetę, a ja siedziałem w kącie pokoju na taborecie i zamiast "nadumywać się" oichutko na palcach odmawiałem różaniec. Tak było przez dobrych parę dni, aż wreszcie mój pan sędzia śledczy coś zauważył. Wsunął głowę spod gazety i zapytał się: "A co wy tam robicie?" Ja: "Modlę się do Boga". On (zrywa się z miejsca i wrzeszczy na całe gardło): "Tutaj zabrania się modlić do Boga". Ja: "Niech się

pan uspokoi. W przyszłości będę się tak modlić, żeby pan tego nie zauważył".

Przenoc ma także swoje granice. Ktoż może mi zabronić się modlić? Co najwyżej może się tylko sam ośmiążyć. Modlić się można naprawdę zawsze i wszędzie, byle tylko było dobra wola ku temu. Ciało można zamknąć i nawet całymi latami trzymać w pojedynczej celi więziennej, lecz nie uwięzi się ducha, który i stamtąd znajduje drogę wprost do Boga!

Prześladowanie wiary nie jest największym niebezpieczeństwem. Jest nim także odseparowanie dzieci i młodzieży, by one nigdy nie miały możności poznać Boga. Wprawdzie łaska Boża niepojętymi dla nas ludzi drogami dociera i do takich jednostek, tym niemniej sam Syn Boży Jezus Chrystus woła do nas: **NI** "Zniwo wielkie-robotników mało. Proście tedy Pana zniwa, aby posłał robotników na zniwo swoje".

C z ę ę 6 II

Do moich Przyjaciół Świeckich

Łączą mnie z wami więzy krwi, - przyjaźni, - idei.

Więzy krwi: Jest moim gorącym pragnieniem, by te słowa zechcieli przeczytać wszyscy moi krewni. Może nie wszyscy są zainteresowani problematyką wschodnią, ale wszyscy interesujecie się moją osobą, a może przez tę lekturę choć troszkę się u Was pogłębi i jedno i drugie.

Więzy przyjaźni: Przyjaźni nie byle jakiej, bo długoletniej, wypróbowanej całym życiem. Tą drogą opracowuję część pisma z myślą przede wszystkim o Przyjaciółkach z naszego Koła.

Znam tylko jedną organizację, która w tym stopniu stworzyła warunki dla przyjaźni na całe życie. Jest nią założona przez Wincentego Lutosławskiego organizacja Elsów. Wasza przyjaźń Kołowa nie ustępuje chyba przyjaźni Elsów. Wiem dobrze, co interesuje naszych Kołowiczów i będę się starał to właśnie choć pokrótce omówić. Ale i moi Przyjaciele spoza KOŁA znajdą w tym piśmie coś więcej niż same tylko momenty osobiste. I to tak świeccy jak i duchowni, do których bezpośrednio będzie jeszcze skierowana trzecia i ostatnia część tego pisma.

Więzy idei: Oczywiście, że najgłębsze są więzy wiary religijnej. Jednak są i inne elementy ideowe, najczęściej zresztą u nas natchnione chrystianizmem. Prawdopodobnie ogromna większość Czytelników będzie bliska obliczu ideowemu autora tych słów. Gdyby jednak to czytał mój przeciwnik ideowy, pragnąłbym tylko jed-

nego, uznania, że jestem przeciwnikiem uczołwym. Tym, którzy tę sprawę głębiej rozumieją, dodam, że dla mnie Chrystusowe przykazanie miłości nieprzyjaciół nie jest jakąś piękną utopią, lecz czymś w najwyższym stopniu realnym i życiowym.

Bywają w życiu momenty przełomowe. Przeszłość kończy się bezpowrotnie, wkracza przyszłość całkiem nowa. Często uświadamiamy sobie tę przeszłość nie od razu, lecz znacznie później.

W moim życiu były dwa momenty przełomowe, od razu najzupełniej uświadomione. Jeden zdarzył się w styczniu 1945 roku, a drugi o 10 lat później w czerwcu 1955 roku. Pierwszy się zdarzył niezależnie od mojej woli, drugi z całkowitym jej udziałem, ale oba przełomowe i oba od razu w pełni przeze mnie uświadomione.

Dnia 22 stycznia 1945 roku wyjeżdżaliśmy z Łucka we trójkę: Ksiądz Biskup Adolf Piotr Szeląg, Ksiądz Kanonik Karol Gałęzowski i ja. Było to po naszym aresztowaniu, które nastąpiło w nocy z 3 na 4 stycznia tegoż roku. 18 dni trwało wstępne śledztwo i właśnie 22 stycznia wywołano nas na dalsze właściwe śledztwo z Łucka do Kijowa via Kowel. Z Łucka do Kowla mieliśmy jechać samochodem ciężarowym, a dalej z Kowla do Kijowa pociągiem. Jasną jest rzeczą, że jechaliśmy cały czas pod konwojem. Ksiądz Biskup otrzymał w samochodzie najlepsze miejsce koło szofera, a myśmy z Księdzem Gałęzowskim siedzieli na tobołkach wprost na platformie ciężarowego samochodu. Był przepiękny słoneczny z lekką mroźny dzień zimowy. Posadzono nas na platformie w ten sposób, że siedzieliśmy tyłem do szofera.

Wyjeżdżamy z Łucka. Przejechaliśmy most na Styrcie. Jedziemy przez przedmieście zwane Krasnem, gdzie jeszcze przed kilkoma miesiącami było nasze Łuckie seminarium duchowne. Siedząc w samochodzie oglądamy panoramę miasta Łucka. Stąd, z Krasnego - miał

ją oglądać i zachwycać się nią goszczący w Łucku u Witolda cesarz Zygmunt Luksenburczyk w 1429 roku, skąd ma się wywodzić sama nazwa Krasne. Nad miastem góruje kopuła naszej katedry. W promieniach słońca lśni pięknie złotawym blaskiem. Stopniowo znikają z oczu zabudowania miasta, lecz wciąż jest widoczna kopuła katedry. Wreszcie znika i ona ...

Patrząc z samochodu więziennego na stopniowo znikający z oczu Łuck wraz z kopułą naszej katedry, jasno pojąłem, że Łuck to jest przeszłość niepowrotnie miniona w moim życiu, a i w dziejach Polski współczesnej. Co przyniesie przyszłość? Coś całkiem nowego.

Teraz jedziesz do Kijowa, a potem zapewne jeszcze o wiele dalej na wschód. Tam na wschodzie jest moja przyszłość życiowa z woli Opatrzności Bożej. Obym godnie wypełnił tę wolę opatrznościową!

W czerwcu 1955 roku moje warunki życiowe były już całkiem inne niż w styczniu 1945 roku. Od 10 miesięcy mieszkałem na wolności w Karagandzie. Zostałem tam administracyjnie zesłany po ukończeniu 10-letniego uwięzienia, które trwało dokładnie 9 lat, 7 miesięcy i sześć dni, bo policzono mi prawie pięć miesięcy za dobrą robotę, choć - prawdę mówiąc - prawie nigdy nie poczuwałem się do tego, bym był dobrym robotnikiem. Opatrzność Boża działa nieraz i przez ateistów, którzy zesłali mnie tam, gdzie ksiądz szczególnie potrzebny. Już w kilka dni po zesłaniu do Karagandy w sierpniu 1954 roku wiedziałem, że czeka mnie tam niezmiernie wielka praca duszpasterska. Zesłanie, podobnie jak i obozowiec, ma ścisły obowiązek pracować dla rządu. Wziąłem taką pracę, która dawała mi stosunkowo dużo wolnego czasu na pracę duszpasterską. Pracowałem co drugą noc jako stróż nocny na obiektach budowlanych.

Pracy kapłaniskiej, oczywiście po domach prywatnych, było zresztą tak wiele, jak nigdy przedtem i potem w życiu. Ogromna większość spowiedzi była generalnych z całego życia.

Jako zesłaniec miałem obowiązek co miesiąc meldować się w komendanturze, bez pozwolenia której nie miałem prawa wyjeżdżać z Karagandy. Komendantem był starszy lejtnant Kazach. Przy comiesięcznym meldunku wypytywał się on dokładnie każdego zesłańca o warunki jego życia i pracy. Była to obowiązkowa spowiedź miesięczna, jak dowcipnie mawiał wśród licznych jeszcze wtedy zesłańców - Polaków.

Przy owym meldunku po trzech czy czterech miesiącach, gdy - jak zwykle - "wyspowiadałem się" z tego gdzie mieszkam i pracuję, pan komendant nagle rzekł: "wszystko to dobrze, ale powiedzcie jeszcze jak wam idzie wasza praca duszpasterska"? Już skądś się o niej dowiedział. - "Dziękuję Panu - odparłem z miejsca - także i praca pasterska idzie mi nieźle". Odtąd przy meldunku głównym przedmiotem "miesięcznej spowiedzi" była owa - tak stała przez Komendanta nazywana - praca pasterska. Muszę jednak przyznać, że ów Kazach był raczej dobroduszny i nie stawiał zbyt niedyskretnych pytań.

Zesłańcy polscy doczekiwali wtedy na repatriację do Polski, jednak długie miesiące bezskutecznie. Aż wreszcie w czerwcu 1955 roku (którego to było czerwca, już nie pamiętam) gruchnęła upragniona wieść: "Dzisiaj zapisują na repatriację"! Kto żyw szedł co prędzej do komendantury.

Ja nie miałem powodu się śpieszyć i pozedłem dopiero wieczorem tego dnia. Komendant nawet mnie nie "spowiedał", tylko zapisał meldunek i natychmiast odesłał do kapitana - prawdopodobnie Rosjanina - który przyjmował zapisy na repatriację.

Między mną a owym kapitanem odbyła się następująca rozmowa: Kapitan po sprawdzeniu moich personaliów danych - "Obywatelu Bukowiński, proponujemy wam repatriację do Polskiej Republiki Ludowej". Ja: "Witam z radością decyzję Rządu Radzieckiego o repatriacji Polaków, na którą oczekiwało tysiące moich rodaków, lecz ja sam osobiście pragnę pozostać w Związku Radzieckim". Kapitan: "A i Was także przysługuje prawo pozostania w Związku Radzieckim".

W tym momencie zobaczyłem u kapitana na biurku 2 spisy: jeden bardzo długi zgłaszających się do repatriacji a drugi całkiem krótki zgłaszających się do pozostania w Związku Radzieckim. Ten drugi był rzeczywiście całkiem krótki - jak to dokładnie opstrzegłem - moje nazwisko było trzecie w tym spisie ... Wtedy już definitywnie stałem się obywatelem Związku Radzieckiego.

Tak prosto i zwyczajnie dokonał się ów drugi moment przełomowy w moim życiu. Tym razem ja sam dobrowolnie pokierowałem swym życiem, doskonale zdając sobie sprawę z konsekwencji swojej własnej decyzji.

Jedną z konsekwencji tej decyzji poniosłem 3 lata później, kiedy to 3 grudnia 1958 roku zostałem aresztowany po raz trzeci ^{my} w życiu, a 25 lutego 1959 roku sądzony po raz pierwszy w życiu, gdyż przy pierwszych dwóch aresztowaniach wyroki były administracyjne a ^{nie} sądowe.

Do owego jedynego w moim życiu sądu wrócić jeszcze w trzeciej części tego pisma. Teraz omówimy tylko jeden epizod sądu, który mi się wydaje bardzo charakterystyczny.

Sądziło mnie kolegium sądowe obwodowego sądu w Karagandzie. Główny sędzia zrobił na mnie wrażenie bardzo pozytywne. Najprawdopodobniej był to prawnik, człowiek rzeczowy i taktowny. Obok niego dwoje asesorów. Assesorka wyglądająca na nauczycielkę jaw-

nie mi sprzyjała. Natomiast asesor pozostawił wrażenie człowieka mało inteligentnego i bardzo nie lubiącego "popów". O ile główny sędzia i assessorka rozmawiali ze mną grzeczniej i dość swobodnie, o tyle asesor milczał naburmuszony i odezwał się tylko jeden raz, a było to tak:

Główny sędzia zapytał się, dlaczego ja nie skorzystałem z repatriacji i pozostałem w Związku Radzieckim? Odpowiedziałem, że nożyłem to ze względów ideowych, dla pracy duszpasterkiej wśród tak bardzo jej potrzebujących, a nie mających swoich kapłanów, wierzących katolików Związku Radzieckiego.

Tu moja odpowiedź najwidoczniej wyprowadziła z równowagi pana asesora. Otworzył on usta swoje i rzekł:

"Co wy nam gadacie o jakichś względach ideowych? Jasną jest rzeczą, że wy zostaliście w Związku Radzieckim tylko ze względów materialnych. Wyście sobie obliczyli, że za wasze "treby" (chrzty, śluby, pogrzeby, czyli jura stolas) wy uzyskacie większy dochód w Związku Radzieckim, niż moglibyście uzyskać w Polskiej Republice Ludowej i dlatego zostaliście w Związku Radzieckim. A nam "nie puskajcie pył w głąza" (nie sypcie w oczy piasku).

Na tę filipikę odparłem stante pede: "Gdybys ja kierował się względami materialnymi, to byłbym - proszę mi darować estretowa - idiotą pozostając w Związku Radzieckim. W Polsce otrzymałbym kościół parafialny ze stałym dochodem, w nim legalnie spokojnie pracować, a w Związku Radzieckim muszę siedzieć na ławie oskarżonych".

Pan asesor zamilkł i więcej już do końca sądu nie otworzył ust swoich.

Są ludzie, którzy nie chcą uznać, że nawet pogardzony "pop" może się kierować w życiu względami ideowymi. Dalako jestem od

wyniosłego ponizania względów materialnych zwłaszcza w życiu ludzi rodzinnych. Ale - mówiąc stylem biblijnym - błada człowiekowi zapominającemu o słowach Zbawiciela: iż nie samym tylko chlebem żyje człowiek, ale wszelkim dobrem, które pochodzi z ust Bożych.

- - - - -

Tak więc spełniła się moja intencja z dnia 22 stycznia 1945 roku. Już długie lata mieszkam i pracuję na wschodzie, i to nie tylko w skali polskiej, ale nawet i w skali radzieckiej. Wszak we wschodniej azjatyckiej części Związku Radzieckiego leżą zarówno sama Karaganda, jak i wszystkie inne miejscowości, które odwiedziłem podczas moich podróży misyjnych. Praca duszpasterska tak w Karagandzie z bliższą okolicą jak i "na misjach" będzie głównym tematem trzeciej części tego pisma.

Just teraz przypomnę, że moje zesłanie administracyjne do Karagandy trwało tylko pierwsze niecałe dwa lata. Wtedy cała praca duszpasterska odbywała się tylko w Karagandzie i nie mogło być mowy o żadnych podróżach misyjnych.

W maju 1956 roku zostałem zwolniony z zesłania i otrzymanem paszport jako odąd już pełnoprawny obywatel Związku Radzieckiego, który może się swobodnie poruszać bez niczyjego zezwolenia po całym ogromnym terytorium tego państwa, byleby tylko miał paszport przy sobie.

Wkrótce zwolniłem się z pracy nocnego stróża w przedsiębiorstwie budowlanym i jeszcze w tym samym 1956 roku odbyłem 3 pierwsze, na razie niedalekie podróże misyjne, by w następnych latach 1957 i 1958 osiągnąć szczyt częstotliwości i zasięgu całego dotychczasowego mojego misjonarstwa.

Tak się złożyło, że żyję i pracuję na wschodzie, ale nie na historycznych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej. Terytorium Kresów Wschodnich wchodzi obecnie w skład 4 radzieckich republik związkowych: litewskiej, łotewskiej i ukraińskiej, nie licząc Białostoczczyzny i Smoleńszczyzny, należących do Polski, względnie do Federacji Rosyjskiej.

Pamiętamy wszyscy bardzo dobrze, jak wiele rozprawialiśmy w naszym Kole o unii Jagiellońskiej i o idei Jagiellońskiej. Powierzchnie rzecz biorąc mogło by się zdawać - że idea Jagiellońska jest dziś całkowicie dezaktualizowaną, na rzecz triumfującej idei piastowskiej. Nic błędniejszego od takiego postawienia sprawy. Idea Jagiellońska jest to pewien sposób, czy raczej pewien styl regulowania stosunków Polski i Polaków do najbliższych sąsiadów zwłaszcza od wschodu. Chodzi tu właśnie o Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Łotyszów, lecz nade wszystko i Rosjan. A ktoś zaprzeczy, że stosunki polako-rosyjskie są dziś boleśnie obłudne?

Moje obserwacje odnoszą się głównie do Rosjan, Litwinów i Ukraińców, więc ograniczę się tylko do nich, co mi już zechcą wybaczyć pominięci przede mną Białorusini i Łotysze. Zacznę od Rosjan.

Byłoby błędem stuprocentowym utożsamiać Związek Radziecki z Rosją, ale byłoby jeszcze o wiele większym błędem dopuszczać do pochloneńcia Rosji przez Związek Radziecki, nie dostrzegając specyfiki rosyjskiej poprzez pryzmat Związku Radzieckiego.

Pierwsza zasadnicza uwaga! Nie ma na świecie bardziej zabójczego dla stosunków polsko-rosyjskich jak niewola, a nawet daleko idąca zależność Polski od Rosji. No tak, ale jakże się odnosi współczesny Rosjanin, radziecki Rosjanin, do Polski i Polaków?

Nie może tu być jednoznacznej odpowiedzi. Trzeba najpierw odróżnić wśród Rosjan pokolenie stare, już odchodzące, od pokoleń młodszych. Wśród starych Rosjan są jeszcze widoczne reminiscencje długoletniego antagonizmu polako-rosyjskiego, nieuleczalnego, z czasów carskich. Odnoszą się oni do Polaków nieufnie, widząc w nas co najmniej potencjalnych wrogów Rosji.

W młodszym pokoleniu współczesnych Rosjan, a im ono jest młodsze, to tym więcej dominującą postawą jest obojętność. Sprzyja jej bardzo słaba znajomość historii wobec jednostronnie techniczno-matematycznego kierunku w radzieckim szkolnictwie. Jeżeli w dodatku taki młody Rosjanin nie ma bliższych znajomych wśród Polaków i Polek, to Polska i Polacy obchodzą go mniej więcej tyle co Australia i Australijczycy.

Nie znaczy to jednak, że ta dominująca postawa obojętności jest w młodym pokoleniu Rosjan postawą wyłączną i jedyną. Także i wśród młodych Rosjan spotykają się ludzie niechętni do Polaki i Polaków usposobieni. Tylko że źródło ich niechęci jest całkiem inne niż u starych Rosjan. Ci nam niechętni młodzi Rosjanie mówią o nas: "Polski wale pany, Polakije komunisty tieze saajje pany".

Ale jednak wśród młodych Rosjan są i tacy, a wcale nie nieliczni, którzy są do Polaki, do Polaków usposobieni przyjaźnie, a nawet bardzo przyjaźnie. Pociąga ich do nas przede wszystkim kultura towarzyska. Uważają, że Polacy to ludzie kulturalni i dobrze wychowani, z którymi warto się zaznajomić, a nawet przyjaźnić. Konsekwentnie ci nasi współcześni "przyjaciele Moskale", bardzo się interesują Polską, a zwłaszcza polską kulturą, i nieraz długie lata marzą o tym, by pojechać do Polaki.

Byłoby z naszej strony niewybaczalną głupotą, gdybyśmy tych prawdziwych przyjaciół Moskali nie dostrzegali, lekceważyli lub

- i co gorze - zrazali do siebie.

Powinnością w stosunkach z Rosjanami jak ognia wystrzegać się dwóch skrajności: 1) uniżoność i służalczość, która może wywołać tylko całkowitą zasłużoną pogardę, 2) wywyższenie się, zwłaszcza pod względem kulturalnym. Takie zdania jak np.: "My, Polacy, reprezentujemy najwyższą zachodnio-europejską kulturę, do poziomu której Rosji i Rosjanom daleko" doprowadzają każdego Rosjanina, zwłaszcza inteligenta, zależnie od jego temperamentu, do rozgoryczenia lub do wściekłości. Powie on lub pomyśli: "To my, Rosjanie, według was jesteście barbarzyńcami? A więc Puszkina, Tolstoj, Mendelejew czy Pawłow to barbarzyńcy?"

Przepiękny wzór taktu okazał w tej sprawie prezydent Italii Jan Gronchi, podczas wizyty w Moskwie. Mimochodem nadmienię, że prezydent Gronchi, poprzednio długoletni działacz katolickich związków zawodowych, reprezentował w pewnym znaczeniu także i katolicyzm, a wraz ze swą małżonką był na Mszy św. w kościele katolickim w Moskwie. Otoż prezydent Gronchi w mądrym i głęboko przemyślanym przemówieniu podkreślił, że przybywa z Rzymu - tego powszechnie uznanego ośrodka kultury europejskiej. Przybywa do Moskwy, którą można uważać za spadkobierczynię drugiego wielkiego ośrodka europejskiej kultury, jakim w swoim czasie było Bizancjum. Ta bliskość kulturalna (lecz dodam od siebie - nie tożsamość) niech - mówik dalej - opromieni wizytę prezydenta Italii w stolicy Rosji, a obecnie i całego Związku Radzieckiego. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, żebyśmy i my Polacy umieli tak mądrze i taktownie rozmawiać z Rosjanami - a zwłaszcza z tymi, którzy naprawdę szczerze uważają się za naszych przyjaciół.

Od Rosjan przechodzę od razu do Litwinów! Tu przede wszystkim nie należy zapominać, że wszyscy oni, zwłaszcza w starszym

pokoleniu mają wobec Polaki i Polaków pewien uraz psychiczny na tle Wilna. Musimy sobie jasno postawić alternatywę: albo cała Litwa albo jedno Wilno. Co jest ważniejsze? Czy dobre stosunki z całym narodem litewskim, czy posiadanie jednego miasta - Wilna? Sądzę - niech mi to wybaczą wszyscy rodowici Wilnianie - że dobre stosunki polako-litewskie są dla nas ważniejsze od samego tylko Wilna.

Leż na czym mają polegać te dobre stosunki polsko-litewskie, dla których mamy się wyrzec Wilna? Z jego jakże wielką i bogatą nie tylko litewską, ale i polską tradycją historyczną?

Czy tu chodzi o wznowienie unii Jagiellońskiej? Nie, bo to jest zupełnie nierealne. Współcześni Litwini nie marzą o wznowieniu unii Litwy z Polską, ani o pozostawieniu Litwy w Związku Radzieckim aż do końca świata. Ich politycznym ideałem jest koncepcja federacji bałtyckiej: litewsko-łotewsko-estońskiej, a może nawet i fińskiej.

W 1961 roku w obozie dla "religiozników" my Polacy Księża, to znaczy konkretnie Bronisław, Józef i ja, prowadziliśmy bardzo szczerą i interesującą rozmowę z litewskimi księżmi. Oni wyraźnie mówili - że nie chcą wznowienia unii Litwy z Polską nawet gdyby to było realnie możliwe, bo się jej obawiają. Ich zdaniem Rosjanie mogą fizycznie zniszczyć mały przecież i nieliczny naród litewski, ale nie zruyfikują go. Natomiast Polacy nie zniszczą fizycznie Litwinów, lecz spolszszą ich. Dość już, że Litwini w swoim czasie stracili całą swoją szlachtę, która uległa zupełnej polonizacji. Badał Litwin nie może dopuścić niebezpieczeństwa polonizacji całego narodu litewskiego, które zaistniałoby w wypadku wznowienia unii Litwy z Polską. Właśnie dlatego, że Polacy są bardzo mili i towarzyscy, stąd wynikałoby największe

niebezpieczeństwo dla samego istnienia narodu litewskiego w warunkach wznowionej unii obu narodów.

Choć ich ideałem jest federacja bałtycka, nie grożą Litwinom wynarodowieniem, a w żadnym wypadku nie unia Litwy z Polską, to jednak księża litewscy są zdania, że w przyszłości, gdy tylko ku temu zaistnieje możliwość, powinny się rozwinąć i pogłębić wzajemne stosunki na polu kościelnym, które właściwie mówiąc w skali międzynarodowej były dotąd prawie że żadne. Tylko jak długo te stosunki kościelne, łączność katolicka obu narodów, nie będą mieć warunków do ich urzeczywistnienia?

Współczesny naród ukraiński nie jest narodem jednolitym, jakim jest naród litewski, lecz jest narodem: wewnątrznie podzielonym i zróżnicowanym. Tu nie chodzi o takie różnice, jakie są w każdym narodzie - takie jak u nas między krakowiakami i góralami lub między ślązakiem i kaszubami czy mazurami. Odnosi się wrażenie, że naród ukraiński wciąż się jeszcze rodzi wśród niezłych mak porodowych.

Z grubsza mówiąc, odróżnia się obecnie wśród Ukraińców:

- 1) starych obywateli radzieckich, mieszkańców "Wielkiej Ukrainy";
- 2) tzw. "zapadników" pochodzących z zachodnich ("Zapadnych") obwodów obecnej Ukraińskiej Republiki Radzieckiej.

Wśród tych "zapadników" trzeba jeszcze odróżnić:

- a) Galicjan, a raczej Haliczan,
- b) Wołyńiaków,
- c) mieszkańców Zakarpacia.

Oprocz tego są jeszcze Ukraińcy na Bukowinie i Besarabii, ale o nich coś nie nie słyhać. Podział na Haliczan i Wołyńiaków ma swoje uzasadnienie jeszcze z czasów Księstw Halickiego i Włodzimir-

skiego, z których pierwsze obejmowało późniejszą Galicję, a drugie Wołyń.

Szczególnie charakterystycznym i znamionym jest podział Ukraińców starych obywateli radzieckich na świadomych Ukraińców i na tzw. chochołów. "Chochoł" to jest przezwisko Ukrainca, jak "Kacap" przezwisko Rosjanina. Rosjanin obraża się, jeśli go nazwają kacapem, a Ukrainiec, ale ten świadomy Ukrainiec, obraża się, jeśli go nazwają chochołem. Tymczasem chochoł sam o sobie powie: że on jest chochoł, a wcale nie mówi, że on jest Ukraińcem. Któż to jest ten zagadkowy chochoł? Jest to Ukrainiec, ale całkowicie zrzeszczony. Mówi on bardzo dobrze po ukraińsku, często niechętnie kaleczy język rosyjski, ale woli się nie przyznawać do tego, że jest Ukraińcem. Woli się sam nazywać i być nazywanym chochołem, a nie Ukraińcem. Takich chochołów są miliony. Nie ma ich wcale wśród "Zapadników". Rzecz znamionna, granica między Chochołami a świadomymi Ukraińcami przebiega mniej więcej po wschodniej granicy dawnej przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Chochoł stanowi typ bodaj że dominujący na wschód od owej granicy na Charkowszczyźnie, na Tumszczyźnie i w Donbasie. To nie znaczy, że tam nie ma naprawdę świadomych Ukraińców, ale raczej są oni tam zmajoryzowani przez Chochołów.

Cała przyszłość narodu ukraińskiego zależy od pytania, co w nim przeważa? Czy ukrainizacja Chochołów, czy też raczej chochoлизация Ukraińców?

Wobec tak wielkiego rozbieżności wewnętrznego w narodzie ukraińskim, trudno mówić o jakimś jednolitym stosunku Ukraińców do Polski i Polaków.

Najbardziej pozytywnie odnoszą się do nas Ukraińcy z Zakarpacia. Nie byli oni przedtem ani pod Polską ani pod Rosją. Całe

właski byli pod Węgrami, a w okresie międzywojennym należeli do Czechosłowacji. Nie ulegają oni wpływowi wojującego nacjonalizmu ukraińskiego i są głębiej od innych swych rodaków przesiąknięci kulturą zachodnią.

Na ogół dobrze odnoszą się do nas Wołyniacy i to pomimo tragicznych ekscesów przeciwko Polakom podczas drugiej wojny światowej. Przeciętny Wołyniak obecnie już starszego pokolenia dobrze wspomina rządy polskie na Wołyniu, które tam trwały za- ledwie tylko 19 lat (1920-39). W rozmowach ze mną już po wojnie wielu Wołyniaków podkreślało, jak im się dobrze żyło za Polaki, jak ich grzecznie traktował sam pan starosta powiatowy, chwali- li przeprowadzoną wówczas komasację gruntów. Zastrzeżenia mieli głównie wobec szkolnictwa, a zwłaszcza ubolewali nad tym, że w szkołach uczone dzieci czytad najpierw po polsku, a potem dopie- ro po ukraińsku. Takie rozmowy utwierdzały mnie w przekonaniu, że rządy polskie na Kresach nie były takie już głupie i okrutne, jak się to teraz mówi "pour le roi de Prusse".

O stosunku Haliczan do Polski i Polaków nie mogę niestety nic dobrego powiedzieć. Raczej stosunek ten wydaje się być jesz- cze bardziej niechętnym od stosunków Litwinów do nas. Jeżeli cho- dzi o inteligentów Haliczan, to niasało wśród nich jest chorych na swoistą megalomanię narodową. I u nas przed wojną były roje- nia o mocarstwowości. Ale Polska niepodległa już wtedy była, i w sbeć rozległych granicach, i sponad 30-milionową ludnością. Zapominaliśmy tylko o tym, że Polska była zbyt słabą pod względem eko- nomicznym, by mogła poważnie kusić się o mocarstwowość. Tymczasem niepodległej Ukrainy jeszcze nie ma. Oni sami nie chcą uznać i nie uznają Ukrainy Radzieckiej za niepodległą. Mają na swoich ple-

cach wielomilionowy garb całkowicie zruszczonych Chochołów. A jednak upajają się wizją mocarstwowej Ukrainy już nie od Bugu i Sanu, lecz od Inblina i Krakowa aż po góry Kaukazu. Na podstawie tej swojej - trzeba to przyznać - fantastycznej wizji o haliccy wizjonerzy patrzą się na nas Polaków lekceważąco z wysokości swego urojonego majestatu. Oczywiście, że przy takiej postawie nie da się zbudować jakichś lepszych stosunków polsko-ukraińskich w przyszłości.

O wiele poważniej traktują Polakę i Polaków Ukraińcy z Kijowszczyzny lub Półtawszczyzny, w ogóle z tak zwanej Wielkiej Ukrainy. Widzą oni w Polakach cennych i pożądanych sprzymierzeńców w walce o lepsze jutro swego narodu. To filopolskie stanowisko wielu Ukraińców nie zawsze bywa zarazem antyrosyjskie, ale zawsze łączy się z postawą antychochołką.

Bo o Chochołach nie mam wiele do powiedzenia. Chochoł jest zapatrzony w Moskwę. Ja więcej go fascynuje Moskwa, tym mniejsze, a w końcu i żadne znaczenie ma dla niego Warszawa, czy Kraków.

Jeżeli mówimy o wewnętrznym rozbiegu narodu ukraińskiego, to rząd stalinowski dolał jeszcze oliwy do ognia, kasując unię kościelną w 1946 roku na wzór kasaty unii za cara Mikołaja I. w roku 1839. Wówczas rząd carski znalazł biskupa unickiego Józefa Siemaszkę, który to przeprowadził. Teraz rząd stalinowski nie znalazł wprawdzie ani jednego biskupa grecko-katolickiego, ale znalazł we Lwowie prałata Gabriela Kostelnika, który stanął na czele tzw. inicjatywnej grupy dla powrotu na łono cerkwi prawosławnej. Odtąd na Ukrainie działa cerkiew prawosławna, która oficjalnie wchłonęła w siebie Kościół grecko-katolicki i wszystkich grekokatolików. Działają też poszczególne koś-

ścioły katolickie, ale wyłącznie tylko w obrządku łacińskim. Choć bardzo wielu grekokatolików wcale się nie uważa za prawosławnych, to nie ma teraz ani jednego czynnego kościoła greko-katolickiego. Większość tych kościołów jest oddanych do użytku prawosławnym, niektóre stoją w ogóle zamknięte i nieczynne. Jeden z halickich inteligentów mówił mi kiedyś z rozgoryczeniem: "My Ukraińcy greko-katolicy jesteśmy na Ukrainie w gorszym położeniu, niż wy Polacy. Wy macie choć trochę własnych kościołów, a my nie mamy ani jednej czynnej cerkwi greko-katolickiej".

Co do księży greko-katolickich, to jedni z nich, nieliczni na Zakarpaciu, liczniejsi niestety w Galicji, "powrócili" z prawosławia, i stali się apostołami katolicyzmu; drudzy - na czele ze wszystkimi biskupami, - na odwrót stali się wyznawcami wiary katolickiej i odcierpieli długoletnie więzienie, dochodzące u niektórych do 10 lat; a byli i tacy, którzy pozostali przy katolicyzmie lecz szczęśliwie uniknęli więzienia.

Do Polski i Polaków księża greko-katolicy z Galicji odnosili się lepiej i pozytywniej niż świacy inteligencji. Jednak i wśród nich są tacy, którym uderza do głowy wizja socjalistycznej Ukrainy. Ukraińcy greko-katolicy księża zakarpaccy odnoszą się do nas nie tylko dobrze, ale wręcz serdecznie.

W tych warunkach nic dziwnego, że na Ukrainie panuje zapaść i wcale nie można określić, jak wielkie straty co do wiernych poniosła Kościół katolicki i jak wielu przekonanych wyznawców zyskała cerkiew prawosławna.

Wreszcie nie trzeba zapominać o istnieniu licznej, ruchliwej i dobrze zorganizowanej emigracji ukraińskiej na Zachodzie. Szczególnie Kanada jest tym istotnym bastionem ukraińskiego narodu na emigracji.

Nie sięgajmy się wcale podawać jakichś gotowych recept na przyszłość stosunków polsko-ukraińskich. W każdym razie powinniśmy bacznie obserwować ów wrzący kocioł ukraiński, i to co się z niego stopniowo będzie wyłaniało. A tych Ukraińców, którzy się do nas odnoszą dobrze i pozytywnie, nie zrażajmy niewczesnym wspomnianiem im właśnie błędów czy okrucieństw popełnionych przez ich rodaków.)

Tyle jest moich uwag i obserwacji co do narodów objętych ideą Jagiellońską. Ale ja sam mieszkam w Kazachstanie i niejednokrotnie spotykałem się z zainteresowaniem odnośnie Kazachów i innych ludów azjatyckich. Chętnie się i o nich coś powie.

Kazachska Republika Radziecka obejmuje ogromne terytorium, które dawniej przed rewolucją było określane po prostu jako południowo-zachodnia część Syberii. Sami K a z a c h o w i e nie byli dawniej znani pod obecną nazwą Kazachów, lecz nazywano ich Kirgizami. Teraz Kirgizami nazywają się tylko mieszkańcy Kirgizkiej Republiki Radzieckiej, leżącej na południe od Kazachstanu, dokładnie nieco na południowy wschód.

Na południe od Kazachstanu rozciąga się obszerne choć mniejsze od samego Kazachstanu, terytorium nazywane przed rewolucją Turkiestanem, a obecnie Radziecką Azją Środkową. Na tym terytorium, idąc od wschodu do zachodu, mieszczą się 4 radzieckie republiki związkowe: Kirgiska, Tadżycka, Uzbecka i Turkmeńska.

Wszystkie te narody, a więc Kazachowie, Kirgizi, Tadżycy, Uzbecy i Turkmeni, są to narody muzułmańskie. Kazachowie, Kirgizi, Uzbecy i Turkmeni mówią dialektami języka tureckiego i są zaliczani do tureńskiej grupy etnicznej. Sądząc z typu fizycznego, Kazachowie i Kirgizi mają silną domieszkę krwi mon-

golskiej. Jedni tylko Tadżycy należą do całkiem innej grupy etnicznej i mówią całkiem innym językiem. Są oni Aryjczykami grupy Irańskiej. Ich najbliższymi krewniakami są Irańczycy i Afgańczycy.

Właśnie z Tadżykami no i z Kazachami miałem najwięcej styczności. Jednak to była styczność całkiem przelotna, na prośbę misjonarską wśród nich nie było ani czasu ani możliwości. W żadnym razie nie mogę uchodzić za znawcę tych ludów, więc i moje informacje niech będą tylko najogólniejsze.

Kazachowie - to lud do niedawna koczowniczy, pasterski. Tadżycy i Uzbecy to ludy rolnicze, z dawną osiadłą. Wydaje mi się, że pod względem kulturalnym Tadżycy i Uzbecy stali i stoją wyżej od Kazachów i Kirgizów. Bynajmniej nie są to jakiegoś ludy prymitywne, mają swoje bogate tradycje historyczne. Warto przeczytać znakomicie napisaną powieść historyczną niedawno zmarłego pisarza Kazachskiego Nichteza Auezowa o Kazachskim pociu Abaju. Powieść ta jest zatytułowana "Absj". W tej powieści Auezow bardzo wymownie i barwnie opisuje życie i kulturę Kazachów w drugiej połowie XIX wieku.

Pomimo tego jednak wszystkie te ludy ustępują pod względem kulturalnym nie tylko Rosjanom, ale także Gruzinom i Ormianom oraz mieszkańcom zachodniej części Związku Radzieckiego.

Rząd Radziecki popiera kształcenie i pomnażanie rodzimej inteligencji spośród tych ludów. Dokłada się wszelkich starań, by związać jak najściślej tę inteligencję z partią i ideologią komunistyczną. Jest jednak rozpowszechniana opinia, że taka polityka jest obosieczna, bo ta młoda inteligencja, jest o wiele bardziej podatną na hasła nacjonalistyczne niż komunistyczne. Jak mi się w tym roku zwierzył pewien rodowity Rosjanin: "Do

niedawna Ruscy krzyczeli na Kazachów, a teraz już Kazachy zaczynają pokrzykiwać na Ruskich".

Czy Muzułmanie trzymają się swojej wiary? Tadżycy i Uzbekowie są z pewnością pobożniejsi od Kazachów. Młodzież zna słabo swoją wiarę, a zapewne znaczna jej część wcale się nie modli. Jednak wszyscy oni wierzą w jedynego Boga Allaha, którego największym ostatnim i nieprześcignionym prorokiem jest Mahomet. Jest rzeczą nader znamionną: Rosyjscy aulicy, a nieraz niestety i nie aulicy, rugają się w Boga. Muzułmański aulik może się rugać najgorszymi słowami, ale nigdy i w żadnym wypadku nie ruga się w Boga.

Był czas, że wszystkie meczety w Związku Radzieckim były pozamykane. Radzieckim Muzułmanom pomogła wizyta prezydenta Nassera, który sam jest pobożnym muzułmaninem. Potwierzono na nowo meczety w większych miastach. Funkcjonują 2 zarządy organizacyjne muzułmańskie: dla Kazachstanu i Azji Środkowej oraz dla europejskiej części Związku Radzieckiego. Po długich latach przerwy wymuszają ze Związku Radzieckiego pielgrzymki do Mekki. Jak powiedział mi kamaryna językiem rosyjskim pewien mullah kazachski: "Dawniej było źle, bardzo źle (płochy, cożeń płochy), a teraz jest dobrze, bardzo dobrze" "ohamaszo, cożeń chamaszo). Czy tak naprawdę bardzo dobrze, to miałbym co do tego poważne wątpliwości. Na pewno jednak jest teraz radzieckim muzułmanom lepiej, niż było przed wizytą Nassera.

Obiektem mojej długoletniej już pracy duszpasterskiej i misjonarskiej nie są Rosjanie ani tym mniej Kazachowie lub Tadżycy. Pracuję przede wszystkim wśród i dla Niemców i Polaków. Cóż to są za Niemcy i coż to za Polacy? Niemcy nie są z Niemiec,

a ci Polacy nie są ~~z~~ przedwojennej Polski. Owszem, w latach wojennych i powojennych przebywali w tych stronach azjatyckich sporo tak tu nazywanych Polaków z Polski, obywateli polskich. Ale dawno już wszyscy oni repatriowali się do Obecnej Polski Ludowej, jedni w 1943 r., a drudzy w 1955 i 1956 roku. Wielu też wyjechało ze Związku Radzieckiego wraz z armią Andersa.

P o l a c y zamieszkali obecnie w Kazachstanie są przesiedleńcami obwodów Kamieniskiego, Bytonierakiego i Winnickiego na Ukrainie. W tamtych obwodach po dziś dzień istnieje wielotysięczna Polonia i są czynne niektóre kościoły, jak np. w ⁵²Carogrodzie i w ¹³²Baku, gdzie już czwarty rok są proboszczami Bronisław Drzpecki i Józef Kuczyński. Nasi kazachstańscy Polacy zostali przesiedleni z Ukrainy do Kazachstanu w roku 1936. Zaważył na tej decyzji rządu radzieckiego ówczesny "flirt" rządu sanacyjnego z Hitlerem. Całe szkole pokolenia jest już urodzone i wychowane w Kazachstanie. Długie lata polacy przesiedleńcy byli pod komendanturą i nie mogli nigdzie wyjeżdżać. Później otrzymali oni całkowitą wolność ruchów. Niektórzy wrócili do swych stron rodzinnych, na Ukrainie, lecz większość pozostała w Kazachstanie.

Według ostatniego spisu ludności było w Kazachstanie 53 tysiące Polaków. Faktycznie jest ich znacznie więcej, bo sporo Polaków jest zapisanych w paszportach jako Ukraińcy, choć wcale się za Ukraińców nie uważają.

Są 3 główne ośrodki rozmieszczenia polskiej ludności w Kazachstanie:

1) Obwody kokczetawski i celinogradzki (dawniej ukmoliński).

W tych dwóch obwodach mieszka ogromna większość kazachstańskich Polaków. Jest ich sporo po miastach i są całe wioski

z z liczną a nieraz nawet przeważającą ludnością polską. Właśnie w obwodzie kokczetańskim pracował Józef Kuczyński, a w obwodzie oelingradzkim Bronisław Drzapecki.

2) Okolice Alma-Aty. Tam jest już znacznie mniejsze skupisko Polaków. W mieście Alma-Ata, które jest stolicą Kazachstanu, Polaków jest niewiele, ale w okolicy są wioski z liczną, raczej już z przeważającą ludnością polską.

3) Miasto Karaganda wraz z bliższą okolicą stanowi trzeci najmniejszy ośrodek, raczej małą wysepkę Polaków.

Starsi Polacy około 70-ki, na ogół wcale niechętnie mówią po polsku, choć nie bez bardzo licznych rusycyzmów i ukrainizmów. Są oni bardzo pobożni. Są wśród nich tacy, którzy znają na pamięć mnóstwo polskich pieśni religijnych, nieraz bardzo starodawnych i w Polsce już zapomnianych. Średnie pokolenie już mówi gorzej po polsku, lecz na ogół jeszcze mówi. Młodzież mówi po polsku tylko w najlepszych i najbardziej starannych rodzinach. Na ogół jednak cała ta młodzież rozumie polską mowę, lecz już nie rozmawia po polsku. Spotykają się niestety i tacy, co nawet nie rozumieją swej mowy ojczystej. Wśród młodzieży większość nie umie czytać po polsku, choć chętnie się uczy tej umiejętności, byleby tylko znalazł się elementarz. Natomiast starsi prawie że wszyscy czytają po polsku bardzo dobrze z własnej książeczki do nabożeństwa, lecz słabiej z innych książek, zwłaszcza świeckiej treści. Starsi Polacy niemalże stuprocentowo są wierzący, przeważnie bardzo przywiązani do swej wiary. O stanie religijnym młodzieży powrócimy trochę później.

W każdym razie tak starzy jak i młodsi dopóki się trzymają wiary katolickiej, są Polakami. Jeśli zaś zaczynają odcho-

dzić od wiary katolickiej, to rasyfikują się bardzo szybko. Po-
malutku zaczyna się tworzyć młoda inteligencja z dzieci naszych
Polaków, którzy są wieśniakami lub rzemieślnikami i robotnikami.
Ale ta młoda inteligencja zupełnie jest pozbawiona znajomości
Polaki, jej kultury i historii. To samo sresztą jest i na Ukra-
inie w obwodach, z których pochodzą nasi przesiedleńcy.

N i e m c ó w jest w samej Karagandzie i w ogóle w tam-
tych stronach o wiele więcej niż Polaków. Ci Niemcy są potomka-
mi niemieckich kolonistów osiedzonych w cesarstwie rosyjskim za
panowania Katarzyny II i jej następców, a więc w drugiej połowie
XVIII wieku i w pierwszej połowie XIX wieku. Pod względem wyzna-
niowym Niemcy w Związku Radzieckim, jak i w samych Niemczech,
nie są jednolici. Jest wielu luteranów, sporo baptystów, ale
też i wielu katolików.

Niektórzy Niemcy przybyli w te strony azjatyckie jeszcze
przed rewolucją, lecz ogromna ich większość została tu przesied-
lona z europejskiej części Związku Radzieckiego częściowo jesz-
cze przed wojną, ale szczególnie podczas wojny i bezpośrednio
po jej zakończeniu. Niemalże też Niemców przyjechało w te stro-
ny dobrowolnie w latach powojennych.

Kolonizacja niemiecka w cesarstwie rosyjskim była dokona-
na głównie na dwóch terenach:

- 1) Na południowej Ukrainie (Odessa, Nikołajów, Cherson, Taporo-
że)
- 2) Na Powołżu koło Saratowa. Przeważnie z tych dwóch terenów
pochodzą nasi Azjatyccy Niemcy. Po dziś dzień mówi się u
nas o odeskich i wołżańskich Niemcach. (Odessa-Deutsche und
Wolga-Deutsche).

Ja pracowałem wśród Niemców nie tylko w samej Karagandzie
z najbliższą okolicą. Prowadziłem wśród nich pracę duszpasterską

podczas moich wypraw rosyjskich w różnych okolicach a zwłaszcza w Tadżykistanie, o czym opowiem w trzeciej części tego pisma.

Mogę zaświadczyć z całym przekonaniem, że dobrze jest być duszpasterzem Niemców, czyli jak mówią tutejsi ateiści "niemieckim popem". Niemcy mają w krwi karność i zdyscyplinowanie. Albo wcale nie zapraszają księdza, ale jeśli już zaproszą, to prawie że wszyscy korzystają z jego usług. Natomiast nasze "Polaczki" jak wszędzie tak i w Kazachstanie są indywidualistami.

Jeżeli w Karagendzie Niemiec katolik żeni się z Niemką katoliczką, to zazwyczaj cały miesiąc przed weselom przychodzą do księdza razem obie mamy i mówią tak: "Wesele będzie tego dnia. Przychodzimy zawczasu, żeby Pater miał czas dobrze przygotować młodych do ślubu ("Pater, proszę im dobrze nagadać") i żeby wspólnie ustalić datę ślubu oczywiście przed weselom". A tymczasem nasze kochane "Polaczki" myślą tylko o hucznym weselu, gęsto zakrapianym wódeczką, a o ślubie kościelnym zaczynają myśleć, i to nie wszyscy, dopiero po weselu. Jednym słowem: Niemcy są katolikami bardziej konsekwentnymi niż Polacy i dlatego dobrze jest być ich duszpasterzem.

Polacy przewyższają Niemców pod niektórymi względami. Są bardziej serdeczni im ofiarni. Wszyscy nie wyłączając młodych inteligentów, całują księdza w rękę, a czynią to bardzo chętnie i bez przymusu. Niemcy, za wyjątkiem niektórych starszerek, nie mają zwyczaju całowania jego ręki. Są bardziej sztywni, choć nie pozbawieni serdeczności. Owszem są ofiarni, niekiedy nawet bardzo ofiarni, ale Polacy są na ogół jeszcze ofiarniejsi. Wyłącznie tylko z ofiar wiernych już długie lata żyją, utrzymują się, a jak trzeba to i podróżują, a w dodatku płacą podatek dochodowy, który w tym 1969 roku wyniósł 1088 rubli czyli

16.320 złotych. Pewnie, że nie mógłbym sobie pozwolić na kupno samochodu osobowego, ale na tanto wszystko wystarczy.

Starzy Niemcy katolicy czują się przede wszystkim katolikami, a potem dopiero Niemcami. Taki stary Niemiec katolik powie o sobie: "Ich bin Deutsche-Katholisch", a rządziąj: "Ich bin ein Deutscher". U młodzieży nie ma już aż takiej przewagi katolicyzmu nad niemieckością. Starzy Niemcy katolicy nawet nie bardzo uważają Niemców luteranów lub baptystów za swych rodaków. Wolą np. by ich dzieci i wnuki wstępowały w związek małżeński z Polakami i Litwinami, czy też z Polkami i Litwinkami, byleby tylko naprawdę wierzącymi po katolicku, niż Niemcami, niż Niemkami należącymi do innych wyznań religijnych. Jeszcze więcej ci starzy Niemcy katolicy są przeciwni związkom małżeńskim z Rosjanami lub Rosjankami. Ponieważ przy tym rodziny niemieckie są o wiele więcej karne i zdyscyplinowane niż rodziny polskie i dzieci przeważnie bardzo się liczą ze zdaniem rodziców, przeto mieszane małżeństwa niemiecko-rosyjskie są stosunkowo niezbyt częste, a nawet związki małżeńskie z Niemcami lub Niemkami z innych wyznań są rzadsze niż jednolite małżeństwa niemieckie i katolickie.

Polacy są więcej od Niemców narażeni na wynarodowienie i utratę wiary. Niemcy tak jak Hydzi wolą być w kupie. W pierwszych latach po wojnie byli oni bardzo rozproszeni wszędzie pod komendanturą, i musieli być tam gdzie im kazano, nieraz bez swych rodaków, wśród innych narodowości. Ale kiedy po śmierci Stalina oswobodzono ich spod komendantury i kiedy oni uzyskali swobodę ruchów, to nie wrócili w swoje strony rodzinne, gdzie teraz jest bardzo mało Niemców, lecz jechali tam, gdzie już po wojnie wytworzyły się większe skupiska ludności niemieckiej.

Tak było i w Karagandzie. Kiedy przed 15 laty zostałem

zesłany do Karagandy, Niemców było jeszcze stosunkowo nie tak wielu. Tylko na jednym przedmieściu było bardzo wielu Niemców z Powołża zesłanych jeszcze w 1930 r. po uprzednim "rozkułaczaniu" ich podczas kolektywizacji rolnictwa. Wśród nich mieszka i pracuje mój sąsiad i przyjaciel ksiądz prałat Aleksander Chima były rektor grecko-katolickiego seminarium duchownego w Ushorodzie na Zakarpaczu. W ciągu ostatnich 15 lat Niemcy zasiedlili całą Karagandę. Zapewne przyjeżdżali oni także i ze względu na łatwość znalezienia roboty, ale przede wszystkim przyciągało ich to, że w Karagandzie jest wielu Niemców, i katolików, zwłaszcza tu, że są księża katolicy w naszym mieście.

Niczego podobnego nie obserwowałem nigdy wśród Polaków. Był ciągnie do Bryda, Niemiec do Niemca, ale Polak rzadko kiedy ciągnie tam, gdzie jest choć trochę więcej Polaków. A jeżeli się jeszcze zwąży, że w młodym pokoleniu mieszane małżeństwa z Rosjankami i Ukrainkami czy też z Rosjankami i Ukrainkami są niestety o wiele częstsze niż jednolite małżeństwa polskie, to łatwo sobie dośpiewać resztę ...

Stosunki między Polakami i Niemcami katolickimi są dobre, a często nawet serdeczne, czego już nie da się obserwować w stosunkach Polaków z Niemcami innych wyznań. Niemcy na ogół tak w głębi duszy uważają się za coś lepszego nie tylko od Rosjan, ale i od Polaków, jednak Niemcy katolicy patrzą się na Polaków i Litwinów jako na niemalże równych sobie. Natomiast starzy Polacy uważają się za coś lepszego od ... Ukraińców, a nie tyle już od Rosjan. Przeciętny stary Polak nie mówi o języku ukraińskim, tylko o języku chłopskim. Gorzej, że wśród młodych Polaków, i to inteligentniejszych, da się zauważyć przeświadczenie o wyższości kultury rosyjskiej, dochodzące nieraz aż do wstydzania się własnej polskości.

Jak wśród Polaków, tak i wśród Niemców, wytwarza się młoda inteligencja. I jej także brakuje głębszych znajomości Niemiec, ich kultury i historii. Jednak ci młodzi i inteligentni Niemcy choć trochę lepiej znają swoje sprawy ojezyste niż młodzi inteligenci Polacy.

Ponieważ w Polsce jest niewątpliwie zainteresowanie Żydami, więc piszę i o Żydach radzieckich, choć sam niewiele miałem z nimi styczności.

"Żydzi po mistrzowsku umieją się przystosowywać i urządzić" - mawiają o nich Rosjanie. A jeden z szefów kijowskich Kulików, a przy tym wcale niezły śpiewak i pan ... tak o tym śpiewał w celi więziennej: "Ach! Biednyj Szloma - U niego zabrali czotyry doma - to tiasier on tichij smirnyj Zawojuwelirnyj!" Według tej pieśni: choć u biednego Szlomy zabrali - rozumie się po rewolucji - 4 domy, to on teraz cichy i pokorny jest kierownikiem magazynu jubilerskiego!

Żydzi w Związku Radzieckim tak się dobrze przystosowali i urządziли, że teraz całkowicie zanika typ Żydkę dobrego handlarza lub rzemieślnika. Radziecki "Jewrej" to inteligent najczęściej z wyższym wykształceniem inżynier, lekarz, profesor lub handlowiec wyższego stopnia służbowego. Obecnie w związku z wojną izraelsko-arabską sytuacja radzieckich Żydów jest dość niewyraźna, za granicę ich nie puszczają, lecz Żydzi umieją czekać, przeczekać i wytrwać na swoich dalszych posiadach państwowych.

Po scharakteryzowaniu poszczególnych narodowości pragnęłbym coś więcej powiedzieć o ich obecnym stanie pod względem religijnym. Szczególnie często słyszę pytanie, czy młodzież trzej-

na się jeszcze wiary, czy nie odchodzi od niej masowo? Oczywiście, że nas obchodzą przede wszystkim katolicy, młodzież katolicka. Jednak ze względów kompozycyjnych powinniśmy najpierw o Rosjanach, o młodzieży rosyjskiej. Jednak Rosjanie nadają ton całemu Związkowi Radzieckiemu, więc omawianie interesującej nas sprawy bez ich uwzględnienia dałoby obraz za mało wyrazisty. Zastrzegam się, że na razie będę mówił tylko o rodowitych Rosjanach, a nie o Ukraińcach i Białorusinach, których tak często pląta się z Rosjanami

Jest moim zdaniem, że Rosjanie więcej od wszystkich innych narodowości poddali się wpływowi ateizmu lub agnosty^{cy}zmu. Wśród rodowitych Rosjan procent przekonanych ateistów, a jeszcze więcej agnostyków, jest z pewnością wyższy niż w innych narodowościach.

Ale tu trzeba uwzględnić dwie nader znamienne okoliczności występujące zresztą nie tylko wśród samych Rosjan, lecz w ogóle całym Związku Radzieckim:

- 1) O wiele więcej jest w Związku Radzieckim agnostyków niż ateistów w ścisłym słowa tego znaczeniu. Przeciętny młody człowiek niewierzący jeśli go zapytać, odpowiada: "ja nie wierzę w Boga", i zwyczajnie jeszcze doda "filozoficzne" uzasadnienie: "Ja Go nie widział". Ale nie będzie on przysięgał - że na pewno wie, iż nie ma Boga, lecz powie: "A może on gdzieś jest, ale ja sam go nie widział i nikt go nie widział". Kto zaś nie wyklucza możliwości istnienia Boga, ten już przez to samo nie jest ateistą.
- 2) W Związku Radzieckim jest dużo ludzi, którzy uchodzą za ateistów, a wcale nimi nie są. Przede wszystkim wszyscy partyjni uchodzą za ateistów, tymczasem i wśród nich wię-

cej jest agnostyków, a nawet i nie-mało takich, którzy po cichu wierzą w Boga. Gorzej, że wśród Rosjan i wśród ludzi wschodnich istnieje pewna łatwość zapierania się wiary dla doraźnego użytku. Są tacy, co się nawet z tego chwala, a w zaufanym gronie mówią, że oni myślą stać się bezbożnikami.

Propagandę ateistyczną prowadzi się w Związku Radzieckim dość intensywnie, choć prawdę mówiąc - mogłaby jeszcze intensywniej być uprawiana. Szczególną uwagę zwraca się przy tym na dzieci i młodzież. Poziom propagandy ateistycznej jest na ogół niski. Wystarczy porównać artykuł na temat ten w komunistycznej prasie radzieckiej i polskiej. Porównanie wypada na korzyść prasy polskiej. W propagandzie radzieckiej jest bardzo mało argumentacji filozoficznej. Więcej się zwraca uwagi na rzekomą sprzeczność między wiarą a nauką. Jeszcze więcej udziela się uwagi ośmieszeniu i zohydzeniu "popów" i "bogomółów". "Pop" to nie tylko duchowny prawosławny, to także nasz ksiądz, luterański pastor, muzułmański mułła, sekciarski predykant, a nieraz podciąga się pod to pojęcie masonów i masonszki. "Bogomół" lub "Bogomółka" to w ogóle pobożna osoba jakiegokolwiek religii lub wyznania. Właśnie ośmieszenie, nie argumentacja, jest ulubioną metodą radzieckiej propagandy ateistycznej. Wiele zamieszania sieje stawianie na równi nawet najwyższych form i przejawów religii z najgrubszymi zabobonami, nieraz nie mającymi nic wspólnego z religią.

Rezultaty tej propagandy ateistycznej, antyreligijnej są zarazem i wielkie i małe. Wielkie, bo dzieci a zwłaszcza młodzież boją się ośmieszenia, które się okazuje bronią skuteczną przede wszystkim przeciw modlitwie, a nieraz nawet przeciw

samej wierze. Małe są rezultaty, a nieraz i żadne, tam gdzie rodzice i wychowawcy są naprawdę wierzący i działający własnym dobrym przykładem.

Jeżeli ateizm, a jeszcze więcej agnostycyzm odnosi największe sukcesy wśród Rosjan, to jedną z głównych przyczyn tego smutnego zjawiska jest u nich niedbalstwo rodziców i wychowawców. Często w rosyjskich rodzinach bywa tak, że starzy modlą się sami, ale nie dbają zupełnie o to, by się modlili ich dzieci i wnuki. Za mało jest w rosyjskich rodzinach troski o zaszczerpienie i przekazanie wiary młodemu pokoleniu. Wpływa na to także i specyficzna mentalność narodu rosyjskiego. Dla Rosjan argumenty rozumowe odgrywają w religii minimalną rolę. Na czoło wysuwa się przekroczenie religijne, swoisty mistycyzm. Psychice rosyjskiej nie odpowiada tomizm, a o wiele bliższy jej jest egzystencjalizm.

Dość często jest w Związku Radzieckim wśród Rosjan a nieraz i wśród innych narodowości takie zjawisko: młodzież dorastająca przechodzi przez ateizm tylko chwilowy. Chłopcy i dziewczęta w wieku od 16 i 20 lat wierzą w to, że nie ma Boga. Później jednak przychodzi jakaś refleksja i już w wieku około 25 lat ci sami chłopcy i dziewczęta albo stoją na pozycji agnostycyzmu, lecz już nie ateizmu, albo powracają do wiary w Boga, choć zwykle nie do modlitwy, o ile ta wiara w dzieciństwie choć trochę była u nich zaszczerpiena.

Ponieważ wśród młodzieży, i to nie tylko rosyjskiej, rozpowszechniony jest agnostycyzm, to jeszcze o nim słów parę. Ci młodzi agnostycy, choć nie wykluczają możliwości istnienia Boga, to przeważnie zupełnie się tym nie interesują. Są całkowicie pogrążeni w materializmie praktycznym, życiowym. Jednych,

i to bardzo wielu, interesuje wódka, innych technika, sport, nauka, sztuka, literatura, sprawy seksualne, pieniądz, dobrobyt. Wśród tych młodych agnostyków istnieje jednak pewna, nie tak już nieliczna mniejszość głębiej myśląca. Oni nawet bardzo się interesują religią. Ale nie tak to łatwo takiemu myślącemu młodemu człowiekowi spotkać bliźniego, który mógłby mu pomóc pomocną dłoń.

W Związku Radzieckim wszystko stoi na usługach ateizmu: prasa, szkoła - kino, radio, telewizja. Ateiści w ten czy inny sposób, wciąż przemawiają, a ludzie wierzący, choć jest ich więcej niż ateistów, na ogół milczą. A przy tym nawet mądra i pobożna staruszka nie potrafi przekonać studenta lub studentkę wyższej uczelni, bo na to potrzeba choć trochę znajomości filozofii i umiejętności zbijania - przeważnie zresztą bardzo prymitywnych argumentów radzieckiej propagandy ateistycznej.

Z pewnością jest jakieś ziarnko prawdy w zdaniu, że w psychice rosyjskiej jest skłonność do skrajności. We współczesnym społeczeństwie rosyjskim występują skrajności także i w dziedzinie religijnej. Występuje niewątpliwie skrajny ateizm, choć jest on o wiele mniej od agnostycyzmu rozpowszechniony. Ale równocześnie występuje i religijność i to bardzo aktywna i często przesiągnięta swoistym mistycyzmem.

Rosyjskie prawosławie poniosło wielkie straty na rzecz ateizmu i agnostycyzmu, a częściowo także i na korzyść sekciarstwa. Mimo to sądzę, że jednak większość współczesnych Rosjan trzyma się nadal prawosławia. Szczególnie silną jest pozycja cerkwi prawosławnej we właściwej Wielkiej Rosji, a więc w samej Moskwie i we wszystkich okolicznych stronach wielkorosyjskich. We wszystkich tych Tulaach, Kałuzkach, Riazaninach, Orłach, Twierach czy Juroszławskach. Na peryferiach, a szczególnie w azja-

tyckiej części Związku Radzieckiego wpływy cerkwi prawosławnej w społeczeństwie rosyjskim są już o wiele mniejsze.

Ponadto trzeba jeszcze uwzględnić, że w rosyjskiej cerkwi prawosławnej jest rozłam. Część może nieznaczna, lecz bardzo gorliwa rosyjskich prawosławnych nie uznaje nad sobą władzy moskiewskiego patriarchy, zarzucając mu, iż on się sprzedał bezbożnej władzy państwowej.

Bardzo znamienym zjawiskiem dla wierzącej części społeczeństwa rosyjskiego jest rozwój sekciarstwa. Ale opozycjonistów prawosławnych nie należy mieszać z sekciarzami. Ci opozycjoniści uważają się za najlepszych prawosławnych, stoją na granicy prawosławnej tradycji, i podkreślają, że z tymi sektami nie mają i nie chcą mieć nic wspólnego.

Właśnie w tych prawosławnych kierunkach opozycyjnych przejawia się rosyjska skrajność i mistycyzm. Tacy np. "Istino-Pravosławnyje Christianie" nie chcą mieć nic wspólnego z władzą państwową jako bezbożną, a nawet - jak mówią - szatańską. Dlatego nie biorą żadnej pracy rządowej i klepią biedę. Co więcej: nawet nie biorą paszportów i innych dokumentów, a na pytanie funkcjonariuszy milicji: "Ktoś ty?" odpowiadają: "Ja rab Bożij Iwan" albo "ja rabyni Bożja Agafieja". A znoma Michajłowscy uwierzyli w to, że ich przywódca - prawosławny mnach Michał Jerezow - jest ni mniej ni więcej tylko świętym Michałem Archaniołem. Na podstawie jednego zdania prorocstwa Daniela, iż się objawi Archanioł Michał, objawił się Jerezow, że on sam jest Archaniołem Michałem, posłanym przez Boga dla ratowania świętej Rusi.

We właściwym rochu sekciarskim najwięcej mają sukcesów i zwolenników Baptyści, Menonici, Adwentyści, Zielono

Świątkowcy i Świadkowie Boga Jehowy czyli Bedacze Pisma Świętego. Są to wszystkie sekty pochodzenia zachodniego. Są i sekty pochodzenia rosyjskiego jak np. Mołokanie czy Chłysty, lecz one mają o wiele mniej zwolenników. Sekciarze są na ogół bardzo gorliwi, nieraz wręcz natrętni w swej gorliwości. Bardzo im pomaga to, że u nich wszystko się odbywa po rosyjsku: modlitwy, śpiewy religijne, czytanie Pisma Świętego i kazania. Natomiast w cerkwi prawosławnej wciąż króluje język cerkiewnosławiański, niezrozumiały dla młodego pokolenia.

W rosyjskim duchowieństwie prawosławnym nader znaczącym jest podział na "starych popów" i "młodych popów". Przed wojną przez długie lata wszystkie seminarja duchowne były poza-rykańskie. Nie pracowało ani jedno z nich. Dlatego obecnie rosyjskiemu duchowieństwu prawosławnemu brakuje średniego pokolenia. Starzy popi mają przeciętnie około siedemdziesiątki, a młodzi popi docierają do 40-45 lat. Obecnie są czynne 4 seminarja duchowne: w Moskwie, w Leningradzie, w Odessie i zdaje się - Kazania oraz 2 akademie duchowne w Moskwie i w Leningradzie. Chociaż starzy popi są mniej wykształceni, to jednak są oni lubiani w społeczeństwie rosyjskim. Natomiast młodzi popi nie cieszą się zaufaniem, gdyż zarzuca się im zbyt ścisłe związki z władzą państwową, choć tego w żadnym wypadku nie należy generalizować. Pewną rolę w prawosławnym duchowieństwie odgrywają także księża wykształceni w przedwojennej Polsce, a zwłaszcza magistrzy prawosławnej teologii uniwersytetu warszawskiego, oraz apostości spośród byłych księży grecko-katolickich. Do tych ostatnich jednak Rosjanie nie mają szczególnego zaufania. Zresztą księża prawosławni kształceni w Polsce, jak również i księża apostości nie są Rosjanami lub Białorusinami.

Są też obecnie czynne prawosławne klasztory męskie i żeńskie, jest ich jednak bardzo mało. Największą rolę odgrywają klasztory: Troice - Sargiejewski w Zagorsku koło Moskwy, a na Ukrainie Poczerski w Kijowie i Poczajewski na Wołyniu.

Jeżeli jednak porównamy pod względem religijnym Rosjan z Ukraińcami i Białorusinami, to procent ludzi wierzących wśród Ukraińców i Białorusinów jest większy, a procent ateistów i agnostyków mniejszy niż wśród rodowitych Rosjan. Są jednak pewne zjawiska wspólne. Działa jedna i ta sama cerkiew prawosławna, na czele z moskiewskim patriarchą, tak samo się też rozwija ruch sekciarski zarówno wśród Rosjan jak i wśród Ukraińców i Białorusinów. Natomiast wśród innych chrześcijańskich narodowości Związku Radzieckiego ruch sekciarski ma o wiele mniej powodzenia i słabo się rozwija.

Rząd Radziecki traktuje poszczególne religie i wyznania bynajmniej nie jednakowo. Najlepiej są widziani prawosławni uznający moskiewskiego patriarchę. Po nich idą baptyści i niektórzy inni sekciarze, luteranie, a także i muzułmanie. Gorszej są widziani katolicy, a zwłaszcza księża katolicy, jako "agenci Watykanu". Najgorzej jednak są traktowane prawosławne opozycje i te sekty, które mają swój światowy ośrodek w Stanach Zjednoczonych Ameryki, jak np. świadkowie Boga Jehowy.

Kościół katolicki inaczej jest traktowany na Litwie i Łotwie, gdzie są uznani przez rząd biskupi i seminaria duchowne w Kownie i w Rydze. Inaczej w innych wschodnich częściach państwa radzieckiego, gdzie są rejestrowane kościoły i rejestrowani księża, choć nie ma biskupów i organizacji kościelnej, a księża są całkowicie zależni od rządowych pełnomocników do spraw kultu religijnego. Inaczej na całej reszcie Związku Radzieckiego, gdzie nie ma ani jednego rejestrowanego kościoła i

ni jednego rejestrowanego księdza. Cała praca duszpasterzaka prowadzi się po domach prywatnych, co dokładnie omówimy w trzeciej części naszego pisma.

Teraz odpowiem dopiero na pytanie, jak się pod względem religijnym prezentują katolicy Związku Radzieckiego i co się dzieje z naszymi katolickimi dziećmi i młodzieżą. Otóż niewątpliwie w Związku Radzieckim wśród katolików dzieje się lepiej niż wśród prawosławnych.

W europejskiej części Związku Radzieckiego pod względem liczebności na pierwszym miejscu wśród katolików stoją Litwini, na drugim Polacy, na trzecim Łotysze, ale są też w mniejszej liczbie katolicy Białorusini, Gruzini, Oralskie, Niemcy. Osobną grupę stanowią Ukraińcy grekokatolicy, o czym już wyżej była mowa.

W azjatyckiej części Związku Radzieckiego wśród katolików na pierwszym miejscu stoją i to w przeważającej liczbie Niemcy, na drugim Polacy, na trzecim Litwini, a inne narodowości są reprezentowane bardzo nielicznie.

Katolicy górują nad prawosławnymi, starają się przekazywać wiarę i pobożność swym dzieciom i wnukom. W boju o duszę dziecka najczęściej zależy od rodziny, a zwłaszcza od matki. Za chwilę zilustruję to pięknymi i wymownymi przykładami wziętymi z życia.

W wielonarodowościowym społeczeństwie katolickim Związku Radzieckiego, przekonanych ateistów jest bardzo mało, agnostyków więcej, lecz mniej niż wśród prawosławnych. Sporo jest w młodszym pokoleniu wierzących, lecz nie modlących się wcale lub bardzo mało. Tacy jednak zazwyczaj zegnają się wieczorem udając się na spoczynek, i zawsze chrzczą swoje dzieci.

Taki więc jest przekrój społeczeństwa katolickiego w Związku Radzieckim.

Niemalże wszyscy starzy i znaczna część młodszych, to katolicy wierzący i praktykujący.

Znaczna część młodszych - to ludzie wierzący, lecz nie modlący się, jak o tym przed chwilą mówiliśmy.

Wśród młodzieży jest pewien procent agnostyków.

Najmniej jest ateistów.

Dzisiaj się tak:

Jeżeli rodzina jest wierząca i w mądry sposób gorliwa, to wychowuje młodzież wierzącą i praktykującą.

Jeżeli rodzina jest wierząca, ale na przeciętnym poziomie, to bardzo często młodzież wprowadzi wiary w Boga i nie odrzeka się od wiary, lecz nie modli się.

Jeżeli rodzina jest wierząca, ale niedbała albo miesza-
na pod względem wyznaniowym albo częściowo niewierząca, to z
takich rodzin wyrasta wśród młodzieży agnostycyzm, a znacznie
rzadziej ateizm.

Nie jest więc jeszcze źle w naszym radzieckim społeczeń-
stwie katolickim, lecz nie jest też i całkiem dobrze. Musimy
mieć poważne obawy na przyszłość.

Znam podobne wypadki: póki żyje w rodzinie babcia mądra
i pobożna, cała rodzina jest wierząca i praktykująca. Gdy umrze
babcia, to mama już tego nie może dać swym dzieciom co dawała
babcia, wychowana jeszcze w o wiele lepszych warunkach. A je-
żeli umrze mama, to jej córka może wpływać na swoje dzieci
jeszcze w mniejszym stopniu od mamy. I tak pomalutku zmniejsza
się wśród katolickiej młodzieży procent wierzących i praktyku-
jących, rośnie natomiast obecnie procent wierzących lecz nie

modlących się, których dzieci prawdopodobnie będą agnostykami. Mogę więc tu tylko jeszcze raz przypomnieć słowa Zbawiciela: "Proście Pana żniwa, by posłał robotników na żniwo swoje", tym więcej, że żniwo wielkie, a robotników mało.

- - - - -

Nie lubię przykładów smutnych, odstraszających, choć czasami pobudzają one do głębszej refleksji. Kocham się w przykładach dobrych, budujących. Podam 12 przykładów. Wszystkie wzięte z życia w Związku Radzieckim. Z nich tylko 2 (trzeci i siódmy) są smutne, a 10 ma treść i wartość pozytywną przeżycia, nawet budującą. Tylko 2 pierwsze przykłady odnoszą się do Rosjan, pozostałych 10 mają za bohaterów czy bohaterki katolików czy katoliczek różnych narodowości. W 5 przykładach polskiej, w 9-ciu niemieckiej i w jednym litewskiej. Jeden przykład (pierwszy) jest wzięty z gazety, jeden przykład (piąty) z opowiadania całkowicie wiarogodnego człowieka, pozostałych 10 przykładów stanowią moje osobiste wspomnienia. Wszystkie użyte imiona z wyjątkiem ostatniego są zmienione z łatwo zrozumiałych względów.

Przykład pierwszy. W jednym z większych miast wielkowiejskich niedaleko od Moskwy, mieszkało pewne bezdzietne małżeństwo. Nazwijmy je imionami częste wśród Rosjan spotykanymi: Mikołaj Pietrowicz i Anna Pawłowna. Oboje już ludzie starsi, partyjni, znani i szanowani w owym mieście. Mikołaj Pietrowicz był inżynierem i dyrektorem fabryki. Anna Pawłowna była znanym pedagogiem i działaczką społeczną. Z powodu słabego stanu zdrowia Anna Pawłowna musiała zrezygnować z pracy w szkole - lecz tym więcej była czynną w różnych organizacjach społecznych. Po pewnym czasie zauważono, że Anna Pawłowna przestaje także

pracować społecznie. Kiedy się ją o to zapytano, zawsze powoływała się na swoje słabe zdrowie. Tymczasem było wiadomo, że jej zdrowie się bardzo poprawiło po przymusowej rezygnacji z pracy szkolnej. Wkrótce się okazało, że przyczyny zaprzestania pracy społecznej były całkiem inne. Okazało się, że Anna Pawłowna przyjmuje u siebie w domu wizyty jakichś gości z Moskwy, z którymi przez długie godziny dyskutuje o ... filozofii indyjskiej.

Zwrócono się do Nikołaja Pietrowicza, żeby wpłynął na swoją żonę, lecz biedny Nikołaj Pietrowicz nie nie mógł na to poradzić. Wreszcie doszło do rozmowy pomiędzy partyjnymi czynnikami miarodajnymi z Anną Pawłowną. Zwrócono jej uwagę, że ona na próżno "uwlekajetsia" obcą nam filozofią indyjską. Zaproponowano jej, by ona głębiej zajęła się naszą własną filozofią marksistowską - dialektycznym materializmem. Na to Anna Pawłowna odpowiedziała z całą szczerością:

"Ach! Gdybyście wiedzieli, jak mi to wszystko obrzydło!"

Komentarze są zbyteczne.

Wśród rosyjskiej inteligencji, karmionej jedną tylko filozofią materialistyczną, niemało jest żaknących innej lepszej strawy duchowej. Po wizycie indyjskiego premiera Nehru w Moskwie, w myśl zawartej umowy o wzajemnej wymianie dóbr materialnych i duchowych, przetłumaczono na język rosyjski kilka współczesnych poważnych dzieł o Indiach i ich kulturze. Między innymi przetłumaczono dwu tomowe dzieło o filozofii indyjskiej późniejszego prezydenta Indii Radha Kriszmana. Inteligencja rosyjska mogła się zapoznać z inną filozofią, nie materialistyczną, spiritualistyczną. Dzieło Radha Kriszmana w mig rozchwytano, stało się ono bestsellerem. Po rychłym wyczerpaniu całego nakładu pożyczano sobie nawzajem to tak bardzo mimo trudnej treści pożądane i poczyt-

ne dzieło. Jak widać także i Anna Pawłowna uległa czarowi indyjskiej mądrości filozoficznej. Jest to objaw bardzo po-
niechęcający, że rosyjska inteligencja szuka czegoś głębszego
od tego co jej aż do przesytu dają ... Pragnę jeszcze wyja-
śnić skąd ja znam tak dobrze historię Anny Pawłownej? Tylko
z gazety. Trzeba jednak znać niektóre obyczaje prasy radzie-
ckiej. Jest w niej uprawiany pewien rodzaj publicystyczny,
który się nazywa "....." a po polsku artykuł czy
raczej reportaż demaskujący. W takim artykule opisuje się z
drobnymi nieraz szczegółami życie i postępowanie zdezakowa-
nych osób, jak w danym wypadku owej tak przeze mnie nazwanej
- Anny Pawłownej.

Przykład drugi. Jechałem pociągiem z Kargandy do Alma-
Aty. Zbliżaliśmy się już do celu naszej podróży. W przedziale
zostało nas tylko dwóch. Mój jedyny towarzysz podróży był mło-
dym sympatycznym i inteligentnym człowiekiem. Zaczęliśmy roz-
mowę. Co bardzo ważne, rozmowa toczyła się w cztery oczy bez
świadców i mogła być szczerą. Mogłem mu nawet powiedzieć, kim
jestem. Mój rozmówca, którego będziemy nazywać Iwanem, był
Rosjaninem, studentem piątego kursu na uniwersytecie w Alma-
Ata. Był to typowy radziecki agnostyk, nie z jakiegoś filozo-
ficznego przekonania, tylko z powodu niemożliwości głębszego
poznania problemów filozoficzno-religijnych. Widząc jego zain-
teresowanie tą problematyką i wykorzystując nasze sam na sam,
pokrótce wyłożyłem mu nasze filozoficzne pojęcia Boga i zazna-
jomiałem go z postacią i głównymi faktami z życia Jezusa Chry-
stusa. Mówiłem językiem naukowym o elementarnych prawdach wia-
ry. Gdybym to zaczął wyklądać polskiemu studentowi, to ten na
pewno zapytałby: "czy kądź myśli, że je tego nie wiem?".

Tymczasem mój Iwan nie wiedział tego. Słuchał on wykładu bynajmniej nie w bierny sposób. Zadawał różne pytania. Widać było, że treść wykładu ogromnie go zainteresowała. Begnając się ze mną podziękował mi bardzo serdecznie i powiedział jakże/^{bardzo}znaczące słowa:

"To właśnie jest to, czego nam brakuje".

Sądzę, że i w tym wypadku zbyteczne są komentarze.

Przykład trzeci. Pewna babcia, która niedawno przyjechała do Karagandy, zwróciła się do mnie z prośbą, bym ochrzcił jej wnuczkę. Rodzina ta jest polską. Skądinąd wiedziałem, że prowadzi się bez zarzutu, była jednak nie ochrzczona, nawet nie ochrzczona - jak to się mówi - z wody. Panienkę tę nazwę Zofia. Jak wiadomo Sofija oznacza mądrość, w danym jednak razie będzie to niestety mądrość w cudzysłowie. Otóż panna Zofia, której po dziś dzień nigdy w życiu na oczy nie widziałem, nie zgodziła się na chrzest motywując to obawą, że mogą się o tym dowiedzieć na wyższej uczelni, gdzie ona uczęszczała i wyrzucić ją z niej. Wobec tego, że Zofia nawet bała się ze mną spotkać i porozmawiać, na naleganie babci napisałem w końcu list do Zofii, który babcia jej doręczyła. Korespondencja nasza była z konieczności prowadzona po rosyjsku.

Zaproponowałem Zofii spotkanie w takim miejscu i czasie, gdzie nie będzie żadnych postronnych świadków. Podkreśliłem, że chcę tylko wyjaśnić sprawę chrztu, do którego nawet nie mam prawa bez jej woli przynuszać. Poza tym zaproponowałem jej pogawędkę na tematy filozoficzne. Nie wątpiąc w to, że ona zna filozofię materialistyczną, wyraziłem przypuszczenie, że zainteresują ją możliwość zapoznania się także i z naszą filozofią chrześcijańską.

Zofia przez babcię odpisała mi już na drugi dzień. Co do chrztu - pisała - ona się nie może zgodzić przede wszystkim dlatego, że ona nie wierzy w Boga. Przyjmować zaś chrzest tylko po to, by zrobić przyjemność babci, byłoby jej zdaniem nieuczciwie (nie czestno). Co do filozofii chrześcijańskiej to Zofia napisała, że ona jej wcale nie zna. Jednak - będniesz dalej biedna Zofia wpajana jej przez lata drętą mowę - ona dobrze poznała filozofię materialistyczną i przekonała się o jej wyższości. Bo dialektyczny materializm jest filozofią jedynie prawdziwą i zgodną z nauką.

Nie zostawiłem jeszcze biednej Zofii w spokoju. Napisałem do niej po raz drugi i ostatni.

Co do chrztu - pisałem - masz zupełną słuszność. Nie wolno przyjmować chrztu bez wiary w Boga. Ale co do filozofii, sama przyznajesz, że zupełnie nie znasz filozofii chrześcijańskiej. Jakże ty możesz mówić o wyższości filozofii materialistycznej, kiedy ty nie znasz żadnego innego systemu filozoficznego? Rad byłbym, gdybyś się nad tym pytaniem zastanowiła.

Czy Zofia się zastanowiła - tego nie wiem. Niestety, po dziś dzień nie jest ona ochrzczoneą. Oby tak nie było aż do śmierci!

Jeszcze jedna uwaga na marginesie tego smutnego przykładu. Czy się opłaca tracić czas, pisywać listy, osobom pokroju panny Zofii, które nie chcą choćby jednego księdza w swoim życiu zobaczyć? Tak jest, trzeba rzucić się ewangelicznie także i na taką głęb. Może dobre ziarno znajdzie i po długich latach. Może Zofia ochrzci się już po śmierci tego księdza, którego nie chciała widzieć, ale który mimo to zechciał listownie powiedzieć jej parę słów prawdy.

Przykład czwarty. Podczas jednej z moich podróży misyjnych przyjeżdżam do pewnego miasteczka i ogłaszam, że będę uczył pary małżeńskie do ślubu. Zgłosiło się do nauki mniej więcej 10 par małżeńskich. Byli to Polacy, ludzie młodzi, żyjący już ze sobą dobrych parę lat, ale bez ślubu, bo nie było tam żadnego księdza. Prawie wszyscy nie byli jeszcze ani razu u spowiedzi i Komunii świętej.

Od razu swoim inteligentnym wyglądem zwróciła moją uwagę jedna para małżeńska. Okazało się, że młody małżonek, nazywający go Stanisław, jest inżynierem. Miał on wtedy 27 lat. Jego żona była jeszcze młodszą od męża, miłą i przystojną osobą. Miała pełne średnie wykształcenie. Mieszkali oni razem z matką Stanisława, która była kobietą jeszcze nie starą, prostą, ale mądrą i szczerze religijną.

Wszystko się odbyło jak najlepiej. Miałem nawet czas zaprzyjaźnić się z tą rodziną, która - nieważnym mówiąc - zupełnie dobrze rozmawiała po polsku. Bardzo się ucieszyłem, że Stanisław i jego żona są oboje wierzącymi i praktykującymi katolikami. Raz zapytałem się Stanisława, gdy byliśmy w troje z nim i jego żoną: "Czy twoje studia naukowe w radzieckich uczelniach nie sprawiły tobie żadnych trudności co do wiary w Boga?" - Stanisław odpowiedział: "Może się ksiądz zdziwi, ja skończyłem i średnią i wyższą szkołę w Związku Radzieckim, uczyłem się filozofii materialistycznej i zdawałem z niej egzamin, ale nigdy w życiu nie miałem nawet najaniejszej wątpliwości co do wiary w Boga. Ksiądz poznał moją matkę. Ona jest kobietą prostą, ale nie głupią. Ona tak mi to wszystko wytłumaczyła, że to mi wystarczyło. W szkołach dużo gadali przeciwko wierze w Boga, ale to nie robiło na mnie żadnego

wrażenia. Ja zawsze rozumiałem, że to nie ma wspólnego z nauką, bo to jest zwyczajna agitacja".

Warto jeszcze porównać Stanisława z Zofią. Mniej więcej rówieśnicy, oboje Polacy. Oboje z wyższym radzieckim wykształceniem. Dlaczegoż zachodzi między nimi tak wielka różnica? Bo Stanisław był krytycznym, miał swój własny rozum, a Zofia była niestety całkiem bezkrytyczna. Ale to nie wszystko jeszcze. Znam matkę Stanisława, ale znam także i matkę Zofii, która ją wychowywała. Gdyby Zofię wychowywała jej babcia, byłoby zupełnie inaczej. Niestety matką Zofii, choć jest ona sama wierząca, nie można porównać z mądrą i pobożną matką Stanisława. Po owocach ich poznacie je ...

Przykład piąty. Bohaterem tego przykładu jest pewien młody student Litwin. Nazwijmy go litewskim imieniem Witold. Historię Witolda opowiadał mi jeden z moich znajomych księży litewskich - człowiek całkowicie wiarygodny.

Witold był studentem trzeciego roku uniwersytetu w jednym z wielkich miast syberyjskich. W tym czasie na zesłaniu w Syberii było wiele rodzin litewskich. Teraz ogromna ich większość powróciła na Litwę.

W owym mieście pracował - oczywiście bez rejestracji - pewien ksiądz litewski i pracował przez kilka lat bardzo usilnie, naprawdę znakomicie. Witold często chodził na Mszę św., a nieraz i służył księdzu do niej. Wreszcie coś o tym zaczęto mówić na uniwersytecie.

Studenci wyższych uczelni radzieckich są podzieleni na grupy w celach naukowych i wychowawczych. Każda grupa ma swego opiekuna, przeważnie spośród docentów lub asystentów, który

na oszuwać nad nauką i ideologią swoich studentów. Raz ów opiekun zgromadził swoją grupę. Zaczął rozwodzić się nad tym, że jest rzeczą nie do wiary lecz niestety prawdziwą, iż są jeszcze studenci, którzy wierzą w Boga i modlą się. Ale to już jest prawdziwy skandal, że znajdują się nawet studenci, którzy służą popowi podczas nabożeństwa. Wszyscy studenci zrozumieli, że ich opiekun śpiewa do Witolda, choć go nie wymienił po nazwisku.

Cóż na to Witold? Nie milczał bynajmniej. Wstał i całkiem spokojnie powiedział: "Oświadczam, że ja wierzę w Boga i do końca życia nie przestnę wierzyć w Niego." Powiedział i usiadł, a jego koledzy, wśród których nie było ani jednego katolika, nagrodzili go oklaskami za odwagę i stanowczość, co im zaisponowało. No, a biedny opiekun - jak mówią po rosyjsku - "ostał się durakom" - został się dumiem ...

Jak mi jeszcze opowiadał ów litewski ksiądz, Witolda wcale nie wyrzucili za to z uniwersytetu i mógł on dalej kontynuować swoje studia.

Przykład szósty. Z jednego z większych miast syberyjskich przyjeżdża na parę dni do Karagandy młody, niespełna trzydziestoletni inżynier, Niemiec i katolik, z poślubioną już przedtem małżonką, również Niemką i katoliczką. Przywieźli do chrztu swoją pierworodną już dwuletnią córeczkę. Oboje się wyświadczyli i pobornie przyjęli Komunię św. Inżynierowi nadały niemieckie imię Fryderyk, a jego żonę nazwiemy Gertrudą. Zaprzyjaźniłem się z tą bardzo miłą i wizerową parą małżeńską. O ile Fryderyk jest całowickim z wyższym wykształceniem, o tyle Gertruda ustępuje mężowi pod każdym względem, bo ukończyła zaledwie 5 czy 6 klas szkoły podstawowej.

Rozmawialiśmy z nimi we troje. Zapytałem Fryderyka: "Czy jesteś zadowolony z tego, że wziąłeś za siebie żonę o tyle ^{nie} wykształconą od siebie? Otrzymałem od Fryderyka taką odpowiedź: "Tak, jestem nawet bardzo zadowolony z tego, że ożeniłem się z Gertrudą. Mnie nie potrzeba jakiejś żony uczonej. Ja potrzebuję żony wierzącej i pobożnej. Moja matka i jej matka są proste, nie uczone, ale one nas dobrze po katolicku wychowały. Ja chcę mieć taką żonę, która potrafi nasze dzieci wychować nie gorzej od naszych matek, które nas tak dobrze wychowały". Zapytałem Gertrudę: "A ty czy jesteś zadowolona ze swojego uczonego męża?" Gertruda śmiejąc się odpowiedziała: "Tak, i ja jestem z niego całkiem zadowolona i wcale się go nie boję, choć jest taki uczony".

Jestem pewien, że Fryderyk i Gertruda naprawdę dobrze, prawdziwie po katolicku wychowują ochrzczonej przez mnie córeczkę.

Przykład siódmy. Przychodzi do mnie staruszka, Polka, długoletnia już wdowa i płacze. Było czego płakać. Staruszka ta, nazwijmy ją Doloroza (bolesna) - wczesnie straciła męża. Pozostała sama z czworgiem dzieci małych. Doloroza była wtedy młodą, silną i energiczną kobietą, nie bała się roboty. W ciężkich wojennych i pierwszych powojennych latach pracowała dosłownie całymi dniami. Często brała roboty nadliczbowe. Dzięki swej nieprzełomnej zdolności do pracy i pracowitości zarabiała niemało, dała swym dzieciom utrzymanie i wykształcenie. Troje z czworga dzieci - starszy syn i 2 córki - mają pełne średnie wykształcenie. Młodszy syn zdobył sobie nawet wyższe wykształcenie. Doloroza mówiła mi, że przez długie lata była

dzuma, iż sama jedna bez męża dała swym dzieciom lepsze wycho-
wanie, niż wiele innych matek razem z mężami. A jednak Doloroza
płakała i gorzko płakała, gdy wtedy do mnie przyszła tylko z
powodu swych rzekomo dobrze wychowanych dzieci. Płacząc mówi-
ła mi: "Teraz dopiero rozumiem swój błąd. Ja dbałam tylko o
ciało swoich dzieci a zaniedbałam ich duszę. Teraz ja to rozu-
mie^m, ale jest już za późno". Odpowiedziałem jej, że nigdy nie
jest za późno się modlić, wytrwale wzywać miłosierdzia Bożego.
A jednak błąd tej matki był zasadniczy i bez szczególnej ka-
zki Bożej niemożliwy do naprawienia.

Sama Doloroza jest niewątpliwie wierzącą i praktykującą
katoliczką. Pragnie ona, by jej dzieci i wnuki były też takimi.
A jak jest w rzeczywistości? Kogo ona wychowała? Jedną ateist-
kę i troje takich, których można by nazwać półateistami, jak
to mówi: "Ni to, ni sio".

Obaj synowie poženili się z Rosjankami, obie córki wy-
szły za mąż za Rosjan, oczywiście bez ślubu kościelnego. Star-
sza córka wyszła za mąż za człowieka partyjnego. Pod wpływem
męża sama się stała zajadłą ateistką. Swój matce mówi takie
ateistyczne mądrości: "Jaka ty jesteś zacofana, że się jeszcze
modlisz. Nie rozumiesz, że to jest głupota i strata czasu".
Młodsza córka i obaj synowie nie są ateistami, ale daleko im
do tego, by można ich nazwać wierzącymi praktykującymi katoli-
kami. Znam osobiście młodszego syna z wyższym wykształceniem.
Jest on sympatycznym młodym człowiekiem. Do matki mówi inaczej
niż jego bezbożna siostra. Oto jego słowa: "Ty nemoś modli się,
ile tylko chcesz. Proszę ciebie, modli się także i za mnie. Ale
nie wymagaj ode mnie, żebym ja się modlił. Teraz są inne cza-
sy, a ty tego nie rozumiesz".

Różnica w postawie brata i siostry jest tu widoczna. Tym niemniej ani jedno z czworga dzieci Dolorozy nie modli się i nawet nie myśli o modlitwie, a o wnukach "szkoda gadać". Dolorosa w swoim czasie nauczyła swoje dzieci modlić się, ale ich nie pilnowała. Modlitwa dzieci była u niej na ostatnim planie. Praca, wyżywienie, odzienie, szkoła, gospodarstwo domowe, a czy dzieci modlą się czy też nie, o tym nie myślała i sama razem z nimi się nie modliła. Aż się doczekała ...

Przykład ósmy. Dwa lata temu zmarła staruszka, Polka, tak jak Dolorosa długoletnia już wdowa. Ta zmarła staruszka nazywać się będzie u nas Feliksa (szczególnie). W życiowych dziejach Feliksy i Dolorozy jest wiele wspólnego: Obie Polki, obie niemalże rówieśnice, obie wczesnie owdowiały. Dolorosa bez męża wychowywała czworo dzieci, a Feliksa troje: dwóch synów i córkę.

Feliksa przed śmiercią długo i ciężko chorowała. Kilka razy odwiedziłem ją podczas tej rozwlekłej choroby. Zawsze mi powtarzała to samo: jak bardzo jest wdzięczna Bogu za to, że jej rodzina pozostała polską i katolicką. W swoim czasie bardzo żałowała, że jej dzieci mają tylko niepełne średnie wykształcenie. Ale teraz sama widzi, że to nieważne, w obliczu śmierci raduje się, że wszyscy w rodzinie uważają się za Polaków i katolików, wierzą i modlą się.

Jak Dolorosa miała czego płakać, tak Feliksa miała czego się radować. Jej córka jest wdową. Ze zmarłym mężem brała ślub kościelny. Ma troje dzieci, które się modlą, chodzą do spowiedzi i Komunii św. Starszy syn, czyli wnuk Feliksy, już się ożenił z młodą polską panienką. Młoda para ma ślub kościelny. Oba synowie Feliksy poślubili dobre i pobożne Polki. Dzieci obu tych par małżeńskich otrzymują od swoich rodziców staranne wy-

chowanie religijne. Cała ta rodzina bardzo chętnie i pilnie uczęszcza na Mszę św., jeśli tylko ksiądz ją odprawia w pobliżu.

W jaki sposób Feliksa osiągnęła takie rezultaty wychowawcze, które trzeba uznać za znakomite w głębi kraju ateistycznego? Wszak Feliksa wychowywała dzieci bez kościoła, bez księdza, bez Mszy św., bez spowiedzi i Komunii św. Feliksa była mądrą i pobożną. W jej rodzinie na pierwszym miejscu była modlitwa. Codziennie modliła się głośno razem z dziećmi. Bardzo dużą rolę wychowawczą odegrał w tej rodzinie śpiew religijny. Sama Feliksa w młodości śpiewała w chórze kościelnym. Miała ona wspaniałą pamięć, a przy tym dobry głos i słuch. Znała ona na pamięć bardzo wiele pieśni i współcześnie śpiewanych i starych, dziś zapomnianych a nieraz bardzo pięknych. Feliksa potrafiła zainteresować swoje dzieci śpiewem religijnym. Po dziś dzień obaj jej synowie i córka należą do najlepszych śpiewaków wśród naszych karagandyńskich Polaków. Stawiam ich zawsze w pobliżu ołtarza, żeby sami śpiewali i innym pomagali dobrze śpiewać.

Tak, Feliksa mogła spokojnie umierać, bo zasłużyła sobie na to trudem całego życia. Zawsze prowadziła swoje dzieci do Boga a Bóg pobłogosławił zbożnym poczynaniem tej dobrej matki.

Przykład dziewiąty. W pewnym mieście, do którego przyjechałem podczas jednej z moich podróży masyjnych, miejscowa milicja dowiedziała się, gdzie ja odprawiałem Mszę św. Znalazłem się wówczas w niskich tarapatach, o których będę jeszcze opowiadał w trzeciej części tego pisma. Naczelnik milicji wezwał do siebie gospodynię tego domu. Była to kobieta lat wówczas około 35-ciu, Niska, pobożna katoliczka, dobra żona

i matka trojga dzieci. Imię jej będzie u nas Bonifacja (dobrze czyniąca). Najstarszy jej synek miał wówczas 14 lat i chodził do siódmej klasy. Nazwisko go Pius (pobożny).

Naczelnik milicji czynił Bonifacji ostre wyrówki za to, że przyjęła "papa" w swym domu, a szczególnie za to, że modli się z dziećmi. Zażądał od niej, by mu obiecała, że dzieci przestaną się modlić. Bonifacja stanowczo odmówiła. Wtedy naczelnik milicji zaczął grozić, że każe odebrać jej dzieci i oddać je do "diatdosa" czyli sierocinca, gdzie ona zostanie wychowana na uczciwych obywateli Związku Radzieckiego. Bonifacja dała mu taką odpowiedź: "Jeżeli nawet wy odbierzecie dzieci od ich rodzonej matki, to my mamy jeszcze drugą Matkę w Niebie, Bożą Rodzicielkę (Bogurodzica). Ja się będę do Niej za moje dzieci modliła, a tej Matce i wy nie zdokacie odebrać moich dzieci". Przyznać trzeba, że jest to odpowiedź godna zapisania w sktch męczenników.

Warto tu wyjaśnić, że to były czcze pogróbki tego milicjanta, który na próżno usiłował zastraszyć mądrą Bonifację. Prawo radzieckie bynajmniej nie pozwala odbierać dzieci matce za to, że ona się z nimi modli. Wolno to uczynić, jeżeli rodzice - jak to bywa u niektórych skrajnych sekciarzy - odmawiają posyłać dzieci do szkoły, lub jeżeli rodzice są całkiem zdemonializowani, np. oboje są nałogowymi pijakami.

Oprócz naczelnika milicji wzywał jeszcze do siebie Bonifację dyrektor tej szkoły, do której chodzi dwoje starszych jej dzieci. Dyrektor rozmawiał z Bonifacją w całkiem grzeczny sposób. Usiłował ją przekonać, że jest rzeczą szkodliwą dla wychowania, gdy dziecko słyszy co innego w szkole - a co innego w

domu. Według tego "światodawcy" właśnie dla dobra swoich dzieci Bonifacja powinna zrezygnować z ich religijnego wychowania, a sama może się modlić, ile tylko zechce.

Bonifacja wysłuchiwała cierpliwie dyrektorskich tyrad i oczywiście niczego nie obiecała.

Dyrektor wezwał także do siebie 14-letniego Piusa i wyjaśnił mu, że on jako przyszły budowniczy komunizmu powinien odrzucić przez wiarę i modlitwę. Pius także wysłuchiwał pana dyrektora i także niczego nie obiecał.

Odpowiedź Bonifacji i Piusa na te wszystkie tentacje była następująca: mniej więcej pół roku po tych wydarzeniach Bonifacja i Pius wyjechali do Karagandy, zaraz się zgłosili do mnie, oboje się wyświadcili i przyjęli Komunię św.

Upłynęło 5 lat. Na wesela ^{su} mojej ojcowskiej siostry (oczywiście po ślubie kościelnym) znowu przyjechał do Karagandy Pius, tym razem jednak sam bez matki. Pius był już 19-letnim młodzieńcem. Ukończył całą szkołę średnią. Już zaczął pracować zawodowo. I znowu zgłosił się do mnie, znowu się wyświadczył i przyjął Komunię św. Na weselu zrobił wrażenie wprost budujące. Kateforycznie odmówił picia wszelkich napojów alkoholowych, nawet piwa. Okazało się, że Pius nie umie tańczyć. Panienki próbowały go uczyć sztuki tanecznej, ale on nie zdradzał zapachu także i do tańców.

Niło jest spotkanie i to jeszcze w głębi Związku Radzieckiego, takiego młodzieńca jak Pius. Ale czy on byłby takim gdyby jego matką nie była Bonifacja?

Przykład dziesiąty. Osiedla się na stałe w Karagandzie pewna niemiecka rodzina. Przyjechali oni z daleka i nigdy nie

widzieli żadnego księdza, nie mówiąc już o kościele. Była to rodzina bardzo zaniedbana. Ojciec i matka tej rodziny, ludzie w średnim wieku, żyli bez ślubu. Ojciec był luteranem, matka katoliczką. Starsza córka była zamężna także za luteranem i także bez ślubu. Oprócz nich było w tej rodzinie jeszcze troje dzieci młodszych: dwóch chłopców i dziewczynka. Te dzieci nie były nawet ochrzczone. Jest jednak zasługą matki tej rodziny, którą nazwiemy Konstancją (stała), że wkrótce po przyjeździe do Karagandy zgłosili się do księdza.

Było z tą rodziną bardzo dużo roboty. Trzeba ich było przede wszystkim uczyć wiary i modlitwy - bo niczego nie wiedzieli. Troje dzieci przyjęło uroczystie chrzest. Do pierwszej Komunii św. przystąpiło ich pięcioro: oprócz trojga dzieci także ich starsza siostra zamężna oraz sama matka Konstancja, która przedtem nigdy w życiu się nie spowiadała. I matka i córka zawarły ślub kościelny ze swoimi mężami, którzy wprawdzie nie przyjęli katolicyzmu, ale bardzo chętnie uczestniczyli w nabożeństwach katolickich.

Konstancja się rzeczywiście nawróciła. Z biednej zaniedbanej radzieckiej "grażdanki" stała się pobożną katoliczką i gorliwą matką chrześcijańską. Pod jej kierownictwem dzieci rosły i wcale nie zaprzestawały się modlić, jak to jest w rodzinach niedbanych. Dzieci modlą się systematycznie i często, a zawsze chętnie przystępują do Sakramentów świętych. Starsza córka jest teraz pobożną młodą kobietą, dobrze i zgodnie żyje z mężem i wychowuje dwoje małych dzieci. Młodsza córka wyrosła na miłą inteligentną i pobożną panią. Starszy syn odbywa obecnie służbę wojskową. Kiedy przyjechał na urlop do Karagandy, zaraz z tego skorzystał by się wyspowia-

dać i przyjąć Komunię św. Młodszy synek póki co najbardziej się interesuje futbolem, ale już pami Konstancja cała skutecznie nad tym, by on wśród futbolowych emocji nie zapomniał o Bogu i modlitwie.

Wszędzie, a tym bardziej w Związku Radzieckim, bywają w pracy duszpasterskiej zawody, bywają i pociechy. Konstancja i jej rodzina sprawiają pociechę i to niezłą!

Przykład jedenasty. Dzieło się to w Karagandzie w styczniu 1959 roku już po moim trzecim uwięzieniu - podczas śledztwa. Sędzia śledczy w stopniu kapitana, był to człowiek^{ik} z natury spokojnyⁿⁱ, a wobec mnie zawsze grzecznyⁿⁱ. Otóż sędzia śledczy urządził konfrontację moją z bohaterką tego przykładu, którą będziemy nazywać Audacją (odważna). Panna Audacja, osoba w owym czasie mniej więcej 30-letnia jest Nieską, a przedtem była Interanką. Pod wpływem swojej pobożnej katolickiej przyjaciółki przyjęła katolicyzm i ja ją ochrzciłem. I od samego chrztu stała się Audacja przekonaną i pobożną katoliczką. Nie wiem, dlaczego urządzono mi konfrontację właśnie z nią. Przymuszalnie chciało od niej wydebyć zeznanie, że ja ją przymusiłem do chrztu i że ja przymusowo "nasadzałem" katolicyzm w Kazachstanie.

Audacja weszła na konfrontację z podniesioną głową. Od razu widac było, że nie się nie boi. Sędzia śledczy zaczął pisać protokół konfrontacji. Nie wiem, co on tam napisał - lecz wiem, że jego dialog z Audacją brzmiał tak:

Sędzia śledczy po zapisaniu personalnych danych: "Czy ty jesteś znajoma z Bukowińskim?"

Audacja (ostro i głośno): "Tak, ja jestem z nim nawet bardzo dobrze znajoma."

Sędzia śledczy: "W jakich stosunkach byłeś z Bukowin-
skim? Czy wasze stosunki były dobre, czy też między wami były
nieporozumienia i jakie?"

Audacja (jeszcze głośniejszy i ostrzejszy): "Tak, nasze sto-
sunki zawsze były dobre, a nawet bardzo dobre, i inaczej być
nie mogło, bo on jest bardzo dobrym i spokojnym człowiekiem.
Ale ja mam tu do was pytanie: dlaczego wy aresztujecie ta-
kiego dobrego człowieka? Tutaj w Karagandzie kobieta nie może
wieczorem spokojnie przejść przez ulicę. Kręci się pełno ob-
liganów, którzy zdzierają palta, a wy ich nie aresztujecie.
Za to aresztujecie takiego człowieka jak Bukowinski. Tego to
już ja nie mogę pojąć."

W takim duchu odpowiadała dalej nieustraszona Audacja.
Oczywiście konfrontacja skończyła się na niczym. Audacja wy-
szła tak jak weszła - z podniesioną głową. Zostaliśmy w poko-
ju z sędzią śledczym we dwoje. Pan sędzia śledczy tak podsumo-
wał swoje wrażenie z konfrontacji:

"Widzicie, co to za kobieta! To "nastojaszczka", fanstycz-
ka, z którą nawet nie można spokojnie rozmawiać! - Da Bukowin-
skij, ty mnogo naroda isportil". - "Tak, Bukowinski, wy zdemo-
ralizowaliście wiele ludzi!"

Przykład dwunasty. Dnia 7 października 1969 roku, w
święto Matki Boskiej Różańcowej, zmarła w Kamieńcu Podolskim
w wieku 53 lat pewna samotna niewiasta. Musiała ona być wielce
zasłużoną dla Kościoła, bo w jej pogrzebie wzięło udział pię-
ciu księży katolickich, co jest w warunkach radzieckich rzeczą
niebywałą.

Zmarła nazywała się Julia Bojarska.

Dzisiejsze życie Julii Bojarskiej są charakterystyczne i

dla wielu innych niewiast w tym kraju. Pochodziła ona z Kamieńca Podolskiego. Urodzona w 1916 roku, w młodym wieku wyszła za mąż za pewnego również młodego Rosjanina, - bez ślubu kościelnego. Po kilku miesiącach mąż porzucił ją. Nigdy już potem Julia nie chciała wychodzić za mąż. Tymczasem aresztowano jej ojca i braci i wywieziono z Kamieńca już na zawsze. Pozostały one dwie: Julia i jej matka już staruszką, bo Julia była jej najjałodziejym dzieckiem.

Kiedy latem 1944 roku przybyli do Kamieńca posłani przez księdza biskupa Szelązka: ksiądz Kanonik Kukuruziński i ksiądz Benia, Julia od razu zaczęła im pomagać w pracy. Już przedtem zresztą pomagała w pracy i nie tylko w pracy, mieszkającemu prywatnie w mieście starszemu - księdzu prałatowi Władysławowi Dworzeckiemu.

Po aresztowaniu księży Kukuruzińskiego i Benia w końcu grudnia 1944 roku, Julia zorganizowała systematyczną pomoc żywnościową dla nich, dla księdza Biskupa Szelązka oraz dla księży Gańczewskiego, Kuczyńskiego i dla mnie, bośmy się zostali bez własnych parafian, którzy wyjechali z województwa wołyńskiego na zachód. Wprawdzie paczki żywnościowe pozyskane nam przez Julię najpierw do więzienia, a potem do obozów pracy przymusowej bywały podpiływane przez różne osoby, jednak Julia w swej gorliwości nie zważała na związane z tym niebezpieczeństwa.

W 1948 roku aresztowano Julię Bojaraką. Oczywiście chodziło o nasze paczki żywnościowe. Julia i na śledztwie i na sądzie broniła się odważnie i usięjętnie. Była ona z zawodu buchalterką i bynajmniej nie należała do prostaczków. Na śledztwie i na sądzie wciąż się powtarzał taki mniej więcej dialog:

Oni: "Dlaczego ty posyłałaś paczki?"

Julia: "Ja nie robiłam nic nielegalnego. Posyłałam paczki jawnie przez pocztę i otrzymywałam oficjalne pokwitowanie odbioru z każdego obozu pracy, do jakiego paczka była wysłana."

Oni: "Tak, ale ty powinnaś wiedzieć komu ty te paczki posyłałaś."

Julia: "Posyłałam księżom, którzy dla nas pracowali i są naszymi ojcami duchowymi."

Oni: "I to mówisz ty - obywatelka radziecka! Ty posyłałaś paczki katolickim księżom, agentom Watykanu, najgorszym wrogom Związku Radzieckiego?"

Prokurator zasądził dla Julii 8 lat pozbawienia wolności.

Julia powiedziała sądowi, że ma na utrzymaniu matkę, samotną staruszkę, która bez niej przepadnie, po czym Julia głośno się rozpłakała. Sąd skazał Julię na 5 lat pozbawienia wolności. Była to wówczas kara minimalna, tzw. "diabski urok", bo zazwyczaj skazywano "politycznych" na 25 lat.

Julia pojechała do wielkiego żeńskiego obozu pracy położonego na brzegu rzeki Peczory w północno-wschodniej części Rosji Europejskiej. Opieka Opatrzności nad nią i jej matką przejawiała się wręcz widocznie. Julia chodziła do pracy poza obozem tylko kilka pierwszych tygodni, potem zaproponowano jej objęcie kierownictwa pralni obozowej. Przedtem w tej pralni były kradzieże i inne nadużycia. Julia objęła kierownictwo pralni i wszystko doprowadziła do porządku. W dowód uznania dano jej na mieszkanie osobny mały pokój. Julia przywiesiła obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej nad łóżkiem i w wolnych chwilach modliła się ile tylko chciała.

I tak w tej pralni Julia spokojnie i prawie za wygodnie dożyła do końca swojej "pięciolatki", a następnie wróciła do

swojej Mamusi do Kamienca.

Jak nad córką, tak i nad matką widocznie czuwała Opatrzność Boża. Kamienieccy katolicy otoczyli staruszkę troskliwą opieką, tak iż przez córki no i zdrowia nie jej nie brakowało. Staruszka doczekała się powrotu córki z obozu, pozżyły one razem jeszcze 2 lata, po czym staruszka zmarła pobożnie w obecności swej córki i opiekunki.

Julia osamotniona po śmierci matki, mieszkała nadal w swym rodzinnym Kamieńcu Podolekim, gdzie miała po rodzicach własny domek z sadem i ogrodem. W kamienieckiej społeczności katolickiej (nie mającej swojego kościoła i księdza z powodu uperozywego oporu władz), Julia była szczególnie szanowaną i lubianą. Często jeździła autobusami do okolicznych kościołów, a zwłazszcza do Czerniowiec, do Borszczowa i do Hrecznej koło Poekirowa.

W ostatnich latach życia dużo się naciępiła przez chorobę. Była zbyt otyła i miała silnie opuchnięte nogi. wysłuxywała sobie śmierć chrześcijańską i piękny pogrzeb. Ja osobiście nie opłakuję Julii. Modlę się za Nią i będę się modlił w przyszłości. Bóg skrócił jej cierpienia na ziemi i przyspieszył osiągnięcie dobrze zasłużonej nagrody wiekiustej! Ale i wy, moi czytelnicy, poświęćcie się czasem za św. panią Julię Bojaraką ...

Skoro już rozważyliśmy życie i śmierć Julii Bojarakiej, to pragnąłbym poinformować swoich Przyjaciół, że i ja sam dwa razy w życiu przeżywałem śmierć. Myślałem, że już zaraz leda chwilkę umrę. Pierwszy raz było to dnia 23 czerwca 1941 roku, a drugi raz dnia 6 kwietnia 1949 roku.

Dnia 23 czerwca 1941 roku, na drugi dzień niemiecko-radzieckiej , znajdowałem się w więzieniu w Lucku. Tego dnia były tam krwawe i tragiczne zajścia, a mianowicie masowe rozstrzelania więźniów. My wszyscy, którzyśmy szczęśliwie zostali przy życiu, także leżaliśmy na dziedzińcu więziennym pod gradem kul.

Uważam za zbyt długie szczegółowo to opisywać. Wszak żyją w Polsce tacy co przeżyli tę straszliwą masakrę. Natomiast uważam za wskazane opisać Wam tylko jeden moment.

Kiedy leżałem na dziedzińcu więziennym pod kulami, byłem aż dziwnie spokojnym. Całe moje wówczas 36-letnie życie skuroczyło się do jakiejś znikomej chwili. Udzieliłem jeszcze rozgrzeszenia moim sąsiadom, leżącym obok mnie na ziemi. Myśl moja pracowała bardzo intensywnie. Przeżywałem konieś doczesności i brząsek wieczności. Było to przeżycie niewypowiedziane wzniosłe, absolutnie niemożliwe do zapamiętania. Nie wiem co by się ze mną stało, gdybym odczuł ból rany. Ale nie było żadnego bólu ciała, a duch krążył swobodnie między doczesnością a wiecznością, jak nigdy przedtem i potem w życiu.

W trzy dni później byłem już na wolności.

Dnia 6 kwietnia 1949 roku znajdowałem się w szpitalu obozowym w Człabińsku, bo byłem bardzo ciężko chory na zapalenie płuc. Choroby tej można było uniknąć. Codziennie chodziłem na robotę, lecz byłem bardzo silnie przeziębiony, kaszlałem uporczywie i czułem się fatalnie. Niejednokrotnie prosiłem o zwolnienie z pracy, którego wciąż mi odmawiano, bo nie było podwyższonej temperatury. Aż pewnego dnia wróciłem z pracy do obozu rozpalony wysoką temperaturą i miotany dreszczami. Zaraz po powrocie z pracy udałem się do szpitala obozowego. Zmierzone mi temperaturę. Było 40,6 stopni.

Leżałem w szpitalu już mniej więcej tydzień. Z każdym dniem czułem się coraz gorzej, coraz słabiej. Nie było silnych bólów, ale ta słabość niewyobrazalna ...

Aż wreszcie, było to 6 kwietnia wieczorem, poczułem, że umieram. Byłem tak słaby, że trudno było myśleć ale raczej podświadomie zjawilo się skojarzenie z przeżywaniami rzekomo zbliżającej się śmierci, tam w Łucku na dziedzińcu więziennym. Jakaś tęsknota do podobnych wzniosłych przeżyć ... Tymczasem nic z tego! Sama tylko słabość, ta niewypowiedziana słabość i raczej apatia. Z rzadka i z trudem westchnienia "O Boże!" I to wszystko, więcej nie!

Później kiedy już wyzdrowiałem, jeden z więźniów lekarzy powiedział mi jak bardzo się obawiał, że ja tej nocy umrę. Nie umarłem jednak. Od owej nocy minęło już 20 lat.

Przez tych 20 lat przygotowałem wielu, nawet bardzo wielu na dobrą chrześcijańską śmierć. Niemalże już z nich umarło po chrześcijańsku. Nie zapominajmy nigdy o śmierci i o wieczności - tak jak nam to doradza Pismo święte:

"Bez przestanku rozważaj swoje rzeczy ostateczne,
a nie zginiesz na wieki!"

- - - - -

Właściwie to w tym miejscu powinienem skończyć drugą część tego pisma, zatytułowaną: do moich przyjaciół. Ale nie mogę jeszcze kończyć.

Dotychczas mówiliśmy o Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej, o Rosji i o dalekich Kresach azjatyckich. Teraz pomówimy o Krakowie.

Mieszkałem w Krakowie równo 10 lat. Przez pierwszych 5 lat (1921-26) byłem studentem wydziału prawnego Uniwersyte-

tu Jagiellońskiego, a następnie 5 lat (1926-31) studentem tego wydziału teologicznego. W Krakowie otrzymałem święcenia kapłańskie i zostałem księdzem. W Krakowie zrodziła się przyjaźń z wieloma Adresatami tego pisma, a w szczególności naszą jedyną w swoim rodzaju Kołową. Kraków zaciążył decydująco, a także dobroczynnie na całym moim życiu. Kraków i Uniwersytet Jagielloński, bo łączy je u mnie związek nierozdzielny.

Szczególnie dla mnie jest cennym, że mój związek z Uniwersytetem Jagiellońskim jest poprzez 2 wydziały: prawny i teologiczny. Bo Uniwersytet był jeden, lecz w jego ramach wiedłem zupełnie inny rodzaj życia jako świecki student wydziału prawnego, który dopiero po trzecim roku studiów uświadomiłem sobie powołanie kapłańskie, a zgoła inny tryb życia jako kleryk na wydziale teologicznym.

Co dał mi Kraków i Uniwersytet Jagielloński podczas studiów na wydziale prawnym? Nie darmo nazwano Kraków narodowym państwem Kościoła. Wielka tradycja dziejowa przemawia w Krakowie na każdym kroku. Jeżeli Warszawa więcej jest związana ze schyłkowym okresem dawnej Rzeczypospolitej, to Kraków wiąże się z okresem najświetniejszych naszych dziejów. Częściowo z okresem Kazimierzowskim, lecz nade wszystko z okresem Jagiellońskim. Nie darmo nasz Uniwersytet ma za pierwszego założyciela Kazimierza Wielkiego, a nosi miano Uniwersytetu Jagiellońskiego!

Kraków i Uniwersytet Jagielloński dał mi cześć i umiłowanie tradycji dziejowej, - tego co w niej jest wielkie, wzniosłe i piękne. Lecz równocześnie Kraków i Uniwersytet Jagielloński dał mi zrozumienie i umiłowanie wolności, i to wolności wszechstronnej - nie tylko wolności politycznej, społecznej

czy ekonomicznej, lecz nade wszystko wolności sumienia i wolności przekonań. Jakże to było kształtującym i budującym, że w czeligołnych murach naszego Uniwersytetu kwitła prawdziwa wolność słowa, ścierały się diametralnie różne zdania i poglądy, a jeśli nie zawsze, to najczęściej w naprawdę kulturalnej atmosferze. Czyż tak właśnie nie było także i w naszym Kole? Czyż dobrze nam znana różnica w naszych poglądach byłaby nam przeszkodą w naszej Kołowej pracy? A i w "Odrodzeniu", w którym zresztą mój udział był za mało pogłębiony, było to samo i cześć dla tradycji i poszanowanie wolności.

Mało tego! I na Wydziale Teologicznym nie tylko cześć dla tradycji, co jest na tym wydziale same przez się zrozumiałym, ale równocześnie zrozumienie i poszanowanie wolności. Rektor krakowskiego Seminarium Metropolitalnego, Prałat Zygmunt Kulig, dbał o to by w czytelni kleryków były czasopiśma reprezentujące różne kierunki. Gdy były głosowania ogólnoakademickie, nikt nie krępował kleryków wolności w wyborze tej czy innej listy kandydatów. Ja sam podczas wyborów na ogólnopolski zjazd akademicki głosowałem jako kleryk na najbardziej lewicową spośród trzech zgłoszonych list, bo wolałem umiarkowaną lewicę niż "bogoojczyźnianą" a także bardzo płytką w swym stosunku do katolicyzmu endecję. Byli inni klerycy, którzy mieli podobne poglądy.

Oczywiście, że nie wydział prawny, tylko teologiczny, uformował mnie jako księdza i dał pogłębienie wewnętrzne niezbędne dla dość rozbawionego studenta, jakim wówczas byłem.

Na wydziale prawnym jak i teologicznym, jak zresztą i na innych wydziałach miałem szczęście spotkać Profesorów wprost uosabiających najlepsze cechy Krakowa i Uniwersytetu

Jagiellońskiego. Jedni z nich byli rodowitymi Krakowianami, inni pochodzili nieraz z dalekich Kresów, ale wszyscy oni godnie reprezentowali Uniwersytet Jagielloński i mieli dane, by dogłębnie wpływać na młodzież. Bo i na młodzież mogło to wszystko wpływać. Pewien kolega, który studiował na trzech uniwersytetach: w Krakowie, w Wilnie i w Warszawie - wyraził się trochę zartobliwie lecz bardzo trafnie, że krakowscy studenci są ze wszystkich największymi filozofami. Tak, że filozofem nie stanie się ten, którego karmią tylko jedną doktryną i który nie ma swobodnej i twórczej dyskusji i wymiany zdań. Oby nasz Uniwersytet Jagielloński pozostał zawsze wiernym sam sobie!

A co ja wyniosem z Krakowa, zawsze mi pomagało i pomaga tym - na jakże dalekim od Krakowa Wschodzie. Tam, gdzie długie lata spędzałem za kratami więzień i za drutami kolezastymi obcóz pracy przymusowej. Wszędzie tam to, co wyniosem z Krakowa, pomagało zachować godność osobistą i kapłańską. Pomagało szanować własne poglądy, ale też i cudze poglądy, jeśli one w ogóle były. Zdaje się, że nie dałem się nigdy zatruci nienawiścią i że miłość nieprzyjaciół nie była samą tylko piękną teorią w tym życiu na Wschodzie.

Obok Krakowa nie małą rolę odegrał w tym życiu Łuck. Przybyłem do Łucka jako do najbliższego mi w granicach międzywojennych Polski ośrodka Kresowego. Stałem się kapłanem diecezji Łuckiej i jestem nim po dziś dzień. Wielce sobie cenię przynależność do Łuckiej Kapituły Katedralnej, w Łucku znalazłem żywą i silną tradycję kresową oraz wielu Przyjaciół, którzy, ufam, że przeczytają te słowa.

Wielu moich Przyjaciół odeszło już od nas na wieki.
My starzy jesteśmy już u schyłku naszego ziemskiego życia.
Obyśmy wszyscy, czy tu, czy tam daleko na wschodzie - prze-
żyli je do końca w sposób godny naszych wielkich tradycji,
a przez to i pędny dla oczekującej nas niebawem wieczności.

łączę mnie z wami więzy powołania kapłańskiego i pracy duszpasterskiej. Ta nasza unifikowana praca duszpasterska, prowadzona w warunkach Związku Radzieckiego będzie tematem tej ostatniej, trzeciej części mojego pisma, wam szczególnie poświęconej.

Jak o tym już mówiliśmy, można Związek Radziecki podzielić na 3 sony, jeśli chodzi o pozycję Kościoła Katolickiego. Otóż naszym tematem będzie praca duszpasterska w trzeciej sonie - tam, gdzie nie ma żadnego biskupa i organizacji kościelnej, jak w pierwszej sonie - na Litwie i Łotwie - i nie ma żadnego kościoła rejestrowanego, ani żadnego księdza rejestrowanego, jak w sonie drugiej, obejmującej zachodnie części państwa radzieckiego.

Nie będzie to więc szkic "pastoralnej" dla całego Związku Radzieckiego lecz tylko dla owej trzeciej sony, rozciągającej się na całym obrządku obszarze tego państwa z wyjątkiem jego najbardziej zachodniej części.

Podstawą mojej "pastoralnej" będzie moja własna praca duszpasterska w Karagandzie, którą prowadzę już 12 lat /1954-55/ i /1961-69/. Będę jednakże uwzględniał także i pracę innych księży na tym terenie, a szczególnie pracę moich Przyjaciół, Bronisława Irzackiego i Józefa Kuczyńskiego.

Ponieważ inaczej wygląda moja praca u siebie w domu w Karagandzie i w najbliższej okolicy, a inaczej podczas podróży misyjnej, stąd wynikają tematy tej 3-ciej części mojego pisma. Będą one następujące:

1. Praca duszpasterska w Karagandzie a okolica.
2. Praca duszpasterska podczas wypraw misyjnych.
3. Historia uwięzienia 3 polskich duszpasterzy kazachstańskich.

Dawno często księż^e stawiają mi pytanie: jak można uprawiać duszpasterstwo bez Kościoła? Można!. O tym szczegółowo opowiem. Weszłam na 12 lat mojej pracy tam w Karagandzie tylko 1 rok miałem kościółek, a na 11 lat pracuję bez żadnego kościoła lub domu modlitwy.

Był czas, że zaczęto w różnych miejscowościach otwierać małe kościółki, raczej k a p l i c z k i, ale bez zezwolenia władz państwowych.

Informuję jak to było w Karagandzie. Trzeba wiedzieć, że był czas, kiedy w naszej Karagandzie było na zesłanie kilkunastu księży katolickich, było to w latach: 1955-56-57-..

Jeden z tych księży, Litwin, dobrze władający niemieckim językiem, uruchomił wiosną 1956-go roku taki kościółek dla Niemców w Śródniościu lecz nie w jego reprezentacyjnej części. Zachęcony jego przykładem, ja przyczyniłem się do otwarcia kościółka dla Polaków na przedmieściu gdzie ich najwięcej mieszka. Równocześnie jeden ksiądz, Ukraińiec, postarał się o kościółek greko-katolików, także w nie reprezentacyjnej części Śródniościa.

Jak się to odbywało? Bardzo prosto! Mierni składali ofiary, kupowano dom. Usuwano kilka wewnętrznych ścian i w ten sposób z kilku małych pokojów powstawał jeden wielki pokój lub jak kto woli - mała sala. Wystawiono i urządzono ołtarz, podczas poświęcono kościółek i rozpoczynano w nim odprawiać nabożeństwa, a wciąż dalej starano się lepiej zaopatrzyć i ozdobić swój raczywiście uulowany kościółek.

Miastety, wszystkie 3 kościółki w Karagandzie były bardzo krótkowieczne. Najpierw, wiosną wiosną 1957-go roku władze zamknęły kościółek ukraiński, w maju tego roku niemiecki, a na ostatku 4-go lipca polski. Ten polski kościółek w Karagandzie pracował równo rok. Ksiądz Józef Kuczyński poświęcił go 29 czerwca 1956-go roku, a już 4 lipca 1957-go roku nasz biedny kościółek zakończył swój krótkotrwały żywot, został przez władze zamknięty i nawet opieczętowany, a jak opłakany, to chyba Bóg tylko wie.....

Mieca dłużej nie zamykali kościółka, w którym pracowali ksiądz Bronisław i ksiądz Józef. Były one wcale bogato zaopatrzone i ładnie ozdobiane.

Kościółek Bronisława był we wsi Zielony Śaj, położonej 80km. na zachód od Delinogrodu, do niedawna zwanego Arzolińskinem.

Kościółek ten istniał z górą 3 lata: od końca 1955 roku do początku 1959 roku, został zamknięty po aresztowaniu Bronisława.

Kościółek Józefa był w miasteczku Tainca obwodu Kokosotawskiego, paraset kilometrów na północ od Delinogrodu. Kościółek ten zaczął pracować później, niż u Bronisława, bo dopiero latem 1956 roku, ale też został później zamknięty, nie od razu po aresztowaniu ks. Józefa. Jeszcze przez dłuższy czas potem ludzie zbierali się w swoim kościółku i modlili się, ale już bez księdza.

Były też kościółki i w innych miejscowościach azjatyckich, na przykład w osiadku C z u po drodze z Karagandy do Alma - Aty i w miasteczku K a n t koło miasta Frunze w Kirgizji.

Wszystkie one zostały otwarte bez zezwolenia władz i wszystkie zostały porazykane.

W wielu miejscowościach azjatyckich starano się u władz o zezwolenie na otwarcie kościółka lub domu modlitwy. Starania były bardzo

przewlekłe i zawsze bezskuteczne.

Dopiero pod koniec 1967 roku władze pozwoliły na otwarcie kościółka w **A l m a - t a i w K u s t a n a j u**. Nie była to żadna formalna rejestracja. Nie było nawet pozwolenia na piśmie. Otwarto na podstawie ustnego pozwolenia władz.

To dwa pierwsze w tych stronach legalne, choć nie zarejestrowane kościółki, istnieją po dziś dzień i pracują, ale bez księdza. Sprawdziłem w kościółku w Alma-Atie ksiądz pracował za ustnym pozwoleniem władz, ale go władze wypędziły z kościółka po pół roku. Dokładnie to samo się powtórzyło w kościółku w Kustanaju.

Przed moim wyjazdem do Polski przysłała wiadomość, że niemiecki ksiądz **Michał Köhler** otrzymał pozwolenie władz na pracę duszpasterską w **K i r g i s j i**. Prawdopodobnie jest to także ustne pozwolenie, a nie rejestracja, choć w Związku Radzieckim są możliwe wszelkie niespodzianki najczęściej in minus, czasem jednak, urządka in plus.

My w Karagandzie nie śpieszymy się teraz ze staraniem o kościółek bo lepiej i swobodniej da się duszpasterzować bez kościółka, niż w takim, wprowadzonym legalnym, lecz nie rejestrowanym kościółku. Oczywiście jednak nie jest wykluczoną ewentualność otwarcia takiego kościółka także i w Karagandzie.

Jakże więc wygląda moja praca duszpasterska bez kościółka w Karagandzie?

Jestem ustawicznie domokrącią. Nie urządzam żadnych większych nabożeństw u siebie w domu, bo bardzo łatwo mogłyby władze "nielegalny kościół" mnie i moim gospodarzom. Jeżeli odprawiam **Mszę św.** u siebie, to przychodzi kilka pobożnych babek. "I wsio".

Całe moje duszpasterstwo dokonuje się w cudzych domach, lecz w żadnym wypadku nie w jednym domu, ale np. dopiero po pół roku, a nigdy zaraz następnym razem.

Nie każdy dom nadaje się do pracy duszpasterskiej. Najlepiej się nadaje domek jednorodzinny, położony na uboczu. Nie jest potrzebne sąsiedztwo kina, szkoły lub klubu, a jeszcze mniej wilicji. Trzeba wrócić baczną uwagę na to, żeby byli spokojni sąsiedzi. W takim domu można spokojnie się zebrać i nawet głośno śpiewać, byleby tylko były pozamykane drzwi i okna.

Mszę św. można w naszych warunkach odprawić rano lub wieczorem a dalej odprawian tylko **Mszę pogrzebową** przy zwłokach.

Zwyczaj odbywa się to tak: przychodzi po południu lub przed wieczorem. Przede wszystkim urządzam ołtarz. Jest nie zwykajny stół byleby tylko mocno stał i nie chwiał się. Stół przykrywa się białym obrusem. Na stół władnie się duże pudełko lub dwie grube książki, przykrywa się białą chusteczką i stawia krucyfik. Świece stawia się

w lichtarzach lub w ich braku w szklankach z solą. Powyżej zawieszona się 1 lub 2 obrazy - i ołtarz gotów. Następnie spowiadam. Mszę św. odprawiam o godz. 9 wieczorem, czasem z opóźnieniem. Po Mszy św. zwykle jeszcze spowiedź. Wreszcie krótki speckynnek nocny. Krótki, bo kładę się spać zwykle po północy, a już o godz. 5³⁰ lub 6-tej rano, rzadziej trochę później, jest poranna Msza św., a potem dalej spowiedź, bywają chrzty i namaszczenia olejami świętymi, bywają i śluby.

Najczęściej 1 Mszę św. odprawiam za żywych i członków rodziny gospodarzy, a 2-gą za zmarłych. Cała rodzina spowiada się zwykle dwa razy i wieczorem i rano przyjmuje Komunię św. Jakis to za znaczenie dla życia rodzinnego, tym więcej, że nie ma tam kościoła, każdy łatwo zrozumie.

Penitent to się powtarza wciąż na nowo w różnych domach i rodzinach, więc wypierają się częściej w cudzych łóżkach, niż na swoim własnym.

Zawsze jestem "u ludzi" w nocy z soboty na niedzielę, a u innych ludzi - w nocy z niedzieli na poniedziałek. Oprócz tego co najmniej jeszcze jeden raz w tygodniu powtarza się to samo w jakimś dzień powszedni, zwykle w środku tygodnia.

Oczwiciście mi przy tym zastosowanie przysłowia "Omnia mea mecum porto" - wciąż trzeba transportować z miejsca na miejsce wszystko, co jest niezbędne do odprawiania Mszy św. i do szafowania sakramentów.

Karaganda jest bardzo rozległa i rozrzucona. Moim ulubionym środkiem lokocacji jest samochód osobowy. Nie mam i nie mogę mieć własnego samochodu, czasem korzystam z dobroczynności niektórych parafian mających samochody, najczęściej jednak sam je oplatek. W ten sposób najłatwiej i bez zwracania nieczyjjej uwagi da się urzeczywistnić transport nie tylko samego "jagossia", lecz razem z nim i rzeczy kościelne.

Frekwencja wiernych na nabożeństwach w Karagandzie jest dość znacząca. W niedzielę przychodzi na Mszę św. nie mniej niż 100 osób. W dzień powszedni zbiera się około 50-ciu. W niedzielę wierni i bez księdza urządzą nabożeństwa, bo jest niemożliwym, by wszyscy byli na Mszy św. przez księdza odprawianej. Jeżeli mieszkanki jest ciasno to bywa bardzo ciasno i gorąco. Jeżeli jest obszerniejse to ludzie mieszczą się dobrze, tylko zazwyczaj nie wszyscy mogą widzieć ołtarz.

Zupełny karagandzki katolik czy katoliczka bywa na Mszy św. odprawianej przez księdza nie często, dobrze jak raz na miesiąc. "Ile za to dość duży procent obecnych spowiada się i przyjmuje Komunię świętą.

Życzenia wprowadzamy więcej święta narodowego do Mszy św..

łatwiej to iść z Mszą św. cichą, trudniej ze śpiewaną, bo brakowało nam tu do śpiewów naralnych w języku polskim i niemieckim. Niemcy śpiewają już "Vater unser" po niemiecku, a Polacy też śpiewają, tylko po polsku. W innych miejscowościach z umiejętnością śpiewania bywa bardzo różnie.

Trzeba sobie radzić z różnicą języków. Bywają wypadki, że na mszę św. przychodzi i Polacy i Niemcy razem. Wtedy robię tak: lekcję i ewangelie czytam w obu językach, na pierwszym miejscu w języku gospodarzy domu, a kazanie mówię po rosyjsku, bo ten język rozumieją wszyscy. Najczęściej mówię kazania i inne przemówienia w języku niemieckim, bo w Karagandzie jest więcej Niemców niż Polaków. Często również prowadzę po polsku i po rosyjsku, a czasem z rzadka po ukraińsku.

Pracy duszpasterskiej jest w Karagandzie dużo na miejscu ze stałymi mieszkańcami tego grocu. Przysparza pracy i to, że trzeba obsługiwać liczonych przyjezdnych. Nie tyle tu chodzi o przyjezdnych skądś z najbliższych okolic, bo oni przeważnie częściej się spowiadają. Chodzi przede wszystkim o przyjezdnych z daleka, którzy nieraz jadą tysiące kilometrów, byleby tylko znaleźć księdza.

Wśród ludności katolickiej bardzo szeroko rozszalała się fama, że w Karagandzie zawsze można znaleźć księdza. I ludzie jadą do księdza. Nie mówię już o samym Kasachstanie, ludzie jadą z południa, z republik Azji Środkowej czyli z byłego Turkiestanu. Jadą z północy, nieraz aż z Archangielska, choć stamtąd znacznie bliżej do Moskwy, niż do Karagandy. Jadą z zachodu, aż z Nowożyta. Jadą ze wschodu, aż z głębi Syberii. Nie zawsze jadą tylko do księdza. Jadą do krownych, ale czasem także do księdza.

Jakże często wśród tych podróży i nie tylko wśród nich, są tacy co nie spowiadali się bardzo wiele lat, bywa, że 20 lat, ale bywa, że nawet 40 lat! A może jeszcze częściej bywają tacy, co się nie spowiadali ani razu w życiu. Najstarsze "dziecko", które przytępiło u mnie do 1 Komunii św., była to pewna wdowa licząca sobie 52 wiosny życia. A takich, którzy przyjeżdżają u mnie do Komunii św. mając 40 lat, trudno by porachować. Tak samo jest u każdego duszpasterza w takich stronach.

Choć więc praca duszpasterska w naszej trzeciej stronie jest w zasadzie taka sama, jak na całym świecie, bo tak samo chrześcijanie, spowiadający, odprawiający Mszę św., udzielający Komunii św., błogosławimy, świętki małżeńskie i dysponujemy na śmierć chrześcijańską - to jednak ma ona pewne cechy które z pewnością zainteresują księży, a myślę że i innych czytelników.

Zacznijmy od pierwszego sakramentu - od Chrstu.

Chrstach narowych opowiem póóniej przy omawianiu podróóy misyjnych. Zwracam uwagę na to, że znacznie częóciej, nió w krajach katolickich trzeba u nas chrzció duóe dzieci w wieku szkolnym, dorastającą młodzieó i nawet ludzi całkiem óoczonych. Z braku czasu i przy chrzcie óoczonych stosuje się "ritum parvulorum". Najbardziej jednak znamionną cechą szafowania chrstu w Kwiósku Nadóieckim jest bardzo częóta koniecznoóó udzielania chrstu warunkowego. W tych jakóe bardzo licznych miejscowoóciach, gdzie nie ma w poblióu ani jednego ksióóda, bardzo jest rozpowszechnione - i słusznie - udzielanie chrstu przez ówieckich katolików. Najczęóciej chrzci jakąó autorytatywna w danej miejscowoóci stara babcia. Polacy nazywają taki chrzest, chrstem z wody, a Niemcy nazywają go Kottaufe.

"Proszę ójca duchownego, ja sama ochrzciłam z wody to dziecko".
"A jakie ty je ochrzciłaó?" - "A ja umoczyłam palec w ówieconą wodzie i zrobiłam trzy krzyóki na czole dziecka: W imię Ójca i Syna i Ducha Ówiętego". Oózywicie, óe po takim chrzcie z wody ksióóda udziela dziecku chrstu bezwarunkowego. Ale cała trudnoó w tym, óe rzadko możnazobaczyć taką babcie chrzczącą. Często jest ona juó na tantym ówieóie albo nieóka gdzieó daleko. A ółóó ksióóda na wiedzieó jak ta babcia chrzciła, prawidłowo, czy nie? Wióó nie ma innej rady, tylko trzeba udzielió chrstu warunkowego. Jeóli taki chrzest warunkowy przyjmuje duóe dziecko, albo ktoó starszy, to oczywiście po chrzcie warunkowym ókazuje ópowiedó.

Jak trzeba to mówimy ludziom, óe "batiuska" w cerkwi chrzci prawidłowo i , óe ksióóda nie będzie órógi raz chrzció dziecko ochrzczonego przez batiuskę. Jednak póónie ókumenizm byóoby w warunkach radóieckich ryzykownym zlecaó katolików chrzta batiuski tam, gdzie nie ma ksióóda, z óaczej trzeba óczyó ówieckich katolików czy katolicki unieóóetnoóci prawidłowego udzielania chrstu. Ódsyłanie do batiuski rodzi niebezpiecznoóie indyferentyzmu, óe to waz, ótko jedno, czy u ksióóda, czy u batiuski, óe jest koóciół i jest cerkiew, a nióby to jedna wiara.

Od chrstu przejdźmy do ópowiedzi. Najznacznie Najznamiennejszą osobliwoócią szafowania sakramentem pokuty w naszej 3-ciej wioie jest częóta wachodząca koniecznoóó, a przynajmniej wyóóce wskazana uóytecznoóó, przyjmowania ópowiedzi generalnej z całego óycia. Taką ópowiedzią generalną jest nie tylko pierwsza ópowiedó w óyciu. Jeóli ktoó ópowiadał się przez 20 lat, czyó można się przy ópowiedzi ograniczóné tylko do tych lat, czyó nie jest óe wóóech óiar wskazana, wióónie ópowiedó generalna z całego óycia?

Kiedy w 1954 roku przyjechałem do Karagandy, a przede mną nie było tam żadnego księdza, i kiedy zacząłem spowiadać ludzi, którzy prawie że wszyscy nie spowiadali się już wiele lat, to prawie że wszystkie spowiedzi musiały być generalnymi z całego życia, a wyjątkowych spowiedzi, od ostatniej spowiedzi, było wtedy w wiele mniej niż generalnych.

Często trzeba przede wszystkim wysłuchanie spowiedzi dać choć krótkie pouczenie o spowiedzi i Komuni! św. a sama spowiedź generalna z całego życia trwa długo. Spowiednik musi dokładnie wypytywać się. Bez pomocy spowiednika nie więcej, jak 10% spowiadających się potrafi dobrze się wyspowiadać. Inni bardzo często mówią drobiazgi, a zapominają/rzadko zatają, lecz właśnie zapominają/ powiedzieć bardzo poważne grzechy.

Konfesjonaliu nie ma. Ja nie sądzę, by penitencja cały czas klęczała. Kto może uklęknąć, to uklęknij, ja pobłogosławię, potem posadzę na krzeselku, a przy końcu spowiedzi kąkę uklęknąć i udzielenie rozgrzeszenia. W ogóle mam poważne wątpliwości, czy nawet w konfesjonale długa spowiedź na klęczkach nie jest dla penitenta przeszkodą do głębszego zastanowienia się i przemyślenia spowiedzi.

Jeżeli się w ogóle da i jeżeli są ku temu warunki, to przyjażdżają spowiedź generalną z całego życia przed udzieleniem sakramentu namaszczenia olejem i odpustu zupełnego na godzinę śmierci. Jezuseo Papię Pius XII zezwolił, by w Rosji Kaczyńskiej, wobec coraz większego braku księży, zwłaszcza udzielać namaszczenia olejem św. starym i słabym, nie czekając, aż zaistnieje niebezpieczeństwo śmierci. Szczególnie często udzielano namaszczenia olejem św. wraz z odpustem zupełnym na godzinę śmierci, osobom przyjeżdżającym z daleka. Nie można przecież pozwolić na to, by 70-letni staruszkowie wyjeżdżali z Karagandy do swoich odległych o tysiące kilometrów domów, wprawdzie wyspowiadani i sakramentowani, lecz nie zopatrzeni na drogę wieczności. Otóż w takich wypadkach spowiedź generalna z całego życia jest szczególnie wskazana i powszechnie przez nas stosowana. Dla wielu z tych przyjeżdżających była to rzeczywiście ostatnia spowiedź w życiu, bo u siebie w domu nie było już możliwości wyspowiadania się bezpośrednio przed śmiercią z tej prostej przyczyny, że tysiące kilometrów na okół nie ma tam ani jednego kapłana katolickiego. Niejedną żalobną Mszę św. odprawiałem później na tk takich prośbę mnie zopatrzonych na drogę wieczności w Karagandzie, a następnie u siebie w domu, zmarłych penitentów i penitentki.

Duszpasterz w naszych warunkach musi sobie zdawać sprawę ze swojej ogromnej odpowiedzialności. Uważa często tak, że jest pierwszym księdzem katolickim, którego widzi w życiu osoba ze sobą rozmawiająca.

wiązają, albo też pierwszemu od 20, czy nawet 40 lat. Muszą zrobić wszystko, co leży w mojej mocy, by ta osoba odrzuciła jak najlepsze wrażenie ze spotkania z księdzem. Jeżeli się ta osoba spowiada, to nie wolno jej sbywać, oglądać się na zegarek, lecz trzeba jej pozwolić całkowicie się wygadać i dość głęboko, niż szablonowo, pouczyć. Jeżeli nie ma na to czasu, to umawiam się z taką osobą na drugi dzień, chyba, że ona już wyjechała z Karagandy, to musi się jej słuchać nawet mimo braku czasu.

Spowiedzią generalną z całego życia jest także zazwyczaj spowiedź przedślubna. Często w naszych warunkach bywa tak, że spowiedź przedślubna jest pierwszą spowiedzią w życiu. Ale nawet jeśli ona nie jest pierwszą, to powinna być i zazwyczaj bywa generalną. W naszych warunkach pouczenie nowożeńców i o samym tylko sakramencie małżeństwa byłoby całkiem niewystarczającym. Trzeba pokrótce dać szersze pouczenie o głównych prawdach wiary, a zwłaszcza o spowiedzi i Komunii św., do których nowożeńcy będą przystępować. Bardzo wielu z nich, szczególnie młodszych, nie umie odróżnić ślubu kościelnego od cywilnego. Uważają oni, że to jest to samo, tylko że ślub kościelny trzeba znać księdza, a do ślubu cywilnego, zgłosić się do urzędu stanu cywilnego.

Najbardziej charakterystyczną cechą duszpasterstwa w tej diecezji jest u nas to, że stosunkowo rzadziej błogosławimy związek małżeński nowożeńcy, jak się to robi na całym świecie. Uszczegółwię trochę błogosławieństwo taką parę małżeńską która już żyje ze sobą, ale bez błogosławieństwa kapłańskiego. Miałem i takie wypadki, że równocześnie świątek ślub ojcu i synowi, matce i córce, jak to np. było zową Konstancją i jej starszą córką, o czym opowiadałem w przykładzie 10-ym w drugiej części tego pisma.

Kapłanem, że takie pary małżeńskie żyją bez błogosławieństwa kapłańskiego, to jednak nie wystarczyć one żyją bez ślubu. Wśród Niemców katolików dość jest rozpowszechnione tak zwane przez nich: Kottraung. Tam, gdzie nie ma księdza, narzeczeni i narzeczonka układają przyszłego małżeństwa w obecności dwóch świadków katolików. To jest już prawdziwe małżeństwo ślubne, sakramentalne. Gdy tacy małżonkowie później spotykają księdza, to oboje spowiadają się i przyjmują Komunię św. oraz odwołują przyszłego małżeństwa na ręce księdza, który następnie błogosławi ich związek małżeński powagą Kościoła katolickiego!

U Polaków niestety, taka Kottraung nie jest znana i stosowana. Dość często bywa u nich tak, że przed weselami rodzice błogosławiają nowożeńców okraszani, ale nie na przy tym żadnej przyszłości.

Najczęściej kapłan spotyka takie pary małżeńskie, u których

nie było żadnych elementów religijnych przy zawarciu małżeństwa. Starsi ci biedni ludzie żyją ze sobą długie lata, a jeszcze ani razu w życiu nie spowiedali się i nie przyjmowali Komunii św.

Doprowadzić do tego takich małżeństw, a często raz za razem z nimi i dziećmi i całą rodziną jest wielkim i wdzięcznym zadaniem duszpasterza w Związku Radzieckim. Bywają jednak i takie wypadki, że nie można ^{dn} iść do ślubu, bo np. był ślub kościelny z inną osobą. Bywa i tak, że można by dać ślub, lecz byłoby to wielce nieroztropnym, gdyż małżonkowie żyją ze sobą bardzo źle, najczęściej z powodu nałogowego pijarstwa męża. W naszych warunkach należy bardzo uważać, by nikogo obecności nie odtrącać, lecz zawsze zachęcać do pobożności i uczestniczenia na nabożeństwach.

O małżeństwach mieszanych nie będę wiele pisał, bo są to sprawy takie, jak na całym świecie. Szczególnie często są nieślubne małżeństwa mieszane Polaków i Rosjan z Rosjankami oraz z prawosławnymi Ukraińcami i Ukrainkami.

U Niemców katolików stosunkowo częstsze są małżeństwa mieszane z Niemcami Interwanami i Łutystami, znacznie rzadziej z Rosjankami i Rosjankami.

Z tych małżeństw mieszanych, zwłaszcza z Rosjankami i Rosjankami, mała jest pociecha, a wielkie niebezpieczeństwo, że takie małżeństwo choć ślubne wkrótce się rozpadnie.

Oczywiście, że są wyjątki. Są małżeństwa mieszane wręcz wzorowe, zwłaszcza, jeśli strona niekatolicka przyjęła katolicyzm.

Ale te najlepsze ze znanych mi małżeństw mieszanych są z Niemcami Interwanami, a nawet i z...suzużanami.

Ochrzciles po odpowiednim przygotowaniu pewnego Turka i dałem mu ślub z Biecką, z którą krewną był już przed tym. Przy chrzcie dostał on na imię Aleksander, a znany jest w sąsiedztwie pod zdrobniałą formą tego imienia jako "Saska". Otóż ów Saska stał się bardzo gorliwym katolikiem, nauczył się różnych niemieckich modlitw. Chodzi często na nabożeństwa. Chętnie spowiada się i przyjmuje Komunię św. Gdy jakiś młody a leniwy Bientaszek nie chce iść do spowiedzi, zwłaszcza Wielkanocnej, to mama i babcia stawiają mu za warunek Saskę! "Jak to Saska do niedawna wcale nie był chrześcijaninem, a jak chętnie chodzi do spowiedzi. Jak tobie nie wtyd, że nie chcesz iść do spowiedzi - ty katolik z dziada, praćziada!"

Komunii św. udziela się u nas tak, jak wszędzie. Staram się, żeby przyjmowano Komunię św. podczas Mszy św., lecz często muszę udzielać Komunii św. poza Mszą św., zwykle po Mszy św. Mszą św. najczęściej odprawiam śpiewaną niż cichą, bo ludzie tak wolą. Jeżeli Msza św. nie jest załobną, udzielałem po Mszy św. błogosławieństwa Najświętszym

sakramentem. Nie da się przechowywać stale Najświętszego Sakramentu. Jeżeli w jakimś domu - co bywa bardzo często - odprawiam 2 Msze: wieczorną i rano, to jest Najświętszy Sakrament do Mszy św. od Mszy św. wieczornej, aż do zakończenia rozdawania Komunii św. po Mszy św. porannej.

W ryl^lwskazad Bohoru starany się, by i w Karagandzie wierni rozumieeli Mszę św. i aktywnie w niej uczestniczyli. Jest i w Karagandzie sporo pobożnych osób, które często się spowiadają i komunikują nawet i więcej razy w miesiącu.

Przy rozdawaniu Komunii św. trzeba się liczyć z tym, że bardzo wielu jest takich, którzy nie wiedzą o tym, że w Komunii przyjmujemy Pana Jezusa. Prosto ludzie o tym zapominają. Jeżeli w samej Karagandzie jest pod tym względem nieco lepiej, to już w okolicach Karagandy lub z dala od niej bywa z tym całkiem źle. I takich jest немало, którzy nawet nie wiedzą o tym, że Pan Jezus umarł na krzyżu, a jeszcze mniej, że zmartwychwstał. Segnąą się w imię Ojca i Syna i Duchu św., a nie mają pojęcia ani o Ojcu, ani o Synu, ani o Duchu św. Dlatego trzeba ludziom wciąż na nowo, niezmordowanie przypominać, kogo my przyjmujemy w Komunii świętej.

Głównym problemem w naszej 3-ciej stronie jest sprawa przyjmowania Komunii św. przez świeckich bez księdza.

Niektórzy nazywają to "Selbstkommunion". U księży pracujących w naszej 3-ciej stronie są co do tego zdania podzielone. Są wśród księży zwolennicy i są przeciwnicy tej praktyki. Były już smutne nadużycia.

Niektórzy księża, chwilowo przyjezdni, zbyt lekomyślnie zostawiali Najświętszy Sakrament w miejscowościach gdzie nie ma księdza.

Pojawiały się już takie tzw "matki kościoła", które rozdawały ludziom Komunię św., tak jak księża, co wywołało sgarżenie i narzekania, szczególnie wśród młodzieży. W jednym wypadku, wiadomo mi, że młodzią zatrąla Najświętszy Sakrament i już więcej - mimo prób i nalegań - nie oddała...

Ja sam zostawiałem ludziom Najświętszy Sakrament, ale ściśle i ściśle określałem, kto może przyjmować Komunię św. i zostawiałem na krótki czas ściśle określony czas.

Przy takiej praktyce zatrąlanie rozdawania Komunii św. przez jedną osobę. Wszak nie ma u nas diakonów. Odbywa się to w ten sposób że każda z komunikujących osób podchodzi do ołtarza i sama bierze do ust z puszki lub naczyńca ją zastępującego konsekrowany komunikant przy pomocy łyżeczki.

Mój sąsiad, ksiądz prałat Ghira, pozwala dość dużej grupie pobożnych osób często przyjmować Komunię św. bez księdza, bo inaczej ta częsta Komunia byłaby niewożliwą. Ale to wszynkde dotyka się

pod ścisłą kontrolą księdza parata i nie może wywołać żadnych zastrzeżeń.

Ale co się dzieje tam, gdzie ksiądz jest daleko? Niestety dzieje się bardzo źle!

Wkrótce po moim powrocie do Karagandy, po zakończeniu 3-go uwięzienia - było to w roku 1963 - przyjechał do mnie polski kobieta i przynosi mi mi mniej mi więcej, tylko Najświętszy Sakrament! "Był u mnie ksiądz i to mi zostawił" - jak to? A nie nie mówił?" "Nie, nie nie mówił, tylko zostawił i odjechał". "A jak dawno to było?" A już minęło 4 lata". Wypytuję się dokładniej. Nie ulega wątpliwości: odprawił Mszę św., sakonsekrował i zostawił. Owa kobieta i jej sąsiadki modliły się przed Najświętszym Sakramentem, ale obawiały się bez spowiedzi przyjmować Komunię św. W końcu ta ofiara niedbalstwa owego księdza odwiozła Najświętszy Sakrament do Karagandy, ale w jakim stanie! Widocznie była wilgoć w tym mieszkaniu bo komunikanty były zlepione, a było ich dużo. Cenywiście sam to spożyłem, a nie dawałem nikomu z naszych wiernych, bo sam nie wiem, czy pod taką postacią może się jeszcze zachować Ciało Chrystusowe?

W innych wypadkach było jeszcze gorzej. Ksiądz przyjechał, zostawił i pojechał, a ta kobieta, u której zostawił, nawoływała ludzi do przyjmowania Komunii św. bez spowiedzi, bo sam ksiądz tak mówił. Jedni nie chcieli przyjmować, ale byli i tacy, co niestety przyjęli. Prawdopodobnie była tam niejedna Komunia świętokradzka....

W innym wypadku pewna "matka kościoła" rozdawała swyczejny opłatek poświęcony, jak u nas na Wigilię Bożego Narodzenia. Niemcy nie mają wieczerszy wigilijnej. Wielu z nich srodywało opłatek dany przez ową niewiastę w umiarnie, że przyjmują Komunię św. i to bez spowiedzi, a tymczasem był to swyczejny opłatek, wprawdzie poświęcony, lecz wcale nie konsekrowany.

Istną plagą wśród naszych Niemców, zamieszkałych z dala od księdza, stanowi następujące zjawisko: Jakaś Niemka, zazwyczaj osoba pobożna, otrzymuje list polecony, a w nim opłatki nawet nie komunikanty, przy czym w liście zazwyczaj bywa objaśnienie, że to Najświętszy Sakrament. A w rzeczywistości jest to najswyczejniejsze w świecie ale bardzo wyrefinowane oszustwo. Raz jedna Niemka zamieszkała daleko od Karagandy dała mi taki list do przeczytania. List był tej treści: "Przeżyła to tobie /za pośrednictwem tej osoby, której nazwisko figuruje na liście/ jeden ksiądz katolicki/nazwisko jego wcale nie jest podane/, który mieszka w Moskwie. On odprawił Mszę św. i to sakonsekrował dla ciebie i dla twojej rodziny i sąsiadów. Należy przesać dla tego księdza ofiary pieniężne pod takim adresem w Moskwie". Że to jest jawne oszustwo, nie ulega wątpliwości.

Szczególnie rostrajajonym jest powołanie się na księdza katolickiego mieszkającego w Moskwie. Wszędzie łatwiej jest uzyskać zameldowanie księdza, niż właśnie w Moskwie w stolicy Związku Radzieckiego! Jedynym księdzem katolickim zameldowanym w Moskwie jest proboszcz moskiewski, którego i tak czynniki rządowe zmieniają częściej, niż jakiegokolwiek innego proboszcza w całym Związku Radzieckim. Ale jakże trudna jest w warunkach radzieckich walka z takimi oszustami sięgającymi zamęt w sumieniach...

Szczególnie ważną i czasochłonną pracą duszpasterską w Związku Radzieckim jest przygotowanie do I spowiedzi św. Trzeba przygotować dorastającą młodzież, bo i z nich wielu jeszcze ani razu się nie spowiadało. Trzeba przygotować wielu z pośród nowożeńców, trzeba nie raz przygotować ludzi całkiem dorosłych, a nawet dobrze już podstarzałych. I nie można całej tej pracy zwałić na katechetki, nawet, jeżeli się takie znajdują, co rzadziej jest dość rzadkim wyjątkiem, lub na rodziców, którzy najczęściej sami mało co wiedzą.

W dodatku ta praca, zwłaszcza jeśli chodzi o dzieci i młodzież jest szczególnie źle widziana przez władze państwowe. Przedstawiciele władz lubią się powoływać na to, że jakoby jest zabronione nauczanie religii do 18 lat życia. Nie mam ja czasu na studiowanie ustawodawstwa radzieckiego. Jak się jednak wydaje, nie ma formalnego zakazu, jest tylko ogólna zasada rozdzielenia kościoła i państwa, oraz szkoły i kościoła.

Oczywiście jednak nie ma i nigdy dotąd nie było zezwolenia władz na nauczanie religii dzieci i młodzieży w Związku Radzieckim.

Księża rejestrowani, pracujący w rejestrowanych kościołach w 2-giej strefie - na Ukrainie i Białorusi - szczególnie są skrepowani pod tym względem. W 1-szej strefie na Litwie i Łotwie - o ile wiem jest nieco swobodniej, ale też nie bez skrepowania.

Na Ukrainie, jeśli nie sawsze, to jednak najczęściej, bywa to tak: ksiądz daje instrukcje matkom, jak i o czym mają one uczyć swoje dzieci. Matka przyprowadza dziecko do księdza. Ksiądz egzaminuje dziecko, poucza je, stara się pozyskać jego zaufanie i od razu spowiada dziecko i matkę. Dziecko przyjmuje swoją pierwszą podczas Mszy św. Komunię św. sawsze razem z matką, bo to jest konieczne dla obrony księdza przed władzami. Ale nie ma mowy o uroczystości komunijnej, świątecznej komunii grupowej, świątecznych białych sukienek i welonków świątecznego przedświelenia księdza. Ksiądz co ma dzieciom powiedzieć, to mówi w związku z egzaminowaniem i spowiadaniem dziecka, ale nie przed udzielaniem mu I Komunii św.

Ustół w naszej 3-ciej strefie, przy pracy duszpasterskiej w domach prywatnych, jest lepszej, niż w 2-giej strefie. Wprawdzie nie wszyscy

knięta robią to tak, jak ja. Szczególnie ci knięta, którzy wpadają tylko na krótką chwilę do jakiejś miejscowości, prawdopodobnie nie mają czasu na takie przygotowania do I spowiedzi i Komunii św., jakie ja przeprowadzałem nie tylko u siebie w Karagandzie, ale ja także i podczas moich wypraw misyjnych. Wszędzie jednak w 3 naszej 3-ciej stronie bywają Komunie grupowe, choćby w całkiem małej grupie. Wszędzie są w użyciu białe sukienki i weloniki dla dziewczynek, a białe koszulki dla chłopczyków. I wszędzie ksiądz choćby króciutko przemawia do dzieci przed ich I Komunią św.

Teraz opowiem nieco szczegółowiej, jak ja sam to przeprowadzam. Nie chodzi tu o jakąś autorklanę, tylko o wskazanie pewnego maximum, jakie można osiągnąć w warunkach naszej 3-ciej strony.

W Karagandzie przygotowanie dzieci i młodzieży do I Komunii św. przeprowadzamy podczas wakacji letnich. Przeważająca grupa składa się z 10-15 dzieci, w wieku co najmniej 9 lat, ale z rzadka bywają grupy trochę liczniejsze, składające się z 20-25 dzieci. Dzieci niemieckie najpierw chodzą do katechistki, a jest ich kilka w Karagandzie, która przesabia z nimi przede wszystkim materiały pamięciowy, a potem dopiero przychodzą do mnie. Dzieci polskie przychodzą od razu do mnie do mnie na katechistki dla nich, ale ja sam je uczę zwykle o 2 dni dłużej, niż dzieci niemieckie.

Moja katecheza, tak dla dzieci, jak i dla dorosłych przygotowujących się do I spowiedzi i Komunii św. jest podzielona na 6 punktów: 1/ Bóg - 2/ Jezus Chrystus - 3/ Kościół Katolicki - 4/ Żywot wieczny - 5/ spowiedź - 6/ Komunia św.

Równocześnie z dziećmi, uczę - oczywiście osobno - ich matki.

Każde dziecko musi osobiście i publicznie podziękować swojej mamusi, przeprosić ją i obiecać, że po I spowiedzi i Komunii św. będzie dobrym i posłusznym dzieckiem. Zalecam także przeprosiny ojca i babci, jeśli razem mieszkają.

Uczę dzieci niemieckie zwykle 3 dni, przy czym one przychodzą na naukę dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Z dzieci polskie uczę dwa dni dłużej. 4-ty dzień jest przeznaczony na spowiedź dzieci i członków ich rodzin, a na piąty dzień z rana lub wieczorem odbywa się sama uroczystość I Komunii św. Nie potrzebuje dodawać, jak ważną jest w warunkach rodzinnych I spowiedź i jak dokładam wszelkich starań, by ona była jak najpożyteczniejsza. Tak dzieci niemieckie jak i polskie, uczę zasadniczo po rosyjsku, często, często przeplatając ruszczyzną, niemieczyzną i polszczyzną.

Staram się, by I Komunia św. każdego dziecka była równocześnie komunią rodzinną. Razem z dzieckiem przyjeżdża Komunia św. matka, często i ojciec, jeszcze częściej babcia, a także starsze rodzeństwo.

Oszywiście dzieci są ubrane, jak należy, w białe sukienki lub w białe koszulki. Staram się, by Eosa św. była jak najbardziej uroczysta, z możliwie ładnymi śpiewami, sam przemawiam przed Komunią krótko, ale jak najserdeczniej. Uroczystość kończy się błogosławieństwem Najświętszym Sakramentem i rozdaniem dzieciom obrazków pamiątkowych. Niestety w naszych warunkach bardzo skromnych, z których jednak dzieci się cieszą, bo ładniejszych nie widziały. Minusem bywa to, że w małym mieszkaniu przy zamkniętych drzwiach i oknach jest latem zwykle bardzo gorąco, i zdarzają się wypadki, że dzieci mdleją.

Kiedy uczę matki, to kładę nacisk na rodzinny charakter uroczystości i Komunii św.. Zawsze daję matkom 3 wskazówki: 1/ wołać na nowo przypominać dziecku, że ono przyjęło w Komunii św. Pana Jezusa, że inaczej ~~zniechęca~~ dziecko zapomniało o tym; 2/ dzień po dniu pilnować, żeby się wszystkie dzieci w rodzinie modliły systematycznie rano i wieczorem, w Karagandzie przynajmniej raz do roku spowiadały się i kumaniowały. Bardzo zalecam wspólną rodzinną modlitwę każdego wieczora. 3/ Podać dziecku do poprawy nie rугać, nie bić, ale unieść przemówić do sumienia, jak trzeba to nawadyścić /a która to przeproszała mamusię i obiecała, że będzie dobrą i posłuszną/ a jak można to pochwalić a nawet podziękować, np. na pomoc przy pracy domowej. Nawiązać mówiąc, zachwalać matkom przy każdej sposobności godność "domobazajki", która nie pracuje na zewnątrz, lecz całkowicie poświęca się rodzinie, mężowi i dobremu chrześcijańskiemu wychowaniu dzieci.

Oszywiście, wszystko to jest bardzo mało w porównaniu z przygotowaniem dzieci do I spowiedzi i Komunii św. w Polsce. Ale w warunkach naszej 3-ciej sony jest to maksimum, na jakie można sobie pozwolić, Bogu dzięki za to.

Podczas wypraw misyjnych biorę dzieci bez żadnego uprzedniego przygotowania przez katechistki, masę też uczę je w sposób jeszcze bardziej intensywny, niż w Karagandzie. Dlatego zasadniczo przyjmują dzieci trochę starsze, co najmniej 10 lub 11 -letnie. Ale znajdują czas także na pouczenie matek i na przeprosiny dzieci. Tak samo starannie, a bez pośpiechu odbywa się spowiedź dzieci i członków rodzin. I tak samo uroczystość i rodzinie odbywa się I Komunia św. tyle tylko, że w Karagandzie ładnie śpiewają.

Wszystcy księża w 3-ciej sonie, jak i w 2-giej sonie, udzielają bierzmowania. Niektórzy księża udzielają bierzmowania ~~wraz z~~ z I Komunią św.. Ja jestem przeciwnikiem tego. W Karagandzie staram się by dzieci przystępowały do bierzmowania w rok po I Komunii św.. Przy tej sposobności ureządzam krótką powtórkę materiału przerobionego przed rokiem, a następnie uczę o samym bierzmowaniu. Jeżeli do I Komunii

miałem "odroczone" 52-letnią, to do bierzmowania miałem już nie jedną babcię 70-letnią.

Podczas wypraw misyjnych mało udzielałem bierzmowania z braku czasu na przygotowanie do niego, i ale jak udzielałem, to po przygotowaniu. Nie chciałem brać na swoje sumienie udzielania bierzmowania bez żadnego uprzedniego przygotowania.

K a z n o d z i e j s t w o jest uprawiane także i w naszej 3-ciej zone. Ja oczywiście w pracy nauczania kładę główny nacisk na katechizowanie, a nie na kazanie. Na każdej Mszy św. w Karagandzie nie mówię już o wyprawach misyjnych, sam przeważnie innych ludzi. Jakież cykle kazań są nie do pomyslenia. Najczęściej wygłaszam homilię w nawiązaniu do Ewangelii i lekcji. Kazania muszą być krótkie, swobodne gdy jest narabyt gorąco w mieszkaniu, a jednak treściwe, pouczające i nie bujające w obłokach, do których ogromna większość słuchaczy i tak się wzniesie. Trudność jest w tym, że obok zupełnych analfabetów co do wiedzy religijnej, na Mszy św. bywają ludzie wcale nieźle znający wiarę, a przy tym i ogólnie dość wykształceni. Wprawdzie rzadko się trafiają ludzie z wyższym wykształceniem, ale znacznie częściej ludzie na poziomie średniego wykształcenia ogólnego lub zawodowego. Dzieci szkolne przychodzą na Mszę św. najczęściej podczas wakacji szkolnych, znacznie mniej - za mało, podczas roku szkolnego.

Księża nie biorą udziału ani w weselach, ani w pogrzebach na cmentarzu. Świątyni nieraz mogiły, ale nie na pogrzebie.

W Karagandzie ksiądz zazwyczaj odprawia uroczystą Mszę Pogrzebową wraz z odśpiewaniem "Libera me Domine" w domu przy zwłokach. Jeśli tylko czas pozwala na spowiedź, cała rodzina podczas Mszy Pogrzebowej przyjaśnie Komunię św. Na cmentarzu pogrzeb udaje się bez księdza, ale i Niemcy i Polacy uprawiają pogrzeb chrześcijański z modlitwami i pieśniami żałobnymi. Czasem nawet bywa i orkiestra na pogrzebie, która jednak wśród naszych pobratymów babó nie jest popularną, bo zwykle z orkiestrą odbywają się pogrzeby laickie. Na mogile stawiają zawsze krzyż, choć nieraz bywa agitacja, by postawić słupek z gwiazdą, a w zamian za to pogrzeb będzie opłacony. Tylko raz jeden widziałem krzyż i gwiazdę na tej samej mogile. Niemcy dają na krzyżu napis zawsze w języku niemieckim, choć najczęściej nie bez przekręconej pisowni. Polacy dają napis polski, lecz coraz częściej zjawiają się na mogiłach polskich napisy rosyjskie, bo polskiego napisu nikt w rodzinie nie skomponuje.

Dość często wyjeżdżam na kilka dni w blizsze okolice Karagandy. Są tutaj 2 dość duże miasta: Jemir-Tuaj i Saraj oraz wiele innych osiedli. Ponieważ w tych sąsiadujących z Karagandą miejscowościach ludzie spowiadają się wprawdzie rzadziej, niż w samej Karagandzie, lecz o wiele częściej niż przyjezdni z daleka, przede wszystkim w tych miejscowościach jest zbliżone do duszpasterstwa w Karagandzie. Właściwie to tylko ta jest różnica, że w Karagandzie ja wciąż wędruję z domu do domu, a w takich miejscowościach zwykle pracuję 2-3 dni i noc w tym samym domu, który musi odpowiadać niektórym warunkom.

Teraz narazicie będę mógł szczególnie opisać duszpasterską pracę podczas wypraw misyjnych. Te wyprawy odegrały i wciąż odgrywają olbrzymią rolę w duszpasterstwie w samej 3-ciej sonie.

Byli księża, którzy całkowicie poświęcili się takiemu wędrowaniu i misjonarstwu. O niektórych z nich potem napiszę więcej.

Byli i są tacy księża, którzy stale pracują w jednej miejscowości, lecz od czasu do czasu urządzają wyprawy misyjne. Jedni z nich stale mieszkają i pracują w 3-ciej sonie, tak jak i ja sam w Karagandzie. Inni stale mieszkają poza 3-cią soną, przeważnie na Litwie czy Ukrainie i stamtąd robią swoje ekskursje w głąb Związku Radzieckiego. Władze sobie taki ejczulek na samolot w Kownie i frunie wyprost do Kazału Krasnojarska. Tam popracuje tydzień - dwa, przeważnie w kilku miejscowościach: pochrześci, pospowiada, zakomunikuje, da śluby. I znów siądnie na samolot i frunie z powrotem do Kowna.

Trzeba zauważyć, że tacy księża, którzy "przeofrują" z Litwy lub Ukrainy, więcej się narażają od nas, stałych mieszkańców tych stron. Dla władz miejscowych my już jesteśmy "swoi ludzie" - my lecz nie oni!. Choć niektórzy z tych "latających misjonarzy" zrobili znaczne błędy w pracy zwłaszcza przez przesadny pośpiech, a jeszcze więcej przez lekkomyślność, bez pouczenia, posostawianie Najświętszego Sakramentu, to jednak ich praca ma olbrzymie znaczenie. Bez nich w bardzo wielu miejscowościach ludzie nigdy by nie zobaczyli księdza i nie mieliby możności wyspowiadać się po bardzo wielu latach.

Ksiądz Bronisław i ksiądz Józef wiele jeździli podczas swojej pracy w Kazałskim Kazachstanie. Jednak w każdą niedzielę oni byli u siebie w domu, bo do nich przyjeżdżali ludzie z daleka. Było wiadomo, że w dzień poprzedni może ksiądz nie być w swoim

kościół, ale wiedzielię będzie na pewno. Włatego Bronisław i Józef nie mogli urządzić dalekich wypraw misyjnych ale załatwili do bardzo wielu miasteczek i wiosek w swoich obwodach, celinogradzkim i kokczetarskim - tam, gdzie najwięcej mieszka Polaków i sporo Niemców katolików.

Moja praca duszpasterska podczas wypraw misyjnych tym się odznaczała, że ja stosunkowo dłużej przebywałem i pracowałem w poszczególnych miejscowościach, niż to czyniła większość moich misjonarsujących kolegów. Dzięki temu ja miałem więcej zajsów z miejscowymi władzami, ale za to mogłem pracować stosunkowo gruntownie i głębiej - "Langsam aber sicher", jak mówią Niemcy.

Nie licząc krótszych podróży misyjnych do niedalekich miejscowości, bo były to takie, ja odbyłem osiem wielkich wypraw misyjnych. Z nich pięć jeszcze przed moim aresztowaniem, a trzy w ostatnich latach po uwolnieniu z więzienia.

Z tych ośmiu wypraw misyjnych połowa, bo cztery były do Tadżykistanu, republiki związkowej, położonej na skrajnym południu Związku Radzieckiego, na granicy z Afganistanem. Tam od 1945 roku mieszka bardzo wielu przesiedlonych Niemców katolików, którzy przed wojną mieszkali w okolicach Odessy.

Tadżykistan jest krajem dla Europejczyka egzotycznym. Klimat jest tak jak w Karagandzie, kontynentalny, ale o wiele gorętszy. Malowniczym jest folklor Tadżyków, a takich kawonów i melonów, jakimi się wciąż raczyłem w Tadżykistanie, gdzie i szaszłyki z mięsa indziej nawet nie widziałem. Jeździłem do Tadżykistanu więcej niż w inne strony, bo tam nie jeździł prawie nikt inny z naszych misjonarzy.

Jedna wyprawa misyjna była również w kierunku południowym, w okolice Alma-Aty, gdzie objechałem miejscowości zamieszkałe przez Polaków, przesiedlonych z Ukrainy w 1936 roku.

Dwie wyprawy misyjne były na zachód do miasta Artiabińska z okolicą.

I wreszcie jedna wyprawa była na wschód od Demipalatyńska i niektórych innych miejscowości w tych stronach.

Tylko na północ od Karagandy nie urządziłem żadnych większych wypraw misyjnych, bo tam działali Bronisław i Józef, a potem tam oszczędnie się pokazywali inni księża.

Najkrótszą z tych ośmiu wypraw misyjnych trwała miesiąc, najdłuższa 4 miesiące. Połowa tych wypraw, bo cztery, zakończyła się pomyślnie bez interwencji władz miejscowych. Pozostałe cztery wyprawy misyjne musiały ulec skróceniu i nie zostały dokonane wskutek interwencji władz.

W 1957 i 1958 roku odbyłem aż 5 wypraw misyjnych, z których co prawda dwie zostały skrócone przez władze. Po moim uwolnieniu odbyłem dwie wyprawy, a w 1963 roku w tym, jedną skróconą. Ostatnia wyprawa misyjna do Tadżykistanu trwała od grudnia 1967 roku do marca 1968 roku i też została przerwana na tydzień przed planowanym przeze mnie jej zakończeniem.

Kiedy zostałem uwolniony z ostatniego uwięzienia, pozwolono mi wrócić do Karagandy, lecz o wiele trudniej jest mi teraz wyrwać się na dłuższą wyprawę misyjną, niż to było możliwe przed moim ostatnim uwięzieniem. Oprócz tego trzeba jeszcze uwzględnić i to, że przed uwięzieniem odbyłem tylko jedną podróż na Ukrainę w 1958 roku, a po uwięzieniu aż trzy i w 1962, 1964 i 1966 roku. Do tego trzeba jeszcze dodać dwie podróże do Polski: w 1965 i obecną w 1969 roku.

Podczas moich podróży na Ukrainę nie byłem całkiem nieczynnym pod względem duszpasterskim. Takie i na Ukrainie wypowiadałem niejedną babcię, ochrzciłem nie jedno dziecko i dałem parę ślabów. Ale te ukraińskie perygryzacje nie były żadnymi wyprawami misyjnymi.

Wyjeżdżając na wyprawę misyjną biorę ze sobą paszport i zaświadczenie, że jestem księdzem katolickim, bo w paszporcie jestem zapisany jako "robotnik". Biorę opłatki i wino mszalne, oraz wszystko, co jest niezbędne do odprawiania Mszy św. i do udzielania sakramentów. Zawieszam także parę adresów mieszkańców tych miejscowości, dokąd jadę.

Przyjeżdżam zazwyczaj niespodziewanie. Wprawdzie nasi wierni wiedzą, że powinniśmy do nich przyjechać, lecz nie wiedzą kiedy to nastąpi. Nie mogę ich uwiadomić przez pocztę, a rzadko kiedy przez okazję. Po przyjeździe zgłaszam się pod znanym adresem. Czasem tam właśnie pozostaję i rozpoczynam pracę duszpasterską, lecz dość często po naradzie z miejscowymi katolikami - notablami - wybieramy dla pracy inny dom, dogodniejszy.

Podczas wyprawy misyjnej dom do pracy trzeba wybierać w wiele jeszcze staranniej, niż w Karagandzie.

Przyjeżdżam raz, to było w Tadżykistanie w 1963 roku, do pewnego Niemca, który mnie zaprosił. Gospodarze witają mnie bardzo serdecznie i mówią mi: "Pater, musimy uprzedzić, że na przeciw, po drugiej stronie ulicy, mieszka niedotry człowiek /ein nicht guter mensch/ on donosi!". Przenocowałem jednak w tych gospodarzy, odprawiłem dla nich mszę św. bardzo wczesnym rankiem i natychmiast przeniosłem się do innego, zaproponowanego mi nie-

/gieroj socjalistycznych truda/, podobno osobicie znajomy z samym Chruszczowem. Wezwał mnie do swego gabinetu. Właśnie spowiadałem babcię. Musiałem przerwać spowiedź. Bardzo mi było żal tych babć, które się już bardzo wiele lat nie spowiadały. Powiedziałem im: "pewnie już do was nie wrócę, ale módlcie się, abym jednak wrócił i was wyspowiadał." Przychodzę do pana prezesa. Pokazuje mi swoje dokumenty. On zrobił mi wysówkędłaczego odrasu do niego nie przyzedłem, aż musiał mnie sam wywabić. Potem jednak pan prezes się udobruchał i rzekł mi tak: "wy wiecie, że do niedawna to wszystko było surowo zakazane, ale teraz już nie tak. Ja się nie sprzeciwiam. Kontynuujcie waszą robotę, lecz pracujcie tak, abyśmy przez was nie mieli zbyt wielu nieprzyjemności."

Wróciłem do swoich babć i powiedziałem im: "widzę, że wy dobrze módliliście się!" Doślan jednak, że ów pan prezes mógł mi wyświadczyć takie dobrodzieństwo tylko dlatego, że sam był bardzo wielkim i wpływowym partyjnym działaczem. Takim jak on, nie mogła szkodzić nawet pobłażliwość wobec jakiegoś "popiła".

W innym wypadku, inny prezes kolchozu, Tadzik, sam z własnej inicjatywy przysłał mi deski dla budowy ołtarza polowego i kazał mnie serdecznie pozdrowić.

Wreszcie w trzecim wypadku naczelnik milicji, kapitan, kazał naprawdę natychmiast wyjechać z Tadziistanu, lecz pozwolił mi na doekohesenie rozpocząć pracy.

Wypędzenia bywały różne: bywały wypędzenia bez rugi, a bywały z rugą i to poważną. Tak "uroczyście" wypędzono mnie w 1958 roku z Semipałatyńska - a w 1963 roku z Aktiubińska. Opowiem o tym więcej.

W Semipałatyńsku sprawa skomplikowała się tym, że mi towarzyszyły w wyprawie niezłej dwie poboczne Mienki z Karagandy: panna Gertruda Detsel i panna Klara Roninie. Klara zmarła przed rokiem, a Gertruda dotąd żyje i pracuje. Gertruda już przed tym są swoją poboczność była aresztowana i odbyła 8 lat więzienia. Klara tego nie przeżywała.

Otóż w pewnym osiedlu koło Semipałatyńska, zaraz na drugi dzień po naszym tam przyjeździe, zatrzymali nas wspólnie prezes sielsowietu i prezes kolchozu i telefonicznie wezwali wprost z Semipałatyńska "czekistów" to znaczy funkcjonariuszy bezpieczeństwa państwowego. Przybyło ich dwóch, posadzili nas wszystkich troje na samochód i powieźli do Semipałatyńska.

Tam dwa dni prowadzono coś w rodzaju śledstwa, jednak pozwolono nam nocować w mieście u naszych znajomych. Gertruda jako już "obstrzelony wróbel" trzymała się bardzo cicho, a biedna jeszcze

"nie obstrzelona" Klara była nią śmiertelnie przerażona. Obie wciąż powtarzały: "alles für Dich, o Heiligstes Herz Jesu!". A ja nie mogłem oddałować, że wzięłam ja ze sobą na wyprawę misyjną i postanowiłem już więcej nikogo nie brać, czego też później swesse przestrzegałem. Nie bałem się własnego uwięzienia lecz bałem się uwięzienia Gertrudy i Klary. Na szczęście na trzeci dzień wzięto ode mnie pisemne zobowiązanie, że natychmiast wyjedziemy do Karagandy, potem wszyscy troje, uszczęśliwieni, opuściliśmy "gościnne progi" samopajatyńskiego urzędu bezpieczeństwa państwowego.

W Aktiubińsku w 1963 roku było podobnie, lecz nie zupełnie tak suro. Pracowałem w pewnym ośledlu w pobliżu Aktiubińska. Przychodzi do mnie jeden z poślubionych u mnie "panów młodych" zaraz na drugi dzień po swoim ślubie i donosi mi, że jeden z miejscowych naczelników zapytał go: "A ty toż był u popa?". On udął Greka, że niby nie o tym nie wie. Ja zaraz poprosiłem moich gospodarzy o samochód i wyjechałem stamtąd do Aktiubińska, czyli - jak się u nas mówi - "pop udra?".

Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że już będzie niebezpiecznie pracować dalej w Aktiubińsku, lecz śal mi było naszych wiernych. Aktiubińsk jest dość dużym miastem, gdzie nie tak łatwo znaleźć "popa".

Pracowałem jeszcze i to bardzo intensywnie, przeszło 2 tygodnie w Aktiubińsku. Pewnego dnia rano odbywa się uroczystość i Komunistów. Zatrzymałem jeszcze dzieci na pół godziny po Mszy św. Przychodzi do mnie gospodyni domu i pokazuje mi przez okno: o dwa, trzy domy dalej stoi samochód osobowy, a koło niego kręcą się jacyś dwaj faccaci i cały czas patrzą w stronę naszego domu. Natychmiast kazałem żeby wyszły dzieci, a było ich około dziesięciorga, a potem żeby się po matu roschodzili także i dorobiłi. Zjadłem śniadanie. W domu zostało tylko kilka osób. "Pater proszę wychodzić do innego domu oddalonego o kilka ulic, a wy potem zaniesiecie wam rzeczy". "Nie, oni mnie od razu zatrzymają na ulicy, a w razie uwięzienia trzeba mieć ze sobą choć trochę bielizny i innych niezbędnych rzeczy. Będziemy na nich czekać".

Podzieliłem rzeczy na dwie części. W jednej walizce były rzeczy przydatne podczas uwięzienia, a w drugiej rzeczy kościelne i inne niepotrzebne w warunkach więziennych. Byłem bardzo smętny i położyłem się spać. Spałem całą 4 godziny. Kiedy się obudziłem, spojrzełem przez okno: stoi samochód i stoją moi dwaj faccaci! Wyspowiadałem jeszcze jednego więźniaka. I tak minął dzień. Dopier kiedy już się zrobiło ciemno, a był listopad, ci dwaj pa-

nowie przyszli po mnie i zabrali mnie ze sobą razem z moimi walizkami. Powieźli mnie na wilocję, a stamtąd po krótkiej indagacji, do urzędu bezpieczeństwa państwowego. I znowu, zupełnie tak samo, jak w Semipałatynsku, rozpoczęło się coś wrodzaju śledztwa, co trwało 3 dni. Nocowaniem aresztu, dość nawet wygodnie, na kanapie w urzędzie bezpieczeństwa. Na trzeci dzień wieczorem musiałem podpisać zobowiązanie, że natychmiast wyjeżdżam do Karagandy, a nawet czego nie było w Semipałatynsku - że nigdy więcej nie przyjdę do Aktiubińska. Następnie przekazano mnie naczelnikowi milicji, który uprzejmie odwiózł mnie wraz z moimi walizkami, własnym samochodem wprost na dworzec kolejowy i tam pozostawił mnie samego, a tegnąc się ze mną, rzekł: "my was ufamy, że wy dotrzymacie waszego zobowiązania i sar z wyjeździecie, a nie będziecie zachodzić do waszych znajomych w Aktiubińsku, ale na wszelki wypadek poleciłimny posterunkowi milicji na dworcu by miał was pod swoją obserwacją.

W Semipałatynsku była możliwość uwiadomienia naszych wiernych przed przymusowym wyjazdem do Karagandy. W Aktiubińsku nie było takiej możliwości. Nasi wierni byli przekonani, że ja siedzę w więzieniu. Poczciwe kobiety nosiły dla mnie paczki żywnościowe do więzienia i bardzo się martwiły, że ich nie chciano przyjąć, bo nie wierzyły kiedy mówiono, że nie ma w więzieniu żadnego Bukowińskiego.

Warto jeszcze wspomnieć o wielu perypetiach finansowych. W związku z wypędzeniem mnie przez władze miejscowe w dwóch wypadkach kazano mi zapłacić grzywną pieniężną za moją nielegalną a dochodową pracę. Dwa razy natomiast na mnie nałożono podatek dochodowy i natychmiast wyegzekwowano z pieniędzy znalezionych przy mnie. Najradykałniej postąpiono w Semipałatynsku. Po prostu skonfiskowano mi wszystkie, znalezione przy mnie, pieniądze i tylko na moje usilne naleganie wrócono mi niewielką kwotę pieniężną na opłacenie biletów kolejowych dla mnie i dla Gertrudy i Klary.

Jak już wspominałem płacę podatek dochodowy. W ostatnich roku wyniósł on 1058 rubli czyli 16.320 zł. Czynnę to od 1962 roku. Przed moim ostatnim uwięzieniem nikt ode mnie nie wymagał płacenia podatków - więc nie płaciłem. Wzauian za to skonfiskowano mi sporo pieniędzy w Semipałatynsku.

Jestem nawet zadowolony z tego, że płacę podatek, bo to wzmacnia moją pozycję wobec władz państwowych. Kiedy ostatni raz jedździłem do Tadżykistanu, to wziąłem ze sobą, oprócz paszportu dokumenty finansowe, nakaz płatniczy i powitowanie - co mi tam do pierwszego stopnia pomogło.

Ksiądz nie jestem rejestrowany, wciąż nie mam uznania de jure. Jest to jednak teraz swego rodzaju uznanie de facto, co się wyraża też w pobieraniu ode mnie podatku dochodowego. Urzędnicy finansowi objaśnili mi, że zarejestrowany ksiądz pracujący w zarejestrowanym kościele płaci podatek tak, jakby był fabryką. Natomiast ja płacę podatek tak jak bym był indywidualnym rzemieślnikiem branży dachowej, co wynosi procentowo więcej.

Bardzo mi pomagają w płaceniu podatku nasze nieocenione, a nieraz przez księży niedoceniane babcie, z których każda przynosi mi od czasu do czasu po parę rubli "na podatek".

Na zakończenie tego rozdziału o wyprawach misyjnych opowiem o kilku naszych misjonarzach, którzy w tej pracy szczególnie się odznaczyli.

W latach 1955-58 najszerszy zasięg terytorialny w pracy misjonarskiej zrealizował Jesuita Ks. Jan Paukatis. Szalał on od Uralu na zachodzie, aż po Jakucję na północnym wschodzie. Właśnie jego, trwająca prawie cały rok, misja w Jakucji miała szczególne znaczenie, bo prócz niego nie dotarł tam nikt inny. Niestety potem ks. Paukatis - podobnie na rozkaz swoich władz sakralnych objął parafię na wileńszczyźnie i w parę lat później umarł. Widziałem ks. Paukatisa tylko jeden raz, ale to wystarczyło, by zrobić on na mnie jak najlepsze wrażenie.

Inny Litwin Salesjanin Ks. Józef Gustas, pracował równocześnie bardzo owocnie i z wielkim rozmachem w Krasnojarsku na Syberii. Niestety jego praca urwała się raz na zawsze. Ks. Gustas umarł nagle na atak sercowy w 1958 roku. Jego pogrzeb, choć bez księdza był wspaniały, z udziałem nieprzerwanej masy ludu. Ja sam osobiście nie znałem ks. Gustasa.

Ja to bardzo dobrze osobiście znałem innego wybitnego misjonarza dziś już także nie żyjącego P. Ks. Aleksy Zarecki. Ks. Aleksy Zarecki urodził się w 1914 roku w okolicach Urzeń. Jego ojciec był diakonem w cerkwi grecko-katolickiej. Ks. Aleksy był kapłanem lwowskiej grecko-katolickiej archidiecezji. Był on celebrazem.. Poznałem się z ks. Aleksym w 1955 roku w Karagandzie, gdzie on już w następnym roku doprowadził do otwarcia kościoła ~~o~~ dla Ukraińców. Ks. Aleksy nauczył się łacińskiej Mszy św. i odprawił ją w języku cerkiewno-słowiańskim dla Ukraińców, a dla Niemców i Polaków po łacinie. Był to kapłan nadzwyczaj gorliwy i pracowity. Oprócz bardzo intensywnej pracy w Karagandzie odbywał wycieczki misyjne do bliższych i dalszych miejscowości w pobliżu Karagandy.

W 1957 roku przedsięwziął ks. Aleksy podróż daleką i bardzo niebezpieczną. Dotarł mianowicie do Księdza Metropolity /obecnie

Kardynała/ Błogosława, który przebywał przymusowo w domu dla starców w Krasnojarskim kraju na Syberii. Ks. Aleksy miał z nim widzenie się w..... lesie. W drodze powrotnej został ujęty i przez 5 dni wypytywany w urzędzie bezpieczeństwa w Krasnojarsku. Wprawdzie wypuszczono go na wolność i powrócił do Karagandy, ale od tej chwili zaczęła mu się palić pod nogami. Ks. Aleksy po dojrzałej rozwadze zdecydował się wyjechać z Karagandy, w której i bez niego było więcej księży.

Ostatni rozpoczął się ostatni okres misjonarskiej pracy ks. Aleksiego Zareckiego, który w pełni zasługuje na miano okresu heroicznego. Trwał ten okres 5 lat /1957-1962/. Ksiądz Aleksy poświęcił się już wyłącznie pracy misyjnej w ścisłym tego słowa znaczeniu. Kilkakrotnie zmieniał miejsce zameldowania.

Tak jak u księdza Fankatisa, tak i u księdza Zareckiego olbrzymi był zasięg terytorialny pracy misjonarskiej. Kilkakrotnie był w okolicach Samary /obecnie Kojbuszew/ na Nowożytnym. Dłuższy czas pracował na Uralu w obwodzie Permskim i dalej na południe w obwodzie Orenburskim. W Kazachstanie często bywał w Aktiubińsku z okolicą oraz na terytorium osiedlonym wskutek uwięzienia ks. Bronisława i Józefa w obwodach Koleszetawskim i Celinogradzkim.

W 1960 roku, ks. Aleksy był zameldowany w mieście Orsku obwodu Orenburskiego. Pewnego razu, gdy wrócił do domu po krótkiej absencji wycieczce misyjnej, zastał taką sytuację, że milicja wymeldowała go podczas jego nieobecności. Ks. Aleksy nie zgłosił się do milicji w tej sprawie. Stał się dobrowolnie - że tak się wyrazi - włóczęgą Chrystusowym. Nigdy nie zameldowany - tylko z paszportem przy sobie, kontynuował swą pracę misyjną, mimo, że wiedział, iż to się nie skończy inaczej, jak uwięzieniem. Takim bezdomnym Włóczęgą Chrystusowym ks. Aleksy był całe dwa lata.

W kwietniu 1962 roku przybył ks. Aleksy do Karagandy. Dwa razy był u mnie. Przyjmowałem go z wszelkimi środkami ostrożności, bo bałem się o niego. Ks. Aleksy był zawsze szczupły i dość wysoki, a wtedy wychudł do reszty. Tylko oczy mu błyszczały. Wyglądał rzeczywiście na wyznawcę wiary i kandydata do męczeństwa. Skarzył się na to że wśród ciągłych wędrówek popsuł sobie żołądek. Ja radziłem mu natychmiast wyjechać z Karagandy i udać się do Tadżykistanu, gdzie on jeszcze nigdy nie był i mógł tam o wiele spokojniej pracować. Dawałem mu kilka pewnych adresów w różnych miejscowościach Tadżykistanu.

Ks. Aleksy w rozmowach ze mną przyznawał, że sytuacja w Karagandzie jest niebezpieczna, mówił jednak, że mu bardzo żal samieciskających w

w Karagandzie Ukrainców greko-katolików - którzy są bardzo zaniedbani, a garną się do niego. Mówił, że postara się jak najprędzej zakończyć swoją pracę duszpasterską wśród Ukrainców, potem wyprost z Karagandy pojedzie do Tadżykistanu. Bóg zarządził inaczej.

Wnieważniej 12 maja 1962 roku szedł ks. Aleksy samotnie po jednej z ulic Karagandy. Tam go ujęto, a wnet potem formalnie aresztowane. Odbył się w Karagandzie sąd nad ks. Aleksym. Kasączono go na 2 lata więzienia za wścizność. Potem był w obozie niedaleko Karagandy. Miał wprawdzie lekką pracę krawiecką lecz bardzo się uskarżał na nęcące towarzystwo żalików. Irzy tym pogarzała się jego choroba żołądkowa.

Ks. Aleksy Szarecki nie z odbył przesądzonych mu dwóch lat więzienia. Był więziony około półtora roku. Zmarł w końcu 1963 roku w wieku 49 lat, w szpitalu obozowym, w miasteczku Polinka pod Karagandą i tam został pochowany. Wdźięcni Ukraińcy odnaleźli jego mogiłę X na cmentarzu i postawili ładny krzyż na niej. Potem ją poświęcili mogiłę i krzyż, a sam cmentarz jest najokropniej zaniedbany, tym więc jednak wyróżnia się na nim ów piękny krzyż na mogile kapłana, który duszę swą oddał za braci swoich.....

Jeździł się w Polsce inny wybitny misjonarz, nasz rodak, Ojciec Serafin Kaszuba z Zakonu Kapucynów.

W latach powojennych Ojciec Serafin był przez dłuższy czas proboszczem w Równem na Wołyniu i dojeżdżał do wielu innych miejscowości na terytorium byłego województwa wołyńskiego. Nie wiem dokładnie w którym to było roku, władze państwowe usunęły Ojca Serafina z Równego a potem zamknęły kościół.

Do pewnych części Ojciec Serafin sjał się w Kazachstanie i tu podjął niestrudzoną pracę misjonarską o szerokim zasięgu terytorialnym. Podstawową bazą jego pracy są terytoria osieroczone po zwięzieniu ks. Bronisława i Józefa, a potem obsługiwane przez ks. Szareckiego, a więc obwody Celinogradski i Koczetawski. Często dojeżdżał Ojciec Serafin do Aktiubińska na zachódzie i do Sawłodaru na wschodzie Kazachstanu. Bywał i w głębi Syberii w Nowosybirsku. I tak to trwało około 6 lat/1962-1968/.

Jedyną przerwą w ciągłym podróżowaniu było administracyjne przesłanie Ojca Serafina do pewnego sowchozu, położonego w celingradzkim obwodzie, w tak zwanej "zapadłej dziurze". Było to w roku 1967. Ojciec Serafin siedział w tej zapadłej dziurze około pół roku, a potem sział z tąd i kontynuował swą pracę misjonarską. Wszystkich tych wyczynów dokonał Ojciec Serafin pomimo niezłodego wieku /ur. 1910 r./i wątłego zdrowia. Nic dziwnego, kiedy po wszystkich tych perypetiach Ojciec Serafin prz. był w sierpniu 1968 roku na urlop do Polski jego przełożeni zakonnicy rozkazali mu poddać

się gruntownej kuracji. Maj może by ona się udała i by Ojciec Serafin ze wzmożonym zdrowiem mógł powrócić do naszej trzeciej sony. Bez przesady rzecz można, że jego powrotu oczekuje cały katolicki Kazachstan i nie tylko Kazachstan.....

Bismal jednocześnie ze śp. Aleksym Zareckim został aresztowany w Kirgizji litewski ksiądz Antoni Szaszkiwiczus. Należał on także do najwybitniejszych misjonarzy w naszej trzeciej sony. Nie znam go osobiście, lecz echa jego działalności misjonarskiej docierały do mnie wciąż na nowo.

Ks. Szaszkiwiczus mieszkał początkowo od 1955 roku w mieście Sławogorod w Altajskim Kraju, położonym bezpośrednio na wschód od Kazachstanu. Ponieważ jednak bardzo się tam naraził miejscowym władzom, pręsto zdecydował się przenieść do Kirgizji, gdzie zamieszkał w mieście/osku Kant, w pobliżu stolicy tej republiki, miasta Transe. Tam w Sławogorodzie jak i w Kancie ks. Antoni łączył intensywną pracę duszpasterską na miejscu z licznymi wyprawami misyjnymi do bliższych i dalszych miejscowości. W końcu zesłano ks. Antoniego do pewnego sowchozu, gdzie nie było ani jednej chrześcijańskiej duszy, tylko sami Kirgizzi muzułmanie. Ks. Antoni znalazł tam takich Kirgizów, którzy pracowali w sowchozie w jego zastępstwie, a sam poświęcił się całkowicie pracy misyjnej. Odbywał jedną wyprawę misyjną na drugą. Jak łatwo to można było przewidzieć, wszystko to zakończyło się uwięzieniem ks. Antoniego.

Aresztowano go w 1962 roku w Kirgizji. Nie wiem, czy sądzono go w Kirgizji, czy też na Litwie. Zasądzono go na 7 lat więzienia za.....spekulację Jest rzeczą pociesającą, że ks. Antoni był cały czas w obozie na Litwie. Jeśli krak krukowi oka nie wykoło, to Litwin Litwionowi także nie. Oprócz ks. Antoniego sądzono także jego gospodynię, niewiastę narodowości niemieckiej, na półtora roku więzienia.

Ks. Antoni Szaszkiwiczus wyszedł w tym roku /1969/ na wolność. Jak na naszą 3-cią sony nie jest on stary, bo ma najwyżej 55 lat. Ks. Antoni będzie kontynuował pracę duszpasterską w naszych stronach. Nie wiadomo tylko, w jakim mieście uda mu się uzyskać zameldowanie. Szczegółu mu Bóg w tych jego sprawie słodnych zamiarach.

Na tym nie wyczerpuje się liczba naszych misjonarzy. Są tacy i to bardzo gorliwi, którzy w tej chwili prowadzą pracę misjonarską w naszej trzeciej sony. Ufać im, że ich imiona napisane są w niebieskich, lecz tu na ziemi w danym wypadku "nocina sunt odiosa"...

Powie kto może po przeczytaniu opisanych tu wyczynów naszych misjonarzy: "Cóż to za zakabryczne przykłady stawia nam ten Władzio

na wzór! Ks. Aleksy Zarocki ułamał przedwczesnie, ułamek Serafin z tego wszystkiego ciężko i przesłabie oberwał, ks. Antoni Szeszkiewicz został uwieczniony i odsunięty od pracy duszpasterskiej na 7 lat!¹.

Odpowiem na to tak: Cała bieda jest, że zbyt mało takich księży jak Aleksy, Serafin czy Antoni. Ja nigdy nie stawiałem sobie wyrzutów, że małyt się szarpie czy szarżuje, a nieraz miałem powazną wątpliwość, czy w poszczególnych wypadkach nie bywałem zbyt wygodny i ostrożny i za mało ufalem w opiekę Opactwa Bożej. Kiedy nasz rekordzista światowy ks. Józef Łuczyński "odsiedział" 7 lat za dwa i pół roku swojej pracy w Kasachstanie, nieraz mówił: "Ciężko, nawet bardzo ciężko jest siedzieć 7 lat, zwłaszcza gdy się już wprzód odsiedziło 10 lat, ale muszę przyznać, że za takie dwa i pół lat opłaca się znova siedzieć i 7 lat." Wszak jesteście kapłanami Jezusa Chrystusa! Chrystus się nie oszczędzał - powiada Apostoł Paweł - który sam na pewno także się nie oszczędzał. Jesteście wyświęceni nie na to, byśy się oszczędzali, lecz na to, byśy - jak trzeba - dusze swe kładli za owce Chrystusowe!

XIII UWIEZNIENIE

Dobre to były lata - mawiają nieraz starszy ludzie o niektórych okresach minionego życia.

Dla nas trzech: dla Bronisława, dla Józefa i dla mnie dobre lata stanowiły koniec 1956 roku i początek 1957 roku. Wszyscy trzej pracowaliśmy nader intensywnie w Kasachstanie i wazymy, trzej mieliśmy kościółki do swej dyspozycji. Wprawdzie małe i niezalegalizowane przez władze, lecz istniejące i funkcjonujące. Dobre lat: dla nas trzech były także koniec k 1957 roku i cały 1958, z wyjątkiem ostatniego miesiąca grudnia. Bronisław i Józef dalej proboszczowali w swoich kościółkach, a zarazem misjonarowali w swoich obwodach. Ja zebrałem już wprawdzie posbawiony kościółka, ale za to w tym czasie uskuteczniałem jedną wyprawę ciałym za drugą.

Było tak dobrze, że aż za dobrze dla władz miejscowych, i nie tylko miejscowych. To też postanowiły one położyć kres temu duszpasterstwu katolickiemu i polskiemu w Kasachstanie.

Historia uwieszenia wszystkich trzech polskich i katolickich duszpasterzy w Kasachstanie interesuje z pewnością przede wszystkim księży ale także i świeckich, zwłaszcza diecezji łuckiej, kapłanami

której jesteśmy wszyscy teraz po dziś dzień.

Aż do uwięzienia ja sam w Karagandzie nie miałem żadnych poważnych przykrości od władz miejscowych. Była jedna bardzo cierpka rozmowa z pogroźkami i parę razy drobniejsze przykrości, zwłaszcza rewizja domowa, dokonana w mojej nieobecności. Oczywiście największą przykrością w tym czasie było zamknięcie i opieszczenie naszego kościoła, ale ja osobiście nie doznałem wtedy żadnych przykrości. Nawet nie nakładano na mnie żadnych podatków.

Droga Józefa i Bronisława była w tym czasie o wiele bardziej ciernista.

Pod względem podatkowym Bronisław wychodził stosunkowo bardziej jeszcze obrotową ręką, ale Józef musiał toczyć z urzędami podatkowymi iście heroiczne boje, bo projektowane sumy podatkowe były spora fantastyka.

U Bronisława nastąpił tragiczny wypadek. W Wielką Sobotę 1956 r. jakiś nieznany sprawca strzelił przez okno do kościoła i zabił kobietę. Oczywiście sprawcy nie ujęto, bo widać było, że władze miejscowe wcale na tym nie zależało. Tak Bronisław jak i Józef zostali opisani w gazetach, o Józefie oprócz tego była osobna audycja radiowa. Czytałem artykuł o Bronisławie. Na początku jest rzekomy opis, jak dobrze było w Zielonym Gaju, ógorki nie przyjechał Bronisław. A gdy on przyjechał, to cały Zielony Gaj okrył się czarną mgłą religijnego otakurtywizmu. Istotnie Bronisław odprawiał 2 Msze każdego dnia: rano o 5 w pół do 5-tej i wieczorem a frekwencja do komunii była codziennie bardzo znaczna.

Józefowi zaznaczono, że on jest doświadczony spekulant i durność. Przyjechał do Tajnocy, nantierał pieniądze, zorganizował dochodowy interes - handel krząsykami, medalikami i obruskami, a teraz spaceruje po Tajnocy i wygląda na zadowolonego z siebie franta.

Ja także doświadczałem się dwóch artykułów w gazetach o sobie, ale to już znacznie później, po uwolnieniu z ostatniego więzienia w 1963 roku napisano o mnie artykuł w Aktiubinsku, a w 1964 roku przedrukowano ten artykuł i uzupełniono go w Karagandzie. Przekonałem się wtedy, jak słusznie mówił mi ksiądz Prałat Zygmunt Chmielniński: "jeżeli ktoś chce pracować w Związku Radzieckim, to musi być gotów przeczytać pełnego dnia o sobie coś takiego, o czym się nawet nie śniło". Dowiedziałem się z tych artykułów, że ja jestem bardzo obciwy na pieniądze i że każą każdej biednej starusce, która przychodzi do mnie, płacić za spowiedź 5 rubli, czyli po 75 zł za spowiedź.

Józef i ja zostaliśmy zaarrestowani przy pracy.

Pierwszy z naszej trójki został zaarrestowany ja dnia 3 grudnia 1958 roku. Pracowałem u siebie w domu. Może przy tej sposobności napiszę o moich mieszkaniach w Karagandzie. Będę ich dotąd.

Pierwszy rok mego pobytu w robotniczym internacie w jednym pokoju z trzema kolegami zesłańcami, a zarazem rodakami, Polakami. Następnie trzy lata przed uwieszeniem i pierwszy rok po uwieszeniu mieszkałem u Polaków. Była to polska rodzina. Mój gospodarz, Stanisław Madera jest z zawodu szewcem. Jego żona Zuzanna była gospodynią domową. Mieli oni córeczkę Polę- 18-letnią. Parstwo Maderowie pochodzi z miasteczka Kuthowce pow. płockirowskiego na Podolu. Pani Zuzanna zmarła w 1956 roku niespodziewanie po krótkiej chorobie. Była ona wielką moją dobrodziejką i opiekunką. Pan Stanisław żyje dotąd z córką i siostrą. Przed dwoma laty Pola wyszła za mąż za dobrego i religijnego chłopca Tadeusza Słobodziana. Pola pracuje jako szyciarka, a Tadeusz jest zawodowym fotografem. Odtąd właśnie z powodu Poli musiałem w 1962 roku zmienić mieszkanie. Usiłowałem bowiem, wiadomo z czyjej strony wciągając wówczas 18-letnią Polę do sapiegowania mieć Oczywiście, że nie mogłem dopuścić do tego, by moralnie zniszczono i całkiem nie zepsuta panienkę. Odtąd już 7 lat mieszkam u Kienów. Moi obecni gospodarze parstwo Kasper i Katarzyna Haagowie są bezdzietnym małżeństwem w swoim wieku. Podczas wojny ich jedyny syn przepadł bez wieści. Pochodzą oni ze wsi Ellen-Liebertakh, oddalonej o 15 km. od Odessy.

W naszych warunkach jest wielkie dobrodziejstwo przyjęcie kogoś na mieszkanie, a tym bardziej trzymać go u siebie w domu całych 7 lat.

Dnia 3 grudnia 1958 roku mieszkałem jeszcze u państwa Maderów. Pracę miałem taką: przyjechała do mnie z daleka młoda i sympatyczna para małżeńska, oboje Polacy. Przygotowałem ich oboje do I spowiedzi i do ślubu. Właśnie skończyłem naukę i miałem rozpocząć słuchanie spowiedzi, była godz. druga po południu. Nagle zjawił się w mieszkaniu jakiś mało sympatyczny typ. Z początku niby to sprawdzał u moich gospodarzy aparat radiowy, a zaraz potem zaproponował mi abym ja natychmiast jechał z nim do urzędu bezpieczeństwa samochodem osobowym, który - okazuje się - stał już o kilka domów dalej. Mój nowy przyjaciel nie odstępował^o mnie ani na krok. Wówczas ja nie zważając na niego, odjąłem łatwiez spodnie i nałożyłem ciepłe wntowane. Przyjaciel zaprotestował, mówiąc, że pojedziemy tylko na chwilę i on sam mnie odwiezie do domu. Odparłem mu, że ja też może jestem tak niebezpiecznym przestępcą, iż nie będzie można mnie puścić do domu. Zabierałem ze sobą trochę bielizny i najpotrzebniejszych

rzeczy, połączony się z gospodarzami, wsiadłszy z troskliwym przyjaciółem do samochodu i pojedaliśmy. W urzędzie bezpieczeństwa doręczono mi nakaz aresztowania.

Ksiądz Józef Kuczyński - został aresztowany 5 dni później, dnia 6 grudnia 1958 roku. Najprawdopodobniej nasi "czekiści" nie wiedzieli o święcie Niepokalanego Poczęcia, którego nie ma u prawosławnych. Przejchali aresztować ks. Józefa w chwili, gdy on kończył odprawić sumę i kościółek był jeszcze pełny ludzi. Mimo to aresztowano ks. Józefa i posadzono go do samochodu, ale dzielne baboie długo biegły za samochodem krzyżując i płacząc.

Ksiądz Bronisław Krzpecki był aresztowany ostatni, dopiero 17 stycznia 1959 roku. Kiedy do Zielonego Gaju gdzie on mieszkał i pracował nadeszła wiadomość o aresztowaniu Józefa i soim, ludzie prosili Bronisława by natychmiast wyjechał na Ukrainę w nadziei że tam go nie aresztują. Bronisław nie miał sumienia opuszczać wiernych w tak ciężkiej chwili. Pozostał i pracował. Jak zwykle zrobili dwa razy rewizję w jego mieszkaniu ale nic nie znaleźli. Tylko u gospodyni Heleny Krawieckiej znaleźli przedwojenny kalendarz gdzie było parę informacji o nędry w Związku Radzieckim, o czym Bronisław nawet nie wiedział. Helenę zabrano z domu do milicji i zażądano aby ona się przyznała, że ten kalendarz dał jej ksiądz Bronisław. Helena sprzeciwiła temu. Po dwóch dniach przywieziono do milicji księdza Bronisława na konfrontację z Heleną. Konfrontacja była krótka:

Oni do Heleny - mów teraz kto ci to dał?

Helena - tyle już razy mówiłam i jeszcze raz powtarzam: tego mi nie dał ks. Krzpecki".

Bronisław do Heleny - "Helu nie sapieraj się, bo i tak nie pomoże" do nich - "Tak, przyznaję się, że ja jej to dałem"

Posadzono Bronisława i Helenę do samochodu i odwieziono ich oboje do domu. Po kilku dniach przyjechali "czekiści" i aresztowali księdza Bronisława.

Sędzono każdego z nas oddzielnie: Józefa w Ekosławie, Bronisława w Celinogradzie, a mnie w Karagandzie. Podczas śledztwa urządzono w Karagandzie konfrontację Józefa ze mną. Konfrontacja w pewnym stopniu potwierdziła, że nasze rozmowy z Józefem nie zawsze były utrzymane w duchu radzieckiego patriotyzmu. Ku naszemu przyjemnemu zdziwieniu pozwolono nam spotkać się w mojej celi więziennej - siedział sam jeden - dla odbycia wzajemnej syowiedzi, pod warunkiem że nie będziemy rozmawiali.

że nie będsiemy rozmawiali o sprawach związanych ze śledstwem. Istotnie przyprowadzono Józefa do mojej celi i zabrano go z niej dopiero po 3 godzinach. Był więc czas nie tylko na spowiedź, ale i na rozmowę. Kiedy jednak rozmowa sbaćwała na tory śledstwa, poustraywaliśmy wzajemnie swój zapal aratorski, mówiąc: "a gdzie nobile verbum?".

Ksiądz Józefowi - oprócz nielegalnej działalności w nielegalnie otwartym kościele - zarzucono przede wszystkim spekulację. Ksiądz Józef - były działacz akcji katolickiej, lubił pracować z rozmachem. Zorganizował on przy swoim kościele sprzedaż krazyków, medalików, obrazków, a nawet w miarę potrzeby także ksiągteczek do nabożeństwa i katechizmów. Sprowadzał on to wszystko różnymi drogami, przeważnie z Litwy i Łotwy. Ludzie, spragnieni tego, z zapalem korzystali z rzadkiej okazji, a właściwie jedynej okazji i kupowali masowo. Oczywiście nie był to żaden handel dochodowy. Przeszypiano się nawet do tego, że ksiądz Józef rozdawał swoją fotografię, a jeśli kto poprosił to i podpisywał ją. Stworzono legendę, że obciwemu Józefowi nie dość było dochodu z handlu dewocjonaliami, lecz że ponadto krakakrakak zorganizował handel własną fotografią. Za fotografię bez podpisu brał 5 rubli, a za fotografię z podpisem 10 rubli!

Kazano ks. Józefa na 10 lat pozbawienia wolności. Wynajęty przez siostry księdza adwokat założył apelację, w rezultacie której skrócono termin uwięzienia z 10 na 7 lat. Tych 7 lat ksiądz Józef spędzał od dzwonka do dzwonka i zdobył rekord światowy - 17 lat uwięzienia....!

Ksiądz Bronisław Przepiecki miał śledstwo cięższe i bardziej przykre, niż ksiądz Józef i ja, choć spekulacji mu nie zarzucono. Ksiądz Bronisław jest werdełk i przy tym umie argumentować z nieodpartą logiką. Tymi swoimi cechami charakteru Bronisław naraził się prokuraturze, która ze skóry wylaziła, by mu więcej zaszkodzić. U ile ani przeciw Józefowi, ani przeciw mnie, nie było fałszywych świadków, to przeciw Bronisławowi wystawiono aż troje.

Pewną metodą dziewczyną naszczassono i kazano mówić w sądzie, że Bronisław ją skrzywał i rozkazał jej natychmiast wystąpić z konsorcju do którego ona należała. Mówiąc nawiasem, przestrzegamy jak trzeba przed wstąpieniem do konsorcju, a jeszcze więcej do partii, lecz nigdy nie sądawy wystąpienia, jak się już ktoś zapisał. Na sądzie dziewczyna potwierzyła co jej kazano mówić. Ksiądz Bronisław zapytał ją wręcz "czy to co mówisz, jest rzeczywiście prawdą? Czy to jest zgodne z twoim sumieniem?". Biedne balamcone dziewczynisko rozplakało się i całe świadectwo spożyło na niczym.

Ala byli jeszcze dwaj fałszywi świadkowie. Obaj sąsiedzi, obaj obaj niestety Polacy i obaj "wysoko postawieni": jeden prezes rady wiejskiej coś w rodzaju naszego wójta, a drugi dyrektor szkoły w dużej wsi położonej w pobliżu Zielonego Gaju. Ci nie rozplakali się tylko łgali jak z nut. Zarzucali onś Bronisławowi, że on przyjechał raz do ich wsi, po to by "zerwać" czyli udaremnienie miting zwolany z racji wojny w Korei. Rzeczywiście raz Bronisław przyjechał do tej wsi nie nie wiedząc o mitingu. Kiedy się dowiedział, natychmiast przerwał swą pracę i kazał wszystkim baboćm iść na miting, ~~niektóre~~ książki temu mitingowały nawet baboćm, które na pewno nie poszłyby na miting, jeżliby książka nie kazał iść.

Podczas śledstwa, gdy książka Bronisław z łatwością mu logiką udowodnił kłamliwość stawianego mu zarzutu i sądził wezwania innych świadków z tej samej wsi, odpowiedzono mu temu sądaniu mówiąc: nam nie potrzeba żadnych innych świadków, wystarczą ci dwaj. Oni obaj są "osobnymi" obywatelami radzieckimi i my im wierzymy więcej niż wami". Fałszywi świadkowie zostali uznani za prawdziwych, a nasz wo-redek Bronisław został uznany za kłamcę. Była i tak.....

Na sądzie prokuratorka sądziła dla Bronisława 10 lat pozbawienia wolności. sąd skazał go na tych 10 lat.

We wrześniu 1959 roku książka Bronisław przybył do obozu w miasteczku Czuma obwodzie Iruckim na Syberii, dokąd ja przyjechałem o pół roku wcześniej. Zaraz po przyjeździe do obozu Bronisław skomponował skargę do generalnego prokuratora Związku Radzieckiego. Był to wspaniale napisany dokument, odznaczający się wlaściwą Bronisławowi logiką argumentacji. Skarga poskutkowała. Generalny prokurator dał wskazówkę sądowi apolacyjnemu w Alma-Atie, by skrócić Bronisławowi termin uwięzienia do 5-ciu lat. Tak się też stało.

Od września 1959 roku, aż do dnia mojego uwolnienia w dniu 3 grudnia 1961 roku byliśmy w cianie, a następnie przez ostatnich 8 miesięcy mojego uwięzienia byliśmy razem z Bronisławem i Józefem w arcyciekawym obozie dla "religionistów" na południowy wschód od Moskwy.

Proszę sobie wyobrazić: w jednym obozie było nas księży katolików różnych narodowości 27-tu, naczele z księdzem Metropolitą - abacie Kardynałem Józefem Slipijem. Było jeszcze kilku katolików świeckich. Prawosławnych było około setki, ale księży prawosławnych tylko 6-ciu. Większość z nich stanowili prawosławni opozycjoniści ale byli też i prawosławni uznający swierchność moskiewskiego Patriarchy. Rekciarzy wszelkiego autoramentu było około 400-tu. Wreszcie było około 50-ciu "stuhaczy", czyli mężów zaufania administracji obozowej.

Zachodzi pytanie, dlaczego utworzono taki obóz dla "Religionistów", którego przedtem nie było nigdy?. Łatwo się tego dowiedzieć.

Bywały w obozach rzadkie wypadki nawróceń. Bywały chrasty, oczywiście dokonane potajemnie. Nawracali się młodzieńcy wychowani ateistycznie i to przeważnie chłopcy inteligentni, studenci, konserwacy. Były nawrócenia na katolicyzm, a były też na niektóre kierunki sekciarskie. Widocznie więc z góry zdecydowano, że nie wystarczy "religionistów" izolować od społeczeństwa żyjącego na wolności, a trzeba ich jeszcze izolować od innych więźniów, z wyjątkiem saufanych "stukaczy".

Obóz dla "religionistów" był czymś w rodzaju wielkiego klasztoru. Modlono się zupełnie jawnie. W niedziele zbierały się grupy złożone z współwyznawców dla wspólnej modlitwy, słuchania kazań i czytania Pisma św., które sekciarze przechowywali ściśle na małe kieszonki, po kilka stronik każdy. Czekiści rozpydali takie grupy, a one zbierały się znova po ich odejściu.

Stosunki między wyznawcami różnych wyznań były na ogół dobre, w niektórych nawet wypadkach serdeczne. Jeżeli bywały czasem zgrzyty, to głównie ze świadkami Jehowy, którzy grozili karami bożymi wszystkim z wyjątkiem z ich szarych.

Młody Jehowita zaczął migać grozy na Kościół Katolicki za wojny krzyżowe. Zapytałem się go "A czy ty wiesz, kiedy były te wojny krzyżowe?" - A jakie! To było za czasów Aleksandra Macedońskiego". Pozwól sobie powiedzieć, że omyliłeś się o całe półtora tysiąca lat.

Było w naszym obozie "religionistów" duże zainteresowanie ruchem ekumenicznym. Szczególne zainteresowanie wywołała zapowiedź zwołania Soboru Powołanego. Wielu się spodziewało, że Sobór dokona jakiegoś choćby częściowego zjednoczenia z innowiercami. Bywały dyskusje międzywyznaniowe. Niektóre były rzeczowe i utrzymane w duchu wzajemnej miłości, ale bywały między sekciarzami dyskusje pełne wzajemnej ^{niechęci} ~~niechęci~~. Ja osobiste zawsze nawoływałem wszystkich do nie zapomniania o wzajemnej miłości w dyskusjach, co nie było bezskuteczne.

Gdzie indziej pisałem o tym, jak godnie i wspaniale trzymał się w więzieniu nasz Biskup Szelańek. Otóż mogę nadmienić i to, że i ksiądz Bronisław Brzepecki godnie reprezentował katolickie duchowieństwo. Spowiadał on w obozie wielu świeckich, a także i wielu księży. Głosił konferencje religijne świeckim i księżom. Natomiast ksiądz Józef Buczyński ogólnie był lubiany za swoją wesołość. Ksiądz Józef znał wiele anegdot, ale tylko zupełnie cenzuralnych i obętnie dzielił się z współwięźniami tą swoją wiedzą. Co prawda niektórzy sekciarze gorzeli się z tego, że ksiądz Józef opowiada anegdoty zamiast cytować Pismo święte.

Wszystkie księży w obozie dla "religionistów" odprawiali codziennie

raniutko Mszę św. Uplatki przesyłano w paczkach żywnościowych, a wino wyrabiano z rodzynek.

Stosunki między kolegami różnych narodowości były braterskie. Nas Polaków było tylko trzech. Było dziewięciu Litwinów, 1 Łotysz, 1 Węgier oraz trzynastu Ukraińców. Metropolitą Filipij był bardzo dostojnym, choć nie udzielał się innym w ten sposób jak to czynił Biskup Szelęsek.

Po moim uwolnieniu z obozu Bronisław i Józef byli razem przez krótki czas. Potem ich rozdzielono. Obaż do końca swoich terminów byli tylko z "religionistami". Po moim uwolnieniu wprowadzono duże ograniczenia do paczek żywnościowych. Wskutek tego Bronisław i Józef wprawdzie nie głodowali, lecz odżywiali się niedostatecznie. Słowa cierpieli oni dłużej i więcej ode mnie. Tak to teraz są oni obaj proboszczami całą gębą, a ja dalej prowadzę żywot demokracji.

Na zakończenie tych moich wspomnień z ostatniego uwięzienia opowiem moim śledztwie i sądzie.

Śledztwo było prowadzone bardzo grzesznie i bez przekroczenia moich zeznań w protokołach, pisanych przez sędziego śledczego. Po zakończeniu śledztwa dane mi do przeczytania 17 protokołów zeznań świadków, wezwanych przez władze śledcze. Zeznawali oni nie tylko w Karagandzie, lecz także i w niektórych miejscowościach gdzie ja byłem podczas moich wypraw nieludzkich. Byli wśród tych świadków Polacy, 111 byli i Niemcy. Z przyjemnością mogłem stwierdzić, że nikt z nich nie obciążał mnie swoimi zeznaniami. Na pytanie czy Bukowiński mówił coś przeciw władzy radzieckiej wseyce jednocześnie odpowiadali, że Bukowiński nie takiego nie mówił. Przeciwnie, Bukowiński mówił, że trzeba wyreżniać obowiązki obywatelskie i uszczerwiek pracować /czasem trudyta się/. Kiedy na sądzie wezwano na świadka dyrektora szkoły na przedmieściu Karagandy zamieszkałym przez Polaków, gdzie w swoim czasie funkcjonował nasz zaknity kościółek, to ów dyrektor, choć partyjny, lecz Polak, powiedział że była propaganda religijna wśród dzieci szkolnych, lecz na nic nie wiadomo, żeby ją prowadził właśnie Bukowiński.

W akcie oskarżenia, a później w wyroku sądowym, narzucono mi oprócz otwarcia nielegalnego kościółka, przechowywanie antyrządzieckiej literatury i agitowanie dzieci i młodzieży. O dorosłych nie wzmiankowano, a w wyroku - co szalenie - napisano, że nie należy Bukowińskiemu uznawać za winę jego wypraw nieludzkich. Po wyroku spalono na stosie kilka moich książek - w tym cenne naukowe dzieło Sawickiego, w którym uczony autor pisał o utopijności hasła raju na ziemi, ilustrując to przykładem.... Związku Radzieckiego. Inne, zabrane mi książki, przechowywane przez 3 lata w urzędzie bez-

pieczętna publicznego i zwrócono mi po moim uwolnieniu.

Proponowano mi adwokata, ja zrezygnowałem z udziałem adwokata na sądzie i oświadczyłem, że sam będę się bronił. Poprosiłem o rozmowę z adwokatem przed sądem dla wyjaśnienia kilku spraw procesuralnych. Przystano mi adwokatka. Była to młoda i przystojna kobieta - na mój gust - zanadto usalowana. Kiedy jej powiedziałem, że będę się sam bronił, nie tylko się nie obraziła, lecz najwidoczniej była z tego zadowolona.

Prokurator sąda? na sądzie 5 lat pozbawienia wolności. W przeciwieństwie do biednego Bronisława, który miał przeciw sobie rozjuszoną prokuratorkę, mój prokurator nie okazywał najmniejszych oznak wrogości. Przeszył prosty akt oskarżenia, dodał od siebie kilka słów i tak całkiem niegroźnie wyglądała była ta nowa oskarżycielka. Z przesłuchania świadków i wymiany zdań pomiędzy sędziami a mną, co było ciekawszego już opisałem.

Na zakończenia przewodu sądowego przez prezes sądu udzielił mi głosu dla ogłoszenia mojej nowej obronczej, wobec tego, że nie korzystałem z usług adwokata. Do tej mojej jedynej w życiu nowej obronczej w sądzie przygotowałem się w swojej pojedynczej celi bardzo starannie.

Przytoczę główne punkty tej nowej obronczej, gdyż, jak mi się wydaje treść tej nowy ma znaczenie ogólne, a nie tylko osobiste.

Na wzorem Lawra Apostoła przemawiającego w atolekim aeropagu ja zacząłem swoją nową od "captatio benevolentiae". Złożyłem publicznie podziękowanie za dobre i kulturalne traktowanie mnie na śledztwie i na sądzie. Wyjaśniłem, że nie mam zamiaru występować w obronie własnej. Osobiście nie poczynałem się do winy wobec Państwa Radzieckiego. Wskazałem jednak "nomē iudex in suscepsa", więc nąją sprawę osobistą z poleceniem z całym zaufaniem do wyroki sądu Radzieckiego. Skorzystałem jednak z okazji, którą otrzymuję od władz radzieckich po raz pierwszy w życiu, aby wystąpić w obronie tych, wśród i dla których ja pracowałem w ciągu tych lat ostatnich.

Wielka socjalistyczna rewolucja państwowa rzuciła na cały świat hasła wolności politycznej, społecznej i ekonomicznej. Ale nie należy zapominać o tym, że wolność obejmuje również stosunki narodowościowe i wyznaniowe. Ci ludzie, w których obronie ja występuję, są to Hiszpany i Polacy. Przywieziono ich w ten kraj. Czy mogą oni tutaj czuć się całkiem dobrze? Gdyby tak przywieziono grupę prawosławnych Rosjan do kraju Burjatów i kazano im tam żyć, a tam nie byłoby ani jednej cerkwi, i ani jednej szkoły rosyjskiej, gdyby ci Rosjanie niebawem zauważyli, że z ich dzieci coraz gorzej mówią po rosyjsku, a nawet wstydzą się rosyjskiej nowy, nato coraz więcej i

chętniej mówią po buriacku, a przy tym są wychowywane na wierzących b buddystów a nie prawosławnych, to pytam się, czy ci Rosjanie, a nie i wy obywatele sądzicie owie jesteście wszak Rosjanami, czyliby być zadowoleni ze swego życia w kraju Buriatów?

Otóż śmiem twierdzić, że w takim położeniu znaleźli się Niemcy i Polacy w Kazachstanie, co do pp Polaków to po 20 latach w Kazachstanie oni doczekali się 3 swoich księży, a teraz zaledwie po 3 latach pracy ci wszyscy 3 księża są uwięzieni, wyrwani spośród wierzącego ludu, a kazachstańscy Polacy zostali znów bez ani jednego księdza.

Co więcej, gdyby Rząd Polskiej Republiki Ludowej rozkazał aresztować wszystkich księży prawosławnych na czele z metropolitą warszawskim i gdyby ludność prawosławna w Polsce została bez ani jednego księży, czy mogłaby ona być z tego zadowolona, może tego, czy mogłaby z tego być zadowolona Moskwa?

Nie proszę jać nie dla samego siebie, lecz proszę o uwzględnienie słów moich dla dobra wierzących katolików Kazachstanu. Pragnął bym mieć nadzieję, by te słowa moje nie okazały się głosem wołającego na puszczy, lecz dotarły do Alma-Aty i Moskwy.

Był jeden wypadek, że mi zabroniono pójść do umierającej chorej by ja przygotować na dobrą chrześcijańską śmierć. Obydwoy wszyscy w Związku Radzieckim rozumiali, że pierwszym prawem każdego człowieka a już tym więcej człowieka wierzącego, jest prawo do Boga!

Mowy mojej wysłuchano bardzo uważnie. Nikt nie przerwał. Została ona zaprotokolowaną. Sąd udał się na naradę! Już po kilku minutach sędziowie wrócili na salę sądową. Prezes sądu odczytał wyrok skazujący mnie na 3 lata pozbawienia wolności. Na pytanie prezesa sądu czy nie będę apelował powiedziałem że nie.

Na korytarzu czekało na wyrok kilkadziesiąt osób spośród moich parafian i parafianek. Sam im powiedziałem, że zostałem skazany na 3 lata. Niektóre kobiety zaczęły płakać. Powiedziałem im, że raczej świąteczny Bóg, że tylko na 3 lata, a nie na więcej. Sędziysni uśmiechali się przyjaźnie. Widać było, że podzielali moje zdanie.

Pożegnałem moich kochanych parafian po chrześcijańsku: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Wsiadłem do czekającego na mnie samochodu osobowego, oczywiście wraz z dwoma konwojentami i odjechałem wuruszony pożegnaniem z parafianami, lecz bynajmniej nie przygnębiony.

Jeszcze jedno ostatnie wspomnienie.

sta. Przeżyłem tam wiele głęboko wzruszających momentów.

W jednej wiosce dosłownie cała wieś oczekiwała na mnie. Kiedy przyjechałem /samochodem osobowym/, dziewczęta odświętnie ubrane otoczyły mnie wiośńcem, jak przyciężaka i wprowadziły do domu przeznaczanego na nabożeństwo, a lud cały śpiewał bardzo pięknie "Kto się w episkop odca Panu swemu".

W innej wiosce powitał mnie krótkim przemówieniem w obecności licznie zgromadzonego ludu, miejscowy patriarcha, Pan Stanisław Lewicki. Było chyba najbardziej wzruszające przemówienie, wygłoszone do mnie w całym życiu. Pan Lewicki mówił: "wywieśli nas pod te góry, zostawili tutaj, i wszyscy o nas zapomnieli. Nikt o nas nie pamiętał. Dopiero Ojciec duchowny pierwszy do nas przyjechał. My takie sieroty, my takie sieroty!" płakał czcigodny patriarcha, płakał cały lud zebrany, płakał i ksiądz razem z nimi. Ale to były dobre łzy.....

Obóz któregoś dnia czerwca przyjeżdżam z jednej wioski do drugiej. Droga była daleka, około 30km. Jechałem kiepską furką, zaproszoną w parę nieposocznych koników. Ubrany byłem całkiem nie reprezentacyjnie. Dość prządną walizkę swoją ukryłem pod słońcą, żeby nie zwracała niczyjej uwagi. Obóz kiedy droga była przeważnie pełna, kiepska furka mocno trzęsła i raz po raz walizka wyskakiwała spod słońcy tak, że ją trzeba było kilka razy w drodze przystanąć, by ją znów ukryć. Był przepiękny dzień czerwca w pełnym blasku popołudniowego słońca. Ani chmurki na niebie! Na prawo od nas obszerne urodzajna równina, na lewo majestatyczne pasmo gór o szczytach pokrytych śniegami. I wówczas poczułem się bardzo szczęśliwym i wdzięcznym Opatrzności za to, że mnie tam przyprowadziła co tych, tak biednych i opuszczonych, a przecież tak bardzo wierzących i miłujących braci i siostr w Chrystusie.

Jego szczęścia do naniego na owej trzęsącej się furce nie zmieniłbym na największe zaszczyty i przyjemności. Nieraz później walcząc w ciężkich chwilach, jakich mi nie brakowało, przypominałem sobie te chwilewające przeżycie.

Nie wiem co przyszłość, nawet najbliższa, przyniesie mi i moim przyjacielom pracującym w duszpasterstwie w Związku Radzieckim. Nie wiem, w jaki sposób Opatrzność Boża czuwać będzie nad naszymi Kościołami w tym kraju. Niezmiernie jedno, i to słodkie jest jakże Chrystusowe, a brzemie Jego jest lekkie.....